

KRYMINAŁ Z KLASĄ

 AMBER



ZIMA
PEŁNI KSIĘŻYCA

STEVE HAMILTON

ZIMA
PEŁNI KSIĘŻYCA
STEVE HAMILTON

Przekład
ALINA SIEWIOR-KUŚ



Redaktor serii
Małgorzata Foniok

Redakcja stylistyczna
Dorota Kielczyk

Korekta
Katarzyna Pietruszka Elżbieta Szelest

Projekt graficzny serii
Małgorzata Foniok

Zdjęcie na okładce
Laurence B. Aiuppy/Getty Images

Skan i opracowanie wersji elektronicznej
lesiojot

Tytuł oryginału
Winter of the Wolf Moon

Copyright © 2000 by Steve Hamilton.

For the Polish edition
Copyright © 2009 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 978-83-241-3282-9

Warszawa 2009. Wydanie I
Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.
00-060 Warszawa, ul. Królewska 27
tel. 620 40 13, 620 81 62, 691962519
www.wydawnictwoamber.pl

Nenie

Rozdział 1

DWIE MINUTY: tyle wystarczyło, żebym zrozumiał, że popełniłem wielki błąd.

Niebiescy byli dobrzy. Potężni, szybcy, znali się na hokeju. Od samego początku kontrolowali mecz. Krążek śmigał między nimi jak w automacie do gry, przez niebieską linię, do rogu, z powrotem na środek. W strefie podbramkowej uspokajali się, nie śpieszyli, czekali na najlepszą okazję. Przypominali pięć wilków okrążających ofiarę. Strzał był tylko ciemną smugą. Środkowy napastnik, przez nikogo nieatakowany, przejechał przed bramką. Gwałtowny ruch nadgarstka i krążek gładkim ślizgiem wpadł w siatkę, zanim bramkarz go zobaczył. Przeleciał mu między nogami. Albo – jak mówią w telewizji – przeszedł przez piątą dziurę.

Dla bramkarza czerwonej drużyny zapowiadał się długi wieczór. Co wcale by mi nie przeszkadzało, gdyby nie był nim pewien czterdziestoośmioletni idiota, który dał się namówić do tej roli.

– To liga „trzydzieści plus” – powiedział Vinnie. – Grają w czwartki wieczorem. Bez brutalnych sztuczek i błyskawicznych akcji. Nazywają to „wolnym krążkiem”, kumasz?

– Kumam.

– Świetna zabawa, Alex, spodoba ci się.

Vinnie LeBlanc był moim indiańskim przyjacielem ze szczepu Ojibwa, członkiem plemienia Bay Mills. W jego żyłach płynęła krew kanadyjskich Francuzów, Włochów i Bóg tylko wie kogo jeszcze; tak było w przypadku wszystkich tutejszych Indian. Vinnie nie wyglądał jak typowy Indianin. Tylko twarz – krój oczu, kształt kości policzkowych – sugerowała indiańskie pochodzenie. Nie zachowywał się jak Indianin – nie mówił wol-

no i starannie. W przeciwieństwie do innych, których znałem, zwłaszcza z plemion kanadyjskich, rozmawiając z tobą, patrzył ci prosto w oczy.

Vinnie należał do Ojibwa i był z tego dumny, choć wyniósł się z rezerwatu. Nigdy, przynigdy nie pił. Ani kropli. W garniturze mógł uchodzić za biznesmena ze śródmieścia, a w lesie tropił jelenia tak, jakby wiedział, co dzieje się w głowie zwierzęcia.

Znalazł mnie w Glasgow Inn, gdzie siedziałem przy kominku. Powinienem odgadnąć, że coś się kroi, kiedy postawił mi piwo.

- To nie dla mnie, Vinnie. Od trzydziestu lat nie miałem łyżew na nogach.

- A ile się najeździsz? Będiesz stał w bramce. Daj spokój, Alex, naprawdę cię potrzebujemy.

- Co się stało z waszym bramkarzem?

- Musi przez kilka tygodni odpocząć - odparł Vinnie. - Dostał w szyję.

- Przecież mówiłeś, że to „wolny krążek”!

- Przypadek, Alex. Trafiło go prosto pod maskę.

- Zapomnij, Vinnie. Nie będę bramkarzem.

- Byłeś łapaczem, tak? W lidze double-A?

- Dwa lata grałem w triple-A. No i co z tego?

- Tu jest tak samo. Masz ochraniacze i maskę. Łapiesz krążek zamiast piłki.

- Nie, to co innego.

- Alex, Jeźdźcy Czerwonego Nieba cię potrzebują. Nie możesz nas zawieść.

O mało nie zakrztusiłem się piwem.

- Jeźdźcy Czerwonego Nieba? Żartujesz sobie?

- No to co?

- Brzmi jak nazwa eskadry kamikadze.

Czerwone Niebo to indiańskie imię Vinniego. Podczas sezonu myśliwskiego pracował jako przewodnik, prowadził grupy turystów z Południa na wyprawy po lasach. Lubił wtedy tak siebie nazywać, odgrywał Indianina. W końcu, jak mi raz powiedział, kogo wynajmiesz na przewodnika, faceta imieniem Czer-

wone Niebo czy Vinnie?

- Alex, Alex. - Pokręcił powoli głową ze wzrokiem utkwionym w ogień.

Zaraz się zacznie, pomyślałem.

- To tylko taka tam liga amatorskiego hokeja. Urozmaicenie w czwartkowe wieczory. No wiesz, zamiast gapienia się w śnieg i świrowania.

- Myślałem, że wy, Indianie, pozostajecie w zgodzie z porami roku.

Spojrzał na mnie znacząco.

- Mam w drużynie ośmiu chłopca. Wszyscy bardzo się rozczarują. Musimy oddać mecz walkowerem, bo były zawodowy sportowiec boi się włożyć ochraniacze i stanąć na bramce. Zamierzasz całą zimę siedzieć na dupie? Nigdy nie czujesz potrzeby, żeby coś zrobić, Alex? Żeby znowu wykorzystać mięśnie?

- Łamiesz mi serce, Vinnie. Naprawdę.

- Możesz wziąć strój Bradleya. Jest nowy. Maski, ochraniacze, rękawice, łyżwy. Jaki nosisz rozmiar?

- Jedenaście.

- Idealnie.

Po tej wymianie zdań nie miałem szans. Vinnie zawsze ratował mnie w potrzebie, opiekował się domkami, kiedy wyjeżdżałem i robiłem z siebie idiotę, udając prywatnego detektywa. Na pewno byłem mu winien przysługę. No i miał rację, męczyła mnie już ta zimowa beczczynność. W sumie, nic trudnego. Włożę ochraniacze, stanę na bramce. Niewykluczone, że będzie niezła zabawa.

I była. Wyłowiłem krążek i posłałem do sędziego, który ustawił go na środkowej linii. Ledwo łyknąłem wody z butelki, kiedy wrócili na moje pole, szukając okazji do następnego strzału. Niebieski napastnik jeździł przed moją bramką, jakby była jego własnością. Szybko wodziłem wzrokiem, żeby orientować się w położeniu krążka.

- Zabierzcie stąd tego gościa! - krzyknąłem do kolegów. -

Niech się nie kręci!

Długi strzał nadszedł zza niebieskiej linii. Zablokowałem krążek, ale zanim zdążyłem za nim zanurkować, środkowy napastnik posłał go do bramki. Mecz trwał dopiero trzy minuty, a ja już puściłem dwa gole. Niebieski zaczął tańczyć, machając kijem, kumple skakali wokół niego, jakby zdobyli puchar Stanleya.

Koło mnie przejechał Vinnie.

- Trzymaj się, Alex. Postaramy się bardziej ci pomóc.

Złapałem go za czerwoną bluzę.

- Na litość boską, Vinnie, walnijcie tego gościa. Rozbił obóz naprzeciwko mnie.

- Żadnych brutalnych zagrywek, pamiętasz? Alex, gramy dla zabawy.

- Ja wcale się nie bawię - warknąłem. - Nie musisz go zabijać, wystarczy, jak... trochę go szturchniesz.

Niebieski zataczał wielkie kręgi i podrzucał głową. Śpiewał sobie: „O tak, dziecinko, o tak, o tak, dziecinko”.

Znałem takie typy. Nieważne, jaki sport uprawiasz, zawsze trafisz na takich facetów. W bejsbolu jest to zwykle pierwszy bazyowy albo zapolowy. Wchodzą na boisko zamaszystym krokiem. Kiedy zajmują pozycję, tradycyjnie pytasz, jak się mają, ale oni cię ignorują. Pierwszy rzut jest chybiony, a wtedy groźnie oglądają się na sędziego. Jak śmiało nie uznać rzutu? Odrzucam piłkę łapaczowi i daję znak, żeby teraz się postarał. Faceci tacy jak oni od czasu do czasu potrzebują poczuć gniew Boga, żeby sobie przypomnieć, że tak jak my wszyscy, też są ludźmi. Jeśli nie wstrząśnie nimi piorun z jasnego nieba, to przynajmniej solidna piłka pędząca z prędkością stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę prosto na ich brodę.

Pocieszające, że wśród hokeistów też są tacy. Vinnie uśmiechnął się, zdjął rękawicę i poprawił kask.

- Może trochę go szturchnę. - Puścił do mnie oko.

Wiedziałem, że w tej lidze grają trzy razy po dziesięć minut, ustępstwo ze względu na wiek oraz fakt, iż większość drużyn składa się z dziewięciu albo dziesięciu graczy. Zostało mi tylko

dwadzieścia siedem minut. Uderzyłem kijem o lód. Naprzód, Jeźdźcy Czerwonego Nieba!

Chłopcy Vinniego w końcu się obudzili i zaczęli grać. Kiedy krążek był po przeciwnej stronie lodowiska, stałem samotnie przed bramką i rozglądałem się po Big Bear Arena. Nowiutka, zbudowana przez plemię z Sault za pieniądze zarobione w kasynie. Dwa lodowiska rozdzielone szatniami, restauracja na piętrze. Trybuny świeciły pustkami, tylko kilka kobiet oglądało grę. Chyba żadna z nich nie kibicowała naszej drużynie. Zdjąłem maskę i wytarłem pot. Strój łapacza, który nosiłem milion lat temu - ochraniacz na klatkę piersiową i łydki - był niczym w porównaniu ze strojem bramkarza: jakby do nóg przywiązano mi po materacu.

Gra stała się trochę „rwana”, jak mawiają komentatorzy telewizyjni. Po kątach w ruch szły łokcie, kije uderzały o kije, może nawet o nogi. Był tylko jeden sędzia, drobny facecik z gwizdkiem, w który nie odważył się dmuchnąć. Przypuszczalnie emerytowany urzędnik państwowy; w życiu nikomu nie wszedł w drogę i nie zamierzał robić tego teraz.

W końcu obroniłem kilka strzałów. Uświadomiłem sobie, że to w niczym nie przypomina łapania piłki bejsbolowej. Łapacz staje się żywym murem. Opuszcza rękawicę między nogi. Nawet nie próbuje złapać piłki toczącej się po ziemi. Pozwala, by się od niego odbiła, zdiera maskę i dopiero wtedy łapie. Bramkarz hokejowy może wykazać więcej inicjatywy, wychodzić poza bramkę, ścinać kąty.

- Tylko tak dalej, Alex! - krzyknął Vinnie, ciężko oddychając. Walnął mnie kijem po ochraniaczach. - Już wiesz, o co w tym chodzi.

Pod koniec pierwszej części przeciwnik luźno posłał krążek w siatkę. Skoczyłem do przodu. Niebieski środkowy jechał prosto na mnie. Wyhamował, łyżwami zdzierając lód i obsypując mi twarz płatkami. Stara sztuczka. Wiele razy widziałem ją w telewizji, teraz doświadczyłem jej na sobie.

Podnosząc się, oparłem kij o wgłębienie jego kolana. Odwrócił

się i odparował atak. Złapał kij w obie ręce i bum, gruchnął mnie w klatkę piersiową. Spojrzałem mu w oczy. Zimny błękit. Rozszerzone źrenice, wielkie jak monety. Mój Boże, ten facet jest naćpany, szalony albo jedno i drugie.

Sędzia wjechał między nas.

- Spokojnie, chłopaki - powiedział. - Żadnych takich.

- Hej, panie sędzio! - zawołałem. - Widzi pan ten metalowy przedmiot? Jak się w niego dmuchnie, w środku wibruje groszek i rozlega się gwizd. Proszę wypróbować. A potem niech pan da temu błaznowi dwuminutową karę.

- Pograjmy trochę - mruknął sędzia, odjeżdżając z krążkiem.

Środkowy nie odrywał ode mnie szalonych oczu. Zdjąłem maskę.

- Coś ci się nie podoba?

Uśmiechnął się, widząc moją twarz.

- Przepraszam, nie wiedziałem, że jesteś taki stary. Postaram się traktować cię ulgowo.

Po pierwszej części usiedliśmy na ławkach i przez kilka minut wycieraliśmy spocone twarze. Nikt nic nie mówił. Słyszeliśmy, jak przeciwna drużyna śmieje się i pokrzykuje. Trochę za głośno. Trochę za radośnie. Potem zaczęli skandować. Głupie rymowanki, które słyhać w Atlancie na meczach drużyny Braves. Indiańska pieśń wojenna.

Vinnie wstał i spojrzał nad przepierzeniem na nich, potem na nas. Osiem twarzy, wszyscy z plemienia Ojibawa z Bay Mills. Plus jeden stary biały. Nikt nie odezwał się ani słowem. Nie musiał.

Zaczyna się, pomyślałem. Już wcześniej widziałem to spojrzenie. Nie spotkałem Ojibawy, który w głębi serca nie byłby łagodnym i nieziemsko cierpliwym człowiekiem. Ale kiedy tę cierpliwość zbyt często wystawiasz na próbę, lepiej miej się na baczności. Co kilka miesięcy widać to w kasynach. Jacyś pijani biali urządzają awanturę, zaczynają wrzeszczeć na szefa sali, że „ten łachmyta, indiański krupier oszukuje”. Nie zdają sobie sprawy, że szef też jest członkiem plemienia. Jeśli goście przesadzą,

wylatują przez okno.

W drugiej części czułem się nieudacznikiem, obserwując, jak Jeźdźcy Czerwonego Nieba ulegają Niebieskim. W jednym Vinnie miał rację: dobrze jest znowu wykorzystać mięśnie. W każdym razie do czegoś innego niż rąbanie drewna czy odgarnianie śniegu. Jeśli to był błąd, to z całą pewnością niewielki. Nie mógłby konkurować z innymi wielkimi błędami w moim życiu, jak małżeństwo w wieku dwudziestu trzech lat: rzuciłem wtedy bejsbol i nie miałem pojęcia, co robić dalej. To nie jest dobry powód do zawierania związku.

Albo jak dałem się przekonać, żeby zostać prywatnym detektywem. I wszystko, co wydarzyło się później.

Albo Sylvia. Pozwoliłem sobie zakochać się w niej. Tak, powiem to. Krążek jest na drugiej połowie, ja jeżdżę tam i z powrotem przed bramką i zastanawiam się, dlaczego rozmyślam o tych sprawach. Ale tak, powiem to. Kochałem ją.

- Ukrywam się tu - wyznała. - Ukrywam się tu przed światem. Myślę, że ty też się ukrywasz, czy się do tego przyznajesz, czy nie. - A potem odeszła, tak po prostu. - Mam nadzieję, że dotknęłam twojego życia. - To jej ostatnie słowa. Cóż za melodramatyczna kwestia, godna studentki college'u. „Mam nadzieję, że dotknęłam twojego życia”.

Tak, Sylvio. Dotknęłaś mojego życia. W taki sposób, w jaki tornado dotyka parkingów z przyczepami.

Krążek zbliża się do mnie. Za nim niebieski środkowy. Odgłos jego łyżew w pustej hali. Zgrzyt, zgrzyt, zgrzyt, zgrzyt.

Śmieszne, jakie myśli przychodzą do głowy w takiej sytuacji. Tak samo było w bejsbolu. Ustawiałem się przy długiej piłce i rozważałem wydarzenia ze swojego życia z nagłą jasnością, jakbym myślał o tym po raz pierwszy.

Jak o największym ze wszystkich moich błędów. Mieszkaniu wariata w Detroit. Aluminiowa folia na ścianach. Mój partner i ja sparaliżowani strachem, wpatrzeni w szaleńca z bronią w ręku.

Zgrzyt, zgrzyt, zgrzyt, zgrzyt.

Sylvia. Patrzy na mnie. Przed chwilą skończyliśmy się kochać w łóżku, które co noc dzieli ze swoim mężem. To mój przyjaciel, ale nic mnie to nie obchodzi. Sylvia jest mi coś winna.

Łyżwiarz pędzi jak błyskawica. To najlepszy zawodnik na lodzie, przypuszczalnie najlepszy zawodnik, jakiego ta mała czwartkowa liga hokeja kiedykolwiek zobaczy. Podnosi na mnie wzrok. Zerkam ponad jego ramieniem. Inni gracze są daleko w tyle. Czas zwalnia. Każdy sportowiec zna to uczucie. Porozumienie bez słów. Jesteśmy tylko my: ja i on.

Nie wyciągnąłem broni na czas. Za długo czekałem. Ja dostałem kulkę, mój partner dostał kulkę i obaj leżymy na ziemi. Tyle krwi. Wszystko to wraca do mnie, choć nie tak gwałtownie jak dawniej. Już o tym nie śnię. Nie potrzebuję tabletek, żeby przetrwać noc. Ale ten obraz wciąż się pojawia. Leżę na podłodze koło swojego partnera.

Wyjeżdżam z bramki do sunącego krążka. Przeciwnik bierze zamach. Nie! To był podstęp. Przyciąga do siebie krążek. Przewracam się na plecy. On zaraz mnie objedzie i strzeli gola do pustej siatki. Chyba że uda mi się odbić krążek. Moja jedyna szansa. Padając, dżgam krążek kijem. Kij trafia między nogi przeciwnika. Facet upada i ślizga się po lodzie twarzą w kierunku bandy. Zaraz wstaje, rzuca rękawice na lód. Ja też zdejmuję rękawice i maskę. On chce mnie uderzyć, ale chybia. Łapię go za bluzę i zaczynamy hokejowy taniec wojenny. Na łyżwach nie da się dobrze zaprzeć do ciosu. Można tylko trzymać gościa i próbować mu zadrzeć koszulę na głowę. Śmieszne są takie zmagania, kiedy nie jest się jednym z tancerzy.

Niebieski ma oczy nabiegłe krwią i piekielnymi chemikaliami, którymi jest naćpany.

- Spokojnie - powiedziałem. - Przepraszam.

- Przepraszasz, kurwa, akurat! - wrzasnął.

Ślina i pot pryskają mi na twarz. Dokoła nas pozostali gracze wykonują ten sam taniec, każdy łapie partnera z energią wprost proporcjonalną do ochoty na bijatykę. Stary sędzia jeździ wokół, dmuchając w gwizdek. Chyba w końcu sobie przypomniał, jak

działa ten metalowy przedmiot.

- Nie chciałem cię przewrócić - wydyszałem. - Uspokój się.

- Pieprzony Indianiec.

- Nie jestem Indianinem.

- Jasne, jesteś cholernie rdzennym Amerykaninem.

Wybuchnąłem śmiechem. Nic nie mogłem na to poradzić.

- Co cię tak śmieszy? - wycedził. - Powiedziałem coś śmiesznego?

- Zawsze grasz na haju?

- Co ty bredzisz?

- Masz większy odlot niż kosmiczny wahadłowiec - prychnąłem. - Gdybym nadal był gliniarzem, musiałbym cię aresztować. Za jazdę na łyżwach pod wpływem.

Porządnie mnie popchnął i odjechał. Taniec się skończył.

- Pieprzony Indianiec - powtórzył.

Dokończyliśmy mecz. W drugiej tercji Vinnie wbił jednego gola. Jego kumpel następnego w trzeciej tercji. Remis 2:2. Kilka razy ładnie obroniłem, żeby zachować ten wynik.

W ostatniej minucie meczu mój nowy przyjaciel, niebieski środkowy, posłał krążek prosto na mnie. Zakręcił i wystrzelił rakiętę. Żadnych mocnych rzutów, akurat. Wybiłem krążek rękawicą na tyle wysoko, że trafił w poprzeczkę. Głośne brzdęknięcie odbiło się echem w całej hali.

Mecz się skończył, nie było doliczonego czasu. Następni zawodnicy już czekali, aż maszyna wyładzi po nas lód.

Środkowy wpatrywał się we mnie, ciężko oddychając.

Wspominam teraz tę chwilę, gdy staliśmy naprzeciwko siebie na lodzie. Zastanawiam się, jak bym postąpił, gdybym wiedział, co się wydarzy w ciągu kilku następnych dni. Pewnie walnąłbym go kijem w twarz albo dźgnął w kark. Ale oczywiście wtedy nie mogłem tego wiedzieć. W tamtej chwili był tylko przemądrzałym hokeistą i dupkiem, a ja staruchem, który odebrał mu trzecią bramkę.

- Nie będzie hat tricka - powiedziałem. - Dzisiaj Kowbojom i Indianom musi wystarczyć remis.

Rozdział 2

NOC BYŁA ZIMNA, temperatura spadła poniżej minus dwudziestu. Wilgotne włosy natychmiast mi zamarzły, kiedy wyszedłem na dwór. Po drugiej stronie ulicy dumnie błyskały światła Kewadin Casino, wielkiego budynku udekorowanego potężnymi trójkątami, które miały przypominać indiańskie tipi. Dochodziła północ mroźnej czwartkowej nocy, ale parking był pełny.

Horns Inn znajdował się niedaleko, po wschodniej stronie Sault Ste. Marie¹, skąd rozciągał się widok na rzekę St. Marys. Już od progu w oczy rzuciły się głowy jeleni i niedźwiedzi, wypchane kojoty i ptaki, w sumie prawie każdy gatunek zwierząt. Zwykle nie spędzam tu wiele czasu, ale stawał Vinnie, więc niech tam, do diabła. Tyle przynajmniej mogłem zrobić, nawet jeśli piwo było amerykańskie.

- Zdrowie naszego nowego bramkarza. - Vinnie uniósł szklankę z pepsi. Zestawiliśmy kilka stolików pod ścianą. Ośmiu członków drużyny spokojnie piło drugie piwo.

- Zaraz, zaraz - przerwałem. - Mówiłeś, że to tylko występ na jeden wieczór?

- Jasne, ale byłeś rewelacyjny, Alex. Musisz grać dalej. Tamci faceci do dzisiaj mieli na koncie same wygrane. A my z nimi zremisowaliśmy!

Jeśli kumple z drużyny dzielali jego entuzjazm, nie dali tego po sobie poznać. Spojrzałem po kolei na każdego z nich. W paru przypadkach od razu się poznawało, że to Indianie. Pozostali byli jak Vinnie: mieszana krew. Pochodzenie zdradzały tylko kości policzkowe albo ciemne, czujne oczy.

¹ Sault Ste. Marie to nazwa dwóch przygranicznych miast w USA i Kanadzie. W dalszej części powieści nazywane są też odpowiednio Soo Michigan i Soo Canada (przyp. tłum.).

Wszyscy ostro pili. Kilku schłało się w trupa. Wiedziałem, że to martwi Vinniego.

- Czasami mam wyrzuty sumienia, że mieszkam poza rezerwatem - wyznał mi kiedyś. - Wielu członków mojego plemienia uważa, że ich porzuciłem. Jako nastolatek mogłem wejść do każdego domu. Tak po prostu. Otworzyć lodówkę, zrobić sobie kanpkę. Włączyć telewizor. Wszyscy byli moimi krewnymi.

Nigdy mi nie powiedział, dlaczego właściwie wyjechał z rezerwatu. Może chciał kupić własny dom. Albo też cała ta rodzinna wspólnota, o której opowiadał, okazała się nie do zniesienia.

Vinnie mieszka w Raju przy tej samej drodze, co ja. Jest moim najbliższym sąsiadem i chyba najlepszym przyjacielem, zaraz po Jackiem. Pracuje jako krupier blackjacka w Bay Mills Casino, kiedy nie prowadzi wypraw łowieckich jako Czerwone Niebo.

- Znasz różnicę pomiędzy indiańskim krupierem blackjacka a białym krupierem blackjacka? - zapytał. - Biały krupier sam nigdy nie uprawia hazardu. Ci faceci z Vegas na przykład. Widzą, jak przez całą noc tysiąc ludzi gra w blackjacka, a może z pięćdziesięciu wygrywa, tak? Myślisz, że ci krupierzy wymienią swoją wypłatę na gotówkę i sami zaczną stawiać? Mam kuzynów, którzy co tydzień tracą wszystko co do centa. Odbierają wypłatę, kupują trochę żarcia i piwa, potem idą prosto do kasyna i tracą resztę. Co tydzień, cholera. I choćbym nie wiem co zrobił, to się nie zmieni.

Vinnie siedział przy stole i patrzył na łeb łosia wiszący na ścianie. Nikt nic nie mówił. Była cicha mroźna noc w Horns Inn.

Aż do przyjścia Niebieskich.

Wpadli do środka, strasznie hałasując i wpuszczając powiew arktycznego powietrza, od którego zagrzechotało szkło na naszym stole.

- Jasny gwint! - zawołał jeden. - Widzieliście coś takiego?

Zestawili stoliki na drugim końcu sali. W sumie było ich osiemnaścioro, dziewięciu mężczyzn i dziewięć kobiet. Większość miała na sobie skórzane lotnicze kurtki. Nawet z futrzanymi kołnierzami nie mogły być dość ciepłe.

Mój nowy kumpel podszedł do baru i zamówił piwo dla wszystkich. Miał typową hokejową fryzurę - włosy ostrzyżone krótko na bokach i długie z tyłu.

- Do diabła, kim jest ten facet? - zapytałem.

- Kto, środkowy?

- Taa. Pan Ważniak.

- To Lonnie Bruckman. Niezły aparat, co?

- Zawsze gra na haju?

Vinnie wybuchnął śmiechem.

- Zauważyłeś, co?

- Trudno nie zauważyć.

- Ale umie jeździć na łyżwach, no nie? Wydaje mi się, że grał w jednej z lokalnych drużyn. Pozostali w większości to jego starzy kumple z Kanady. Co tydzień sprowadza nowego.

Bruckman zaniósł kufle z piwem do stolika. Wracając po następne, zobaczył nas. Nasza szczęśliwa noc.

- Hej, Indianie! - ryknął. Kiedy przystanął obok, mogłem dokładnie mu się przyjrzeć. Czymkolwiek się szprycował, chyba po meczu wziął następną dawkę. Koka albo speed, może jedno i drugie. - Fajny mecz, chłopcy. Przynieść wam piwko?

Nikt się nie odezwał.

Spojrzał na szklankę Vinniego.

- Co tam masz, LeBlanc? Rum z colą? Postawię ci, chcesz?

- To pepsi - odparł Vinnie.

- Robisz mnie w konia. Indianiec, który nie pije? - Roześmiał się, jakby to była najśmieszniejsza rzecz, jaką w życiu słyszał.

- Nic nam nie trzeba - powiedział Vinnie. - Ale dzięki za propozycję.

- Hej, stary - zwrócił się do mnie Bruckman. - Ładnie obro- niłeś ten ostatni strzał. Przeszkodziłeś mi w zdobyciu hat tricka.

- Następnym razem cię dopadnę.

- Nie będzie następnego razu - wyjaśniłem. - Dzisiaj byłem na zastępstwie.

- Musisz grać. Jesteś dobry. Wierz mi, znam się na tym. Grałem w juniorach w Oshawie. Na tej samej pozycji co Eric Lin-

dros, zanim poszedł dalej. Ja też zrobiłbym karierę, gdybym nie był Amerykaninem.

Proszę, zawsze jest jakaś wymówka. Z tych wszystkich chłopaków, z którymi grałem w bejsbol, większość oczywiście nie dostała się do pierwszej ligi. Udaje się to może jednemu na stu. Pozostałych dziewięćdziesięciu dziewięciu ma podobną historijkę. Trener nigdy nie dał mi szansy. Nabawiłem się kontuzji. Nie dostawałem dość piłek. Żaden nigdy po prostu nie przyzna: nie byłem dość dobry.

Ale wykręcanie się amerykańskim pochodzeniem to coś nowego. Tak może powiedzieć tylko hokeista. Powiniennem puścić jego słowa mimo uszu. Przytaknąć, uśmiechnąć się, pozwolić, żeby gość robił z siebie idiotę, ponabijać się z niego później. Nie mogłem się jednak powstrzymać.

- Och, wielka szkoda - wymamrotałem. - Nie pozwolili Amerykaninowi grać w NHL? To nie w porządku. Prawda, Vinnie?

- To musi być jakiś spisek - odparł przyjaciel.

- Ilu Amerykanów gra w NHL? Założę się, że można ich policzyć na palcach jednej ręki. Zaraz, zaraz... John LeClair, Brian Leetch, Chris Chelios...

- Doug Weight - dodał Vinnie. - I jeszcze Mike Modano, Tony Amonte.

- Keith Tkachuk, Pat LaFontaine, Adam Deadmarsh.

- Jeremy Roenick, Gary Suter.

- Shawn McEachern, Joel Otto.

- Czy Bryan Berard jest Amerykaninem?

- Tak mi się wydaje.

- Derian Hatcher, Kevin Hatcher. To bracia?

- Nie wiem - odparłem. - Ale obaj są Amerykanami.

- Mike Richter na bramce.

- I John Vanbiesbrouck.

- Dobra, dobra - mruknął Bruckman. - Dość tych jaj. Nie wiedziałem, że Indianie są tacy zabawni.

- Zapomnieliśmy o Bretcie Hullu! - wykrzyknął Vinnie.

Bruckman złapał go za ramię.

- Powiedziałem: dość. - Przestał się uśmiechać.

- Zabieraj ode mnie łapy - warknął Vinnie.

- Nabijasz się ze mnie, a ja tego nie lubię. Ostatni gość, który się ze mnie śmiał, stracił zęby.

W knajpie zapadła cisza. Jego kumple gapili się na nas. Pozostali klienci też. Było ich ze dwunastu. Oglądali mecz Red Wings w telewizji. Barman w jednej ręce trzymał miarkę, w drugiej ścierkę. Nie wyglądał na szczęśliwego.

- Bruckman - wycedziłem, patrząc mu w oczy. - Wyjdź stąd.

Długą chwilę wpatrywał się we mnie. Oceniał, kalkulował swoje szanse. Mogłem tylko mieć nadzieję, że chemikalia szalejące w mózgu nie skłonią go do czegoś głupiego. Bez łyżew i ochraniaczy diabelnie nie chciałem z nim walczyć.

- Miałeś farta - powiedział wreszcie. - Powinienem zdobyć hat tricka. Nawet nie widziałeś krążka.

- Jak uważasz, Bruckman. A teraz idź stąd.

- Popatrzcie na siebie. Żałośni Indiańce. Nie kapuję, dlaczego pozwalają wam otwierać kasyna.

Barman wziął kij bejsbolowy.

- Chłopaki, albo kończycie tę gównianą gadkę, albo dzwonię na policję.

- Nie fatyguj się - rzucił Bruckman. - Wychodzimy. Tu jest za dużo nawalonych Indian.

Zanim wrócił do swojego stolika, spojrzął na mnie przeciągle. Nie miałem ochoty go przekonywać, że jestem biały tak samo jak on.

Włożyli skórzane kurtki, kopniakami przewrócili parę krzesel, wymamrotali jakieś przekleństwa i wyszli, nie płacąc za piwo. W knajpie znowu zapadła cisza. Vinnie wpatrywał się w podłogę. Jego przyjaciele też siedzieli z martwym wzrokiem. Szukałem w myślach słów, które wyrwałyby ich z transu, ale nic nie przychodziło mi do głowy.

- Wiesz, co najbardziej mnie gryzie? - odezwał się w końcu Vinnie.

- Co?
- Widziałeś kobiety, które z nimi były? Jedną znam.
- Tak?
- Wychowałem się z nią. W rezerwacie.

WYSZEDŁEM PO PIERWSZEJ W NOCY. Vinnie podziękował mi za grę. Większość zawodników też. Pozostali wypili za dużo piwa.

Przed wyjściem przeprosiłem barmana na rozróbę.

- Spoko - odparł. - Jeśli nie muszę czytać o tym w jutrzejszej gazecie, sprawy nie było.

Rzuciłem kilka banknotów na kontuar. Dwaj mężczyźni spali na barowych stołkach z głowami ukrytymi w ramionach. Jedyna różnica polegała na tym, że facet z prawej chrapał, a facet z lewej nie. Nie sądziłem, by którykolwiek z nich był Indianinem. Mogłem iść o zakład, że to dwaj biali, którzy przychodzą tu codziennie i upijają się do nieprzytomności. Kiedyś ktoś mi powiedział, że trzy procent ludności Michigan mieszka na Upper Peninsula i wypija dwadzieścia osiem procent alkoholu przypadającego na cały stan. Nie słyszałem natomiast, żeby ktoś mówił: co za wstyd, ci biali kolesie to sami pijacy i degeneraci.

- Hej! - zawołał barman. - Ty jesteś ten prywatny detektyw, który pracował dla Uttleya?

- Tak.

- Gdzie on się podział? Jakoś się nie pokazuje.

- Nie mam pojęcia - odparłem zgodnie z prawdą.

- Wziął u mnie kredyt. I nie spłacił.

- Ile jest winny? - Znów wyciągnąłem portfel.

Barman podniósł ręce.

- To sprawa między nim a mną. Nie zgodzę się, żebyś ty płacił. Ale jak go kiedyś zobaczysz, przekaż mu, że wisi mi forszę.

- Dobrze. - Uśmiechnąłem się lekko.

Kiedy wyszedłem na dwór, lodowaty podmuch od jeziora smagnął mi twarz. Zamknąłem oczy i zakryłem rękawicami.

Wiatr ucichł. Jego zapach i ciężar groził dalszymi opadami śniegu.

Popatrzyłem na drugi brzeg rzeki St. Marys. Od miesiąca była skuta lodem. Śluzę zamknięto na zimę. Następny statek popłynie tędy najwcześniej w marcu. Wabiły mnie światła Kanady. Gdybym chciał, mógłbym przejść na drugi brzeg. Żadnych celników, barier. I nie byłbym pierwszy. Opowiadano historie o mężczyznach, którzy porzucili żony i rodziny, po czym po lodzie wkroczyli w nowe życie w innym kraju.

Uruchomiłem silnik ciężarówki i nastawiłem ogrzewanie na cały regulator. Przezroczysty plastik w oknie od strony pasażera wcale nie pomagał. Zanotowałem w myślach, żeby jutro zadzwonić do warsztatu i zapytać, czy mają już nową szybę. Kiedy ją zamówiłem, powiedzieli, że trzeba czekać dwa do trzech tygodni. Niedługą miną trzy miesiące.

Jechałem przez miasto w stłumionym świetle lamp ulicznych i barów. Z przodu ciężarówki wisiał pług, czterysta kilogramów pustaków w bagażniku zapewniało dobrą przyczepność. Tej nocy drogi zostały odsnieżone. Były więc przejezdne, ale wiedziałem, że to nie potrwa długo. Bo nigdy nie trwa, dopiero na wiosnę sytuacja się poprawia.

Kiedy wjechałem na autostradę, jakiś czas zajęło mi rozpedzenie ciężarówki do dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Czulem, jak silnik zмага się z obciążeniem. Szosą 1-75 do M-28 i na zachód przez Hiawatha National Forest do drogi 123. Znałem tę trasę na pamięć. Drogę miałem tylko dla siebie, sosny po obu stronach uginały się pod czapami śniegu. Wiatr gwizdał przez plastik. Kiedy wreszcie wstawią mi szybę, nagle cisza doprowadzi mnie chyba do szaleństwa, pomyślałem.

W Raju jest jedna główna i jedna boczna droga, która prowadzi do stanowego parku Tahquamenon Falls. Na skrzyżowaniu pulsowało pomarańczowe światło. Jak założą normalną sygnalizację, będzie wiadomo, że zachodzi wielka zmiana. Bo na razie miasteczko to stacja benzynowa, trzy bary, w tym Glasgow Inn, cztery sklepy z pamiątkami oraz kilkanaście motelików latem

goszczących turystów, zimą myśliwych. Oraz mnóstwo domków rozrzuconych po lasach.

W Glasgow Inn paliły się światła, ale się nie zatrzymałem. W końcu nie muszę tam chodzić co wieczór. Po osiemdziesięciu, dziewięćdziesięciu wizytach z rzędu człowiek ma prawo wziąć sobie wolne.

Półtora kilometra od skrzyżowania zaczyna się stara droga drwali. Prowadzi na zachód w głąb lasu. W pierwszej chacie po lewej mieszka Vinnie. Wiedziałem, że jeszcze nie wrócił – jak zwykle odwoził kolegów z drużyny do rezerwatu Bay Mills; pewnie musiał też pogadać z setką krewnych, którzy wciąż nie rozumieli, dlaczego się wyprowadził. Będzie miał szczęście, jeśli do domu wróci przed świtem.

Następnych sześć chat należy do mnie. Ojciec budował je w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, jedną co lato, potem zachorował i nie miał już sił pracować. Kiedy wystąpiłem z policji, planowałem, że pomieszka tu jakiś czas, a potem je sprzedam. To było czternaście i pół roku temu.

Może Sylvia miała rację. Może ukrywam się przed światem.

Nie chciałem o tym myśleć. Byłem zmęczony. Mięśnie zeszywniały mi z zimna. W taką noc pragnąłem tylko znaleźć się w ciepłym łóżku. Poza tym prostym życzeniem zależało mi jeszcze na dwóch innych rzeczach. Po pierwsze, żebym rano nie czuł się okropnie; lekki ból mięśni to wszystko, co mogę znieść. Po drugie, żebym nigdy więcej nie musiał spotykać się z tym pajacem Bruckmanem. Przy takich facetach wylażą moje najgorsze cechy. Nie chcę znowu go widzieć.

Trzy małe prośby. Tylko tyle chciałem od życia. To chyba nie za wiele.

A może jednak?

Rozdział 3

OBUDZIŁEM SIĘ RANO. Spróbowałem podnieść głowę. Fatalny pomysł. Skrzywiłem się, wstrzymałem oddech, zebrałem siły i postarałem się usiąść. Kolejny fatalny pomysł.

Boże Wszechmogący, tym razem naprawdę się załatwiłem...

Usiłowałem wstać. Nie udało się. Niektóre mięśnie dostają porządny wycisk, kiedy człowiek szykuje się do ataku i kotysze ciałem z boku na bok. Wiem, bo kiedy grałem w bejsbol, codziennie je wykorzystywałem. Zginacz biodrowy. Mięsień czterogłowy. Teraz bolały jak diabli. Przez dwadzieścia cztery lata odpoczywały, a tu nagle wczorajszy wieczór.

Złapałem się krzesła i podciągnąłem do pionu. Mięśnie pleców napięte jak struny w pianinie. Ściągną stawu skokowego. Mięśnie lędźwiowe. Co za idiota ze mnie. Jeśli kiedykolwiek odzyskam siły, uduszę Vinniego.

Prysznic. Strumień gorącej wody. Wziąłem azymut na łazienkę. Spokojnie, bez gwałtownych ruchów. Zrób krok. Boże, ale boli. Następny krok. Boże, ale boli. Powoli pokonywałem zimną i twardą podłogę. Przez okno widziałem, że pada drobny śnieg.

Jakimś cudem dotarłem do prysznica, odkręciłem wodę i czekałem, aż zacznie płynąć gorąca. Spojrzałem na swoje odbicie w lustrze. Czterdziestoosmiolatek nie powinien tak się czuć. To idiotyczne.

Wchodząc pod prysznic, krzyknąłem. Musiałem podnieść nogę, żeby przekroczyć ściankę brodzika. Przez pół godziny stałem pod strumieniem wody. Poczułem się trochę lepiej. Przy wychodzeniu brodzik nie stanowił już przeszkody.

Włożyłem spodnie. Życie stało się łatwiejsze. Ogoliłem się, zrobiłem śniadanie, usiadłem przy stole i patrząc w okno, piłem kawę. Pokrywa śniegu zwiększyła się z dziesięć centymetrów. W

tych okolicach to tyle co nic.

Wyszedłem i wsiadłem do ciężarówki, żeby pługiem zgarnąć śnieg z mojej drogi. Najpierw pojechałem na zachód, w głąb lasu. Mieszkałem w pierwszej chacie, którą pomogłem ojcu zbudować latem 1968 roku. Drugą chatę, nieco większą, ojciec postawił sam rok później. Teraz nie miała lokatora; facet z południa stanu odwołał rezerwację.

Trzecia chata była większa od drugiej - i tak dalej, aż do szóstej, ostatniej, na końcu drogi. Każda znaczyła jedno lato w życiu ojca. O tej porze roku w nasze okolice przyjeżdżają wyłącznie amatorzy jazdy na skuterach śnieżnych. W dzień z rykiem pędzą po szlakach. Mam uraz do skuterów. Ten hałas, oleisty siny dym. I do ludzi, którzy nimi jeżdżą, zakutanych w kombinezony jak ludzik Michelina, nachlanych piwem i sznapsami. Przy odpowiednim wietrze słysząc ich też w środku nocy. Wtedy dochodzi do wypadków. Co tydzień można przeczytać w gazecie o kretynie, który zderzył się z przewróconym drzewem albo wpadł do wody, bo załamał się pod nim lód. Najbardziej w pamięci utkwił mi taki, co zjechał ze szlaku prosto pod stary drut ogradzający wybieg dla koni. Biedak, któryjechał za nim, musiał podnieść ze śniegu kask, z głową w środku.

- Ty naprawdę nie cierpisz skuterów, co? - zapytał mnie kiedyś Jackie.

- Tak. Wręcz nienawidzę - przyznałem.

- A wiesz, że każdy motel w mieście zimą ma komplet rezerwacji na dwa lata z góry? To nie letnicy dają utrzymanie miastu, Alex, ani myśliwi, już nie, tylko ci od skuterów. Komu o tej porze roku wynajmujesz chaty?

- Obserwatorom ptaków. Narciarzom na biegówkach. Face-
tom z raketami śnieżnymi.

- Akurat, do diabła - odparł Jackie. - Gdyby nie było skuterów, ciekawe, co byś robił od grudnia do marca.

- Pojechałbym na Florydę.

- Taa, już to widzę. Alex McKnight siedzi na plaży i pije mar-

garitę.

- Czemu nie?

- Za długo tu mieszkasz. Masz to miejsce we krwi. - Pamiętam, jak Jackie oparty o bar złapał mnie za kołnierz. - Jesteś stąd, Alex. Jesteś jednym z nas.

Śnieg był suchy i sypki jak talk. Zgarniałem go lekko i bezszelестnie. Później zawróciłem i ruszyłem na wschód do głównej drogi. Minąłem swoją chatę i odśnieżyłem przed domem Vinniego. Jego samochodu nie było. Pewnie spędził noc w rezerwacie. Zwykle odśnieżałem też jego podjazd, ale dzisiaj nie miałem na to ochoty. Niech choć raz popracuje łopata.

Pojechałem dalej, ale się zatrzymałem. Wróciłem i jednak zgarnąłem śnieg z podjazdu Vinniego.

Pojechałem do miasteczka, odebrałem pocztę i zatankowałem ciężarówkę. Od zatoki Whitefish wiał zimny poranny wiatr. Zatokę także pokrywał lód, choć ze trzy kilometry dalej woda swobodnie falowała. Tą wodą karmią się bóstwa śniegu. Przypomniałem sobie noc sprzed kilku lat, kiedy przez dwanaście godzin napadało prawie półtora metra śniegu. W taki czas, gdziekolwiek zastanie cię śnieżycą, w barze, w restauracji, w domu, tam spędzisz kilka następnych dni.

Na stację benzynową wtoczyła się wielka ciężarówka z przyczepą. Na pace stały dwa skutery śnieżne. Drogie, pewnie każdy kosztował co najmniej siedem tysięcy dolarów. Z ciężarówki wysiadł kierowca. Miał na sobie nowy kombinezon - kolejny tysiąc dolców. Spojrzał na mnie, na moje dżinsy i myśliwskie buty, na kurtkę, która miała za sobą dwanaście surowych zim, i na mojego gruchota starszego nawet od kurtki, z kawałkiem plastiku w oknie od strony pasażera.

- Siema - powiedział.

- Witam.

- Fajne to wasze miasteczko.

- Cieszę się, że się panu podoba.

- Jedziemy od siedmiu godzin. Trudno się do was dostać.

- Ale nie za trudno.

Uśmiechnął się i pokiwał głową. Przypuszczam, że wcale mnie nie słuchał.

- Miłego dnia. - Pomachał ręką.

Z dobrymi życzeniami i bakiem pełnym benzyny byłem przygotowany na dzień. Wstąpiłem do Glasgow Inn, żeby zjeść lunch i pograć właścicielowi na nerwach. Jackie urządził knajpę w stylu szkockiego pubu: kominiek, stoliki i wielkie, miękkie fotele. Jackie urodził się w Glasgow. Wyzbył się już akcentu, ale z całą pewnością wyglądał jak jeden z tych ogorzałych facetów prowadzących wózki na polach golfowych. O tej porze dnia w lokalu panowała pustka, tylko kilku miejscowych czytało gazety. Jackie siedział przy kominku.

- Gdzie byłeś wczoraj wieczorem? - zapytał.

- A co, mam cię informować, że nie przyjdę?

- O rany, tak tylko się zastanawiałem, co robiłeś.

- Grałem w hokeja.

- Jasne - prychnął Jackie. - Zaraz po tym, jak cię porwali kosmici i zabrali na przejażdżkę swoim statkiem.

- Vinnie ma drużynę. Liga trzydzieści plus. - Pochyliłem się wolno i ostrożnie. W końcu zdołałem usiąść na krześle. - Poro biły mi się zakwasy.

- Alex, jak mówią trzydzieści plus, to zwykle znaczy więcej niż trzydzieści i mniej niż pięćdziesiąt.

- Mam czterdzieści osiem, mądralo. A teraz rusz dupę i przynieś mi piwo. A przy okazji zrób mi kanapkę.

- Co za maniery.

Jackie poszedł za bar i otworzył chłodziarkę. Położyłem stopy na małym podnóżku. Od kominka biło przyjemne ciepło. Mógłbym tu zasnąć.

- Proszę. - Jackie postawił na stoliku obok mnie talerz i butelkę.

- Co to jest?

- Kanapka. Z szynką i serem provolone. - Jackie wrócił za bar. I słusznie, bo nie zamierzałem mu oddać podnóżka.

- Pytam o butelkę - powiedziałem głośno. Mężczyzna w kącie

podniósł wzrok znad gazety i z uśmiechem pokiwał głową.

- To piwo, Alex.

- Jakie?

- Molson. Umiesz czytać.

- Jaki rodzaj molsona?

Jackie przeciągle westchnął.

- Amerykański.

- A gdzie moje kanadyjskie piwo?

Zawarliśmy umowę. Jak wyjeżdżał za granicę, przywoził mi skrzynkę kanadyjskiego molsona. Nie może go sprzedawać w Stanach, ale zawsze, wyłącznie na mój użytek, trzyma kilka butelek w chłodziarce.

- Kanadyjskie wyszło - odparł. - Jutro ci dostarczę.

- Ja myślę. I dawaj mi znać, jak zapas się kończy.

- A co, nie mam nic lepszego do roboty, tylko monitorować twój osobisty zapas piwa?

- Prawdę mówiąc, Jackie, nie masz. Powinienem być dla ciebie absolutnym priorytetem.

- Pij to cholerne amerykańskie piwo, dobra? Przysięgam, kiedyś zawiążę ci oczy i zobaczymy, czy rozróżnisz. Założę się o pięćset dolców, że nie.

Zanim zdążyłem przyjąć zakład, otworzyły się drzwi. Po sali przeleciał lodowaty powiew, a człowiek, który wszedł, był mniej więcej tak samo pożądany jak to mroźne powietrze. Leon Prudell.

- A tak! - zawołał Jackie zza baru. - Miałem ci przekazać. Leon Prudell szukał cię wczoraj wieczorem. Powiedziałem, żeby wrócił dzisiaj w porze lunchu.

- Wielkie dzięki - odparłem.

Prudell podszedł do kominka i usiadł w sąsiednim fotelu.

- Jak leci, Alex?

- Prudell...

- Mów mi Leon.

Niewiele się zmienił. Wciąż chodził we flanelach, miał rozwichrzone pomarańczowe włosy i mówił z miejscowym zaś-

piewem.

- Leon, czym mogę ci służyć?

Kiedy ostatnio był w barze, wypił sporo whisky, a potem na parkingu próbował rozebrać mnie na części. To była ta sama noc, gdy całe moje życie zaczęło stawać na głowie. Miałem nadzieję, że jego dzisiejsza wizyta w barze nie zapowiada dalszego ciągu.

- Pogadajmy - zagadnął Prudell. - Mam interes na oku.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć, więc nawet nie próbowałem.

- Chodzi o to, że chciałbym znowu być prywatnym detektywem. Brakuje mi tego, Alex. A nadal mam licencję i w ogóle. Popatrz, co przygotowałem. - Podał mi wizytówkę. Widniał na niej napis: „Leon Prudell, śledztwa, bezpieczeństwo, zwolnienia za kaucją”.

- Mówisz poważnie.

- Pomyślałem, że dobrze będzie dodać kaucję. Wiesz, że w całym hrabstwie nie ma żadnych poręczycieli? Poza mną. Gdybyś chciał wyjść za kaucją z pudła, musiałbyś czekać, aż przyjedzie ktoś z Mackinac.

- Zapamiętam. Ale co to ma wspólnego ze mną? - spytałem.

- Alex... - Prudell omiółt salę wzrokiem, po czym pochylił się ku mnie. - To wygląda tak. Bardzo się starałem, żeby znowu być detektywem, boja kocham tę robotę. Myślę, że jestem w tym naprawdę dobry. Pomogłem ci raz, pamiętasz? Dostać się do domu tamtego faceta. Poszło mi świetnie, no nie?

Spojrzałem na niego.

- Tak - przyznałem wreszcie. - Nieźle się spisałeś.

- Okej. Ale rzecz w tym, że większość ludzi tego nie widzi. Łapiesz? Patrzą na mnie i myślą o tym durnym tłustym chłopcu, który siedział w ostatniej ławce.

- Prudell...

- Alex, nie mówię, że im przypominam tego głupiego smarowego grubasa. Mówię, że nim byłem. Wszyscy, co ze mną chodzili do szkoły, mieszkają w Sault Ste. Marie. W ich oczach

wciąż taki jestem. Wiesz, jak trudno z tym żyć?

- Ale co to ma wspólnego ze mną? - powtórzyłem.

- Chcę, żebyś został moim partnerem.

- O Boże. Jaja sobie robisz?

- McKnight-Prudell Investigations - ogłosił dumnie Leon. -
Chociaż... może Prudell-McKnight brzmi lepiej.

- Prudell, daj spokój...

- Dobra, McKnight-Prudell. Twoje nazwisko pierwsze.

- Przestań, bardzo cię proszę.

- Bylibyśmy idealną parą. Jesteś doświadczony, wyglądasz na
gliniarza. Nie pochodzisz stąd. Nie mówisz jak tutejsi. No i masz
to. - Spojrzał na moją klatkę piersiową. - Kula działa na twoją
korzyść.

Patrzyłem na niego bez słowa.

- Naprawdę masz kulę? - zapytał. - Koło serca? Rewelacja.
Ludzie słyszą tę historię i myślą: ten facet jest jak z filmu.

- Taa, na coś takiego liczyłem. Po to w ogóle dałem się po-
strzelić.

- Alex, nie...

- I koniec - przerwałem mu bezlitośnie. - Posłuchaj. Nie będę
prywatnym detektywem. To ostatnia rzecz, na jakiej mi zależy.

- Zrozumiałem... Ty po prostu nie chcesz być moim part-
nerem.

- To nie ma nic wspólnego z tobą. Ja nie chcę być
detektywem. Popełniłem najgorszy błąd w życiu, że nim
zostałem, rozumiesz? Wszystko się pochrzaśniło. - Nie
zamierzałem opowiadać mu całej historii. Nie miałem nawet
ochoty o niej myśleć.

- Zastanowisz się? - zapytał Leon. - Zrób przynajmniej tyle.

- Nie ma nad czym. - Pokręciłem głową. - Przestałem być
prywatnym detektywem. Raz na zawsze.

- Dobra. - Leon wstał i włożył kurtkę.

Ja też próbowałem się podnieść, ale nogi odmówiły mi posłu-
szeństwa. Gdyby Prudell kiedykolwiek chciał znowu skopać mi
dupę, dzisiejszy dzień był najlepszy.

- Posłuchaj - powiedziałem. - Jeśli kiedykolwiek ktoś zwróci się do mnie o pomoc, pošlę go do ciebie.

- Jasne. Wielkie dzięki.

Poddałem się i usiadłem. Prudell wyszedł, zamykając z trzaskiem drzwi.

- O co chodziło? - zapytał Jackie.

- O nic. Znowu zrujnowałem mu życie. - Wziąłem łyk amerykańskiego piwa i o mało się nie zakrzusilem. - Cholera jasna. Nie będę tego pił.

- Kanada jest czterdzieści pięć kilometrów w tamtym kierunku.

- Jackie wskazał północ. - Znasz drogę.

- I pojedę. Jak tylko znowu dam radę chodzić.

Siedziałem w barze kilka godzin. Lokal zaczynał wypełniać się właścicielami skuterów. Docierały do mnie rozmowy o tym, które szlaki są gładkie, a skutery szybkie: yamahy polarisy czy arctic caty. Fascynujące. W końcu, kiedy dość się nasłuchałem o tych pieprzonych skuterach i zmęczyło mnie siedzenie koło idealnego ognia z cholernie marnym amerykańskim piwem w dłoni, powiedziałem swojemu ciału, że czas się ruszyć, czy mu się to podoba, czy nie.

- Potrzebuję powietrza - rzuciłem Jackiemu na odchodnym. - Jadę do Kanady.

- Nie fatyguj się powrotem - odparł.

- Aha, chciałbyś.

Wyszedłem na zimne powietrze. Płatki śniegu fruwały jak milion białych motyli. Długo stałem, słuchając ciszy. Trudno było wyobrazić sobie listopadowe sztormy, ciągły ryk fal rozbijających się o skały. A teraz nic, ani szmeru, tylko śnieg.

A potem nagle ciszę rozdarł dobiegający od lasu warkot silnika o mocy stu koni. Boże, nienawidzę skuterów śnieżnych.

Wgramoliłem się do ciężarówki. Z trudem. Strasznie bolało. Wrzasnąłem na siebie i wałnąłem rękami w kierownicę. Cholera jasna, przecież byłeś sportowcem. Co się z tobą stało?

Ale masz podły humor, Alex. W czym problem? Obolałe mięśnie? Odrobina kwasu mlekowego wpadła w krwiobiegu? A może

drażni cię perspektywa jeszcze trzech miesięcy w lodzie i śniegu? Albo... myślisz o Prudellu. Pamiętasz, jaką zrobił minę, kiedy mu powiedziałeś, że nie chcesz być jego partnerem? Jakbyś odebrał mu marzenie. Znowu.

A może chodzi o Sylwię. Oszalejesz, jak będziesz ją ciągle wspominał. Odeszła. Pogódź się z tym.

Zapadał zmierzch, kiedy wjechałem na most International. W dole widziałem zamrożone śluzy, w dali - dymiące kominy Algoma Steel Foundry. Uiszczyłem opłatę dolar pięćdziesiąt, po czym ustawiłem się w kolejce do kanadyjskiej odprawy celnej. Ruch był mały, więc działało tylko jedno przejście, ale celnik szybko odprawiał samochody. Kiedy przyszła moja kolej, zapytał, dokąd jadę i w jakim celu. Wyglądał znajomo. Często przekraczam granicę, pewnie dlatego. Wyjaśniłem, że to krótka wycieczka do Soo Canada po piwo. Uśmiechnął się i machnął, żebym ruszał dalej.

Zjeżdżasz z mostu i od razu jesteś w śródmieściu Soo Canada. Według kanadyjskich standardów to wielkie miasto, ze cztery razy większe od Soo Michigan. Potoczyłem się Bay Street, minąłem hodowlę ryb i dom kultury, skręciłem najasno oświetlony parking. Kiedyś to była hurtownia piwa, dzisiaj po prostu sklep z piwem. W każdym kanadyjskim mieście od Vancouver do Prince Edward Island jest co najmniej jeden taki sklep. Cudowne miejsce. Wchodzisz i patrzysz na rzędy butelek na ścianie. Mówisz: „Poproszę dwie skrzynki tego”, i dwie skrzynki szybko podjeżdżają na taśmie. Musisz być przygotowany, żeby je odebrać. Słyszałem o Kanadyjczykach wiele dobrego i złego, ale trzeba przyznać, że jeśli chodzi o piwo, są prawdziwymi mistrzami.

Z dwoma skrzynkami na ciężarówce zawróciłem na most. Kiedy jechałem oświetloną Queen Street, czułem, jak opuszcza mnie zły nastrój. Znowu zapłaciłem półtora dolca i musiałem odczekać w kolejce do amerykańskiej odprawy. Po jakimś czasie podjechałem do okienka i przywitałem się z celnikiem. Kolejna znajoma twarz. Zadał mi zwykłe pytania. Powiedziałem, że mam

w ciężarówce dwie skrzynki.

- Wie pan, że można przewozić tylko jedną - odparł.

- Ale to piwo kanadyjskie - jęknąłem.

Milczał przez chwilę.

- Niech pan jedzie - powiedział wreszcie. -1 ostrożnie z tym piwem. Dobrzeje pan zabezpieczył? Na pewno nic się nie potłucze?

- Ze mną jest bezpieczne. Proszę mi wierzyć.

Wróciłem do Soo Michigan. Te same drogi, w sumie półgodzin- najazda. Nic dziwnego, że na liczniku mojego gruchota było ponad czterysta tysięcy kilometrów. Padał coraz gęstszy śnieg.

Jak tylko minąłem tablicę „Serdecznie Witamy w Raju!”, na drodze pojawiły się skutery śnieżne. Depnąłem na hamulec i usłyszałem grzechot butelek za plecami. Jeździec siedział sparaliżowany jak jelen w świetle reflektorów. Twarz miał ukrytą za osłoną kasku.

Już ja wam pokażę. Zacisnąłem dłonie na kierownicy, zmusiłem się, żeby policzyć do pięciu, dopiero potem otworzyłem drzwi. Skuter zniknął w tumanie bieli.

Sprawdziłem butelki i wróciłem do kabiny. Znów pojawił się podły nastrój. Jedź do Glasgow, Alex. Zanieś jedną skrzynkę za bar, jedną zostaw w ciężarówce. Najlepiej wsadź ją do szoferki, żeby piwo nie zamarzło. Usiądź przy ogniu, zdejmij buty. Jackie robi ci coś do jedzenia. Posiedzisz tam, wypijesz kanadyjskie piwo. Będiesz jak nowy.

Wziąłem skrzynkę i plecami pchnąłem drzwi. W knajpie było pełno właścicieli skuterów. Minął mnie facet idący do toalety. Kombinezon miał rozpięty do pasa, buty stukały o podłogę, lśniący materiał nogawek szeleścił przy każdym kroku. Jackie stał pochylony nad barem i rozmawiał z jakąś kobietą. Lampki nad kontuarem migwały, chociaż Boże Narodzenie dawno minęło. Postawiłem skrzynkę na ziemi. Wyprostowałem się i przeciągnąłem, rozglądając się po sali. Mnóstwo obcych twarzy, ale o tej porze roku to normalne. Wszyscy ci faceci przyjechali z

południa stanu, a teraz napełniali lokal opowieściami, marnymi dowcipami i papierosowym dymem.

Nic nowego. A jednak...

Coś było nie tak. Jakiś dźwięk albo brak jakiegoś dźwięku. Wrażenie, że jestem obserwowany, choć nikt na mnie nie patrzył. Tylko to uczucie, że coś jest...

Ale co? W czym problem? Nie potrafiłem tego nazwać. Nie drążyłem dalej tej kwestii, przypisałem to dziwnemu nastrojowi w dziwny dzień. Nie słuchałem głosu w swojej głowie, tego podszeptu, na którym jako policjant codziennie polegałem. Powinienem wejść do baru i swobodnie, bez śladu prowokacji spojrzeć na każdego gościa po kolei. Nawiązać kontakt wzrokowy, kiwnąć lekko głową, jednemu, potem drugiemu i tak dalej. Może wykluczyłbym wszystkich poza facetem samotnie siedzącym w kącie albo tym, co ciągle wygląda przez okno na ulicę. Może wyczułbym, że coś złego zdarzy się tej nocy, i znalazłabym sposób, żeby temu zapobiec.

Nic jednak nie zrobiłem.

Tylko otrząsałem się z tego uczucia. Lekkie przechylenie głowy i po wszystkim.

Koło mnie stanął Jackie.

- Alex, chodź. Chcę ci kogoś przedstawić.

Spojrzałem na jego rozmówczynię. Twarz mgliście wydała mi się znajoma, ale nie potrafiłem sobie przypomnieć, gdzie ją wcześniej widziałem. Kobieta miała trzydzieści parę lat, brązowe włosy z jasnym pasemkiem z boku. Niebieskie oczy, ciemnoniebieskie, niemal fioletowe. Pewnie uznałbym ją za atrakcyjną, gdyby Sylvia nie wypaliła swojego piętna na wszystkich moich zmysłach. Kobieta siedziała na końcu baru, sama, jakby otaczała ją niewidzialna bańka trzymająca mężczyzn na dystans. Z dłońmi na kontuarze wpatrywała się w choinkowe lampki.

- Kto to jest? - zapytałem.

- Ma na imię Dorothy. Czeka na ciebie.

Spuściła wzrok na kolana, rozłożyła poskładaną kurtkę i wyjęła

paczkę papierosów. Kurtka była skórzana, nie dość ciepła na tę pogodę.

Olśniło mnie. Przypomniałem sobie, gdzie wcześniej widziałem Dorothy.

Rozdział 4

ŁATWO BYŁO CIĘ ZNALEŻĆ – powiedziała.

Przenieśliśmy się do stolika kolo kominka. Siedziała naprzeciwko mnie, wodząc wzrokiem po facetach w kombinezonach. Jackie postawił przede mną piwo, zapytał, czy coś jej podać. Poprosiła o szklankę wody.

- Zaczęłam od baru ze zwierzętami. Tego, co wczoraj...

- Horns Inn – domyśliłem się. – Byłaś z hokeistami z przeciwnej drużyny.

- Nie przechodzą cię tam dreszcze? Patrzą na ciebie te martwe oczy...

- Nigdy tak o tym nie myślałem – odparłem. – Następnym razem pewnie pomyślę.

Uśmiechnęła się słabo. Wyglądała na zmęczoną.

- Barman z tamtej knajpy cię zna. Powiedział, że jesteś prywatnym detektywem. Prawnik, dla którego pracowałaś, często tam bywał i sporo o tobie mówił. To prawda, że masz kulę w sercu?

- Koło serca – sprostowałem.

- Jasne. Inaczej byłbyś trupem, no nie? Ajak to się stało?

- To długa historia.

Pokiwiała głową, przygryzając wargę. Dostrzegłem, że jeden z przednich zębów ma lekko ukruszony.

- Powiedział, że tutaj mieszkasz – dodała. – W Raju. To małe miasteczko, więc uznałam, że znajdę cię bez większych problemów. Przyjechałam stopem, uwierzysz? Nie robiłam tego od dwudziestu lat. Facet na stacji benzynowej poradził, żebym zaczęła od tego baru. Zapytałam Jackiego. – Obejrzała się przez ramię. – Bardzo miły gość.

- Jesteś Indianką, prawda? – zapytałem. Gdybym nie szukał cech charakterystycznych, pewnie bym ich nie zauważył. Ledwo

dostrzegalne indiańskie rysy twarzy, spokojne oczy. – Vinnie cię rozpoznał. Powiedział, że wychowaliście się razem w rezerwacie.

– Jaki Vinnie?

– LeBlanc.

– Nie znam. Nie pamiętam zbyt wiele osób z tamtych czasów. Wyjechałam... Boże, chyba z dziesięć lat temu. Dopiero niedawno po raz pierwszy wróciłam na Upper Peninsula.

– On cię pamięta. Z dzieciństwa.

– Może – powiedziała. – Ale do rzeczy; pewnie się zastanawiasz, dlaczego cię szukam.

– Uznałem, że do tego dojdziemy.

– To wygląda tak, Alex... Mogę mówić ci po imieniu?

– Jasne.

– Bo widzisz, chciałabym cię wynająć.

– Wynająć? – powtórzyłem. – Zaraz, zaraz, ja już nie jestem prywatnym detektywem. Nie wiem nawet, czy kiedykolwiek nim byłem.

– Nie rozumiem.

– To długa historia. Kolejna długa historia.

– Och – westchnęła. Moje słowa jeszcze bardziej pozbawiły ją sił. Oparła się i zamknęła oczy.

– Tak się składa, że dzisiaj po południu rozmawiałem z prawdziwym prywatnym detektywem. Obiecałem mu, że pošlę do niego każdego, kto się do mnie zwróci. Zadzwonisz?

– Nie. Nie chcę z nikim innym rozmawiać. Przepraszam, to była pomyłka. Zapomnij o tym. Wstała.

– Dorothy, usiądź. Co się dzieje? Dlaczego przyjechałaś aż tutaj? Tylko dlatego, że usłyszałaś, że jestem prywatnym detektywem?

Grzechocząc kostkami lodu, upiła długi łyk wody i odstawiła szklankę na stół.

– Dobrze, ale to zabrzmiało głupio...

– Zaczynaj.

– Wczoraj wieczorem siedziałam na trybunach. Widziałam, co zrobiłeś Lonniemu.

- Bruckmanowi? Byłaś z nim? - Zdziwiłem się, biorąc pod uwagę opinię gościa o Indianach.

- Tak. Każe mi chodzić na wszystkie swoje mecze.

- To była towarzyska rozgrywka. Podstarzali faceci grają w hokeja, bo tęsknią za starymi dobrymi czasami. Ja tylko zablokowałem kilka strzałów.

- Nie wiesz, ile to dla niego znaczy - powiedziała Dorothy. - Powstrzymałeś go. A potem w barze stawileś mu czoło. Słyszałam was, Alex. Wszyscy słyszeliśmy. Zrobiłeś z niego głupka.

- Dorothy, to naprawdę jest...

- Nie znasz go, Alex. Masz pojęcie, jaki był wściekły? Ciągłe o tym gadał. Przez całą noc. W ogóle nie spał.

- Jasne, trudno spać na tak potężnym haju.

- Zauważyłeś.

- Mocno rzucało się w oczy. Często bierze?

- Tak. - Dorothy patrzyła w kominek.

Drzwi otworzyły się, do środka weszli kolejni miłośnicy skuterów, tupiąc butami.

- Co się dzieje? - zapytałem. - Masz kłopoty? Czy on...

- Co? Pobił mnie? Myślisz, że dlatego tu jestem? Bo chcę, żebyś mnie ochraniał? - Spojrzała na mnie. W jej oczach widziałem odbicie płomieni migoczących w kominku.

- Tylko pytam. Bo jeśli tak...

- To powinnam iść do schroniska dla maltretowanych kobiet i zostawić cię w spokoju.

- Mam ci pomóc czy nie?

- Przepraszam. Ja tylko... sama nie wiem. Przepraszam.

- Co chcesz, żebym zrobił? Masz dokąd pójść?

- Właściwie nie - odparła. - Może pojedę na południe stanu.

Do przyjaciół.

- A rezerwat?

- Wykluczone. Nie jestem tam mile widziana. Rodzice i ja... - Przez długi czas milczała, potem pokręciła głową. - Nie, tam nie.

- Dobra, załóżmy, że jestem prywatnym detektywem. Co

miałbym zrobić?

- Wynajęłabym cię... - zaczęła, ale zaraz przerwała. - Mogę ci ufać?

- Tak - potwierdziłem.

- Wierzę ci. Nie wiem dlaczego, ale wierzę.

- Po co byś mnie wynajęła, Dorothy?

- Żebyś pomógł mi się stąd wydostać. Uciec, zanim on mnie znajdzie. To wszystko.

- Myślisz, że będzie cię szukał?

- Tak. Na pewno. Ajak znajdzie, to zabije.

- BOŻE, JAK ZIMNO. - Dorothy zadygotała.

Padał gęsty śnieg, płatki łączyły się w powietrzu jak papierowe laleczki.

Na ramieniu miała białą torbę; nie pozwoliła mi jej nieść.

- Weź moją kurtkę - zaproponowałem.

- Nie, nie. Nic mi nie będzie.

- Tam stoi moja ciężarówka. - Parking wypełniały skutery śnieżne i przyczepy. - Włączę ogrzewanie.

Dorothy zatrzymała się i podniosła wzrok ku ciemnemu niebu.

- Dzisiaj jest pełnia księżyca.

- Jakiego księżyca? - zapytałem. - Od dwóch miesięcy go nie widziałem.

- Czuję to. A ty nie?

Otworzyłem przed nią drzwi szoferki.

- Przepraszam, nie ma szyby - powiedziałem. Obszedłem ciężarówkę i wsadłem. Przekręciłem kluczyk w stacyjce, włączyłem ogrzewanie.

- Nie czujesz księżyca, prawda? - podjęła wątek.

- Nie, przykro mi.

- To wilczy księżyc. Pierwsza pełnia roku.

- Zaraz się nagrzej - zapewniłem. - Powinienem mieć tu koc.

- Myślisz, że zwariowałam, tak?

- Nie. - Przestałem majstrować przy nagrzewnicy i spojrzałem

prosto na Dorothy, żeby wiedziała, że mówię prawdę. - Widywałem wariatów, uwierz mi.

- Kolejna długa historia?

- Tak.

- A to okno? - Postukała palcem w plastik.

- Jeszcze jedna długa historia.

Poprawiła torbę na kolanach.

- Na pewno nie będę ci przeszkadzać? - zapytała.

- Odwołano rezerwację - wyjaśniłem. - Chata jest pusta.

- Naprawdę to doceniam. Muszę się trochę przespać, potem pomyślę, co dalej.

Ruszyłem na północ, w kierunku głównej drogi. Dojechaliśmy do miejsca, gdzie nie ma drzew i skąd rozciąga się widok na całą zatokę. Jeszcze kilka tygodni temu patrzylibyśmy na statki cumujące przy słuzach, czekające na odpowiednią pogodę, by popłynąć do Duluth. Ale dzisiaj wszystko spowijała ciemność.

- Jesteś pewien, że nie czujesz wilczego księżyca? - zapytała Dorothy. Opierała się o siedzenie, a jej niski pomruk wdzierał się w świst wiatru. Wrażenie było hipnotyzujące.

- Nie wiedziałbym, jak mam go czuć.

- Zapomniałeś. Twój przodekowie wiedzieli.

- Czyżby?

- Myślisz, że to Indianie zaczęli nadawać imiona księżycowi?

- Anie?

- Nie - powiedziała Dorothy. - To się wzięło z kultury celtyckiej. Kiedy byłam nastolatką, bardzo się tym interesowałam. Rytuały pogańskie, czarna magia, tarot. Wszystko, byle nie indiańskie wierzenia. Nie chciałam być Indianką.

Śnieg wpadał na reflektory. Wydawało się, że jedziemy bardzo szybko.

- To twój księżyc, Alex. Pan McKnight ze szkockich gór. Wilczy księżyc należy do ciebie, nie do mnie.

- Nigdy nie byłem w Szkocji - stwierdziłem. - Ale Jackie tam się urodził. To pewnie jego księżyc.

- Łączą was więzy krwi. A jak myślisz, dlaczego chodzisz do

jego baru co wieczór?

- Bo nie mam telewizora.

Wybuchnęła śmiechem. A raczej wydała odgłos najbardziej zbliżony do śmiechu, na jaki tej nocy było ją stać.

- Każdy księżyc przekazuje inną wiadomość. Wiesz, co mówi wilczy księżyc?

- Nie. Co? - zapytałem.

- Ze musisz chronić bliskich, bo przed twoimi drzwiami są wilki.

- Rozumiem.

- To nie znaczy, że masz mnie ochraniać. Nie dlatego ci o tym mówię. Sama potrafisz o siebie zadbać.

- Okej.

- To mówi księżyc, nie ja.

- W porządku.

Śniegu przybywało. Dorothy patrzyła na drogę.

- Gdybyś chciał tak jechać przez całą noc, nie sprzeciwiałabym się - powiedziała po chwili. - Ciekawe, jak daleko byśmy zajechali.

- Dorothy...

- Jedź. - W jej głosie nagle pojawiła się nutka strachu. - Nie zatrzymuj się. Cholera, wydostań mnie stąd.

- Ta droga prowadzi prosto przez dwadzieścia kilometrów. Potem się kończy - wyjaśniłem.

- Historia mojego życia. - Nuta strachu zniknęła równie szybko, jak się pojawiła. - Hej, wiesz, że na wyspie Royale są teraz wilki?

- Tak słyszałem.

- Ciekawe, skąd się tam wzięły?

Royale to wyspa na środku jeziora Superior, która w całości stanowi park narodowy.

- Przeszły po lodzie - odparłem. - Jak inaczej mogły się dostać? Przeplłynąć promem?

- Taa, bardzo śmieszne. Chodziło mi o to, dlaczego tam poszły? Dlaczego przeszły przez jezioro, żeby dostać się na wyspę?

- Są myśliwymi. To jedyny powód.
- Pierwsze przeszły łosie. A za nimi wilki.
- No właśnie.
- Wyobraź więc sobie, że jesteś łosiem. Myślisz, że w końcu znalazłeś bezpieczne miejsce, gdzie nie ma ani jednego wilka. A potem pewnego dnia...

Jechałem, nie zwalniając.

- Wilki zawsze cię znajdą, Alex. Pamiętaj o tym.
- Dobrze.
- Boże, w głowie mi się nie mieści, że tu wróciłam. - Zaczęła parodiować miejscowy akcent. - Jestem na Upper, co?

Milczałem.

- Nienawidzę tego miejsca, Alex. Nie potrafię nawet wyrazić, jak bardzo.

- To tu. - Skręciłem w lewo między drzewa. Śnieg przysypał drogę dojazdową. Rano znowu trzeba odsnieżyć.

- Mieszkaś tu przez cały rok.

- Jasne, czemu nie? - Minęliśmy dom Vinniego. - Siedziba LeBlanca - wyjaśniłem. - Faceta, który cię zna. - Przed chatą nadal nie było samochodu. - Nie widziałem go od wczorajszego wieczoru. To znaczy od meczu. Ciekawe, gdzie się podziewa. Powinien się z tobą spotkać.

- Po co? - zapytała Dorothy. - Żebyśmy mogli wymienić tajemny indiański uścisk dłoni?

- Nie, tak sobie. Nie mam pojęcia, co z nim.

- Pewnie gdzieś się spił.

- Vinnie nie pije - odparłem ostrzej, niż zamierzałem. - Nie możesz posądzać o coś takiego człowieka, którego nie znasz. Nawet jeśli sama jesteś Indianką.

- Oczywiście, przepraszam.

- To moja chata - powiedziałem. - Tamta pusta stoi trochę dalej.

Zaparkowałem przy następnej chacie. Kiedy zgasilem światła, otoczyła nas noc. Siedzieliśmy w gęstym mroku.

- Włączę światła, dopóki nie wejdziemy - zaproponowałem.

- Nie. Tak tu ciemno. To jedyna z nielicznych rzeczy, które w tym miejscu lubię.

- Szkoda, że nie widać dzisiaj pełni.

- Moje pierwsze wspomnienia... - zaczęła Dorothy. - Wyglądam przez okno na śnieg odbijający promienie księżyca. - Zamilkła na długą chwilę. Cisza była równie głęboka, jak ciemność. - Przepraszam - odezwała się wreszcie. - Na pewno nie chcesz tego wysłuchiwać. Zaczynam bredzić, kiedy jestem zmęczona.

- Nie przeszkadza mi to, tylko że zmarzniesz na kość.

Przebrnęliśmy przez śnieg do drzwi. Dorothy poprawiła ciężką torbę na ramieniu.

- Mogłaś mi ją dać. - Ledwo się powstrzymałem, żeby nie odebrać torby siłą.

- Nie, dziękuję, sir Galahadzie.

Otworzyłem drzwi i przepuściłem ją pierwszą. Zapaliłem lampy. Tę chatę ojciec zbudował jako drugą. Stwierdził, że pierwsza jest zbyt surowa i ciemna, więc tutaj ściany postawił z białej sosny. Dzięki temu wewnątrz wydawało się większe niż w rzeczywistości.

- Ojej, jak miło - powiedziała Dorothy.

Pod ścianami stały dwa wielkie piętrowe łóżka. Położyła torbę na jednym z dolnych i weszła do połowy po drabinie.

- Ile osób tu śpi, osiem?

- W sześć jest wygodnie. Może być osiem, jeśli się lubią. - Rozpaliłem w piecu. Miałem w nim papier i drewno, bo wieczorem spodziewałem się gości. - Dołożę do ognia. To jedyne źródło ciepła. Lampy i woda są na prąd. Nie ma telefonu. W razie czego rano możesz skorzystać z mojego.

- Dzięki. - Wsunęła głowę do łazienki. - Naprawdę masz tu ciepłą wodę?

- Nie od razu - odparłem. - Kilka minut musi to potrwać. Pójdę włączyć.

Obszedłem chatę; z tyłu były małe drzwi, za którymi znajdował się korytarz do węzła sanitarnego. Teraz musiałem tylko przejść

pod spodem. Zastanawiałem się, jakie stwory zobaczą tym razem. Spotykałem już stada myszy, kilka nietoperzy, szopa, oposa. Brrr... ale cóż, gdybym nie zakręcał wody, kiedy w chacie nikt nie mieszka, rury by zamarzły.

Włączyłem wodę, zawróciłem, otrzepałem się i wszedłem do chaty. Staralem się nic nanieść śniegu do środka; zacieki na podłodze z białej sosny wyglądają okropnie. To jedyny błąd, jaki ojciec popełnił przy budowie chat.

Dorothy opierała się o umywalkę; kurtkę wciąż miała zapiętą. Chyba nie czuła się swobodnie. W sumie, nic dziwnego. Nawet mimo to, że mi ufała.

- Cały się zabrudziłeś - zauważyła.

Trzymała w dłoni jakiś przedmiot, czarny i okrągły. Wyglądał jak...

- To hokejowy krążek? - zapytałem.

- Tak, proszę. - Rzuciła go do mnie.

Złapałem i mu się przyjrzałem. Na jednej stronie widniał biały okrąg, a w nim czerwone koło z wystającym skrzydłem. Logo Red Wings z Detroit. Pod spodem autograf Gordiego Howe'a.

- Prawdziwy? - zapytałem.

- Tak. Widziałeś, jak grał?

- Jasne, na starym lodowisku Olympia.

- Lonnie mówi, że był lepszy od Gretzky'ego.

- I ma rację - potwierdziłem.

- Weź krążek.

- Wykluczone. Pewnie jest wart kupę pieniędzy.

- Wiem, ale nic poza nim nie mogę ci dać za pomoc.

- Skąd go masz?

- Należy do Lonniego - powiedziała Dorothy. - To znaczy: należał. Zanim wyszłam, wzięłam ten głupi krążek, a właściwie to wróciłam po niego. Boże, Lonnie mi nawet nie pozwalał wyjmować go z plastikowego futerału. Ale będzie się wściekał.

- Nie rozumiem. Dlaczego go zabrałaś?

- Żeby zranić Lonniego. - Dorothy splótła ręce na piersi. - Tylko taki sposób przyszedł mi na myśl. Marny, co?

- Proszę. - Położyłem krążek na stole. - Powinnaś go za-
trzymać.

Westchnęła ze znużeniem.

- Czy on jest aż taki zły? - zapytałem. Wydawało mi się, że
rozgryzłem Bruckmana; to typ, który pragnie być sportowcem,
ale nie potrafi pogodzić się z tym, że nie jest dość dobry. Ciągle
takich widywałem, kiedy grałem w bejsbol; chłopakom ktoś ucie-
rał nosa, a oni do końca życia odgrywali się na reszcie świata. W
każdym amerykańskim mieście siedzi jeden taki na końcu baru.
Ale z tonu głosu Dorothy wynikało, że chodzi o coś innego, o
wiele gorszego.

- Pamiętasz, jak rozmawialiśmy o wilkach?

- Jasne. I co z tego?

- Ujmijmy to tak: Lonnie jest pierwszym wilkiem. Nie
najgorszym, ale pierwszym.

- Nie łapię.

- Zastrzelisz jednego, ale za nim jest więcej, większych, z os-
trzejszymi zębami.

Nie drażyłem tej kwestii. Uznałem, że miała na myśli resztę
drużyny. Powinienem ją zapytać, ale tego nie zrobiłem.

W pomieszczeniu zrobiło się trochę cieplej. Dorothy poczuła
się na tyle dobrze, że zdjęła kurtkę i usiadła przy stole. Opowie-
działa mi o dorastaniu w plemieniu Ojibwa, o wyjeździe z Upper
Peninsula, kiedy tylko stało się to możliwe. Zaczęła naukę w
college'u, ale zrezygnowała, potem miała się wielu zajęć. Bywało
bardzo źle, ale ani razu nie pomyślała o powrocie. Potem
poznała Lonniego. O nim mówiła mało. Nie wytłumaczyła, co jej
zrobił ani dlaczego ją tu przywiózł.

Później zapytała, dlaczego mam tak wiele „długich historii”. Ku
własnemu zaskoczeniu, opowiedziałem jej kilka. Nie wszystkie.
Chyba cieszyłem się, że mogę z kimś porozmawiać. Odkąd
odeszła Sylvia, zdarzyło mi się to po raz pierwszy.

- Jesteś samotnym mężczyzną z długimi historiami - powie-
działa przy pożegnaniu. - Gdybyś był Ojibwa, tak brzmiałoby
twoje imię.

- A jakie jest twoje indiańskie imię?
- Nie mam - odparła krótko.
- Dzisiaj w nocy zapowiada się mocny mróz. Lepiej nie zakręcaj wody. Niech kapie, inaczej rury zamarzną.
- Dobrze. - Podeszła do drzwi. - Zamek jest solidny?
- Tak, ale nie masz powodu do obaw. Jesteś na zupełnym odludziu.
- Dziękuję, Alex. Dobranoc.

Kiedy zamknęła drzwi, poczułem mglisty smutek. Stałem, czekając, aż wzrok przyzwyczai się do ciemności. Między sosnami hulał przenikliwie zimny wiatr. Oboje wiele przeszliśmy. Mieliśmy różne problemy, choć ich źródło wydawało się takie samo. Ludzie są dla siebie źli. A mimo to nadal próbujemy. Nie potrafimy znieść samotności.

Było już późno. Musiałem się wyspać, żeby rano wczesnie wstać i pomóc Dorothy. Zaskakujące, jak bardzo tego chciałem. Może to szansa, żeby sobie udowodnić, że wciąż umiem zrobić coś jak trzeba po tych wszystkich błędach, które popełniłem rok temu. Ze potrafię dokonać czegoś ważniejszego niż rąbanie drewna i odśnieżanie drogi.

Wróciłem do swojej chaty i zasnąłem. W środku nocy wydawało mi się, że słyszę głos Dorothy, ale kiedy uniosłem głowę, przekonałem się, że to tylko warkot skutera. Ci idioci przez całą noc rozbijają się po lasach. Przekląłem kogoś, kto wynalazł skutery, i znowu zasnąłem.

RANO ŚNIEGU BYŁO JESZCZE WIĘCEJ. W piecu ogień dawno wygasł, więc wrzuciłem na palenisko kilka szczap. Dygocząc, stałem przy oknie i patrzyłem na biały puch. Ubrałem się, wypiliśmy kawę, wyszedłem i wsiałem do ciężarówki. Nic nie wskazywało na to, że kiedyś znajdowała się tu droga, pozostała tylko długa luka między drzewami. Oczyszciliśmy przejazd do szosy. Vinniego wciąż nie było. Gdyby wrócił na noc do domu, gdyby ktokolwiek skręcił na naszą drogę, widzielibyśmy ślady, a tu

nic.

Zaczynałem martwić się o przyjaciela. Minęło trzydzieści sześć godzin, odkąd po meczu zostawiłem go w barze. Pomyślałem, że mogę poszukać go w rezerwacie albo pojechać do kasyna, gdzie pracuje. Jak tylko wywożę stąd Dorothy. Dzień zapowiadał się pracowicie.

Odśnieżyłem w drugą stronę, w kierunku lasu. Mijając chatę Dorothy, zatrąbiłem. Pora wstawać. Przed pozostałymi czterema chatami stały furgonetki i ciężarówki z przyczepami. Moi lokatorzy na co dzień nie używali samochodów, przez cały tydzień jeździli na skuterach. Ale ja lubiłem, kiedy droga była odśnieżona, tak na wypadek, gdyby musieli się stąd wydostać. Jadąc z powrotem, znowu zatrąbiłem. To ja, twój budzik. Koniec wylegiwania się. Przygotuję śniadanie.

Zabrałem od siebie jajka i ser na omlety, sok oraz kawę. Znowu pojechałem do jej chaty za zakrętem. Śmieszne, kobieta spędza tu tylko jedną noc i nagle to jest „jej chata”. Zapukałem. Nikt nie odpowiedział.

- Dorothy! - krzyknąłem. - Obudziłaś się?

Pchnąłem drzwi. Nie były zamknięte na klucz. Wszedłem do środka.

Przewrócony stół z odłamaną nogą, porzucane krzesła.

Pusto.

Dorothy zniknęła.

Rozdział 5

WRÓCIŁEM DO SIEBIE i zadzwoniłem do biura szeryfa. Po skończonej rozmowie stałem i wpatrywałem się w książkę telefoniczną, wciąż otwartą na pierwszej stronie. Tuż pod numerami policji, straży pożarnej i pogotowia widniał numer opieki społecznej. Widziałem, jak ci ludzie działają, w każdym razie w Detroit. Przyjeżdżają i zabierają człowieka do schroniska. Gdybym wczoraj wieczorem zadzwonił pod ten numer, Dorothy pewnie byłaby teraz bezpieczna.

Wyszedłem na dwór. Wiatr rzucił mi śniegiem w twarz. Świeciło słońce, chmury rozstały się na krótką chwilę i światło tak jaskrawo odbijało się od białego śniegu, że aż oczy bolały od patrzenia.

Stałem tak przez dwadzieścia minut i rozmyślałem. Dorothy była przerażona. Powiniennem zadziałać od razu, nie czekać do rana. Okazałem się leniwy czy po prostu głupi? Chciałem wrócić do chaty, szukać śladów, które powiedziałyby mi, co właściwie się stało. Byle coś robić. Czułem się zupełnie bezużyteczny, ale zmusiłem się do czekania. Nie spieprz tego, pomyślałem. Może policja znajdzie odciski opon, stóp czy Bóg wic jakie inne dowody. Stój tutaj i nie rób już większego bałaganu.

Wbrew mojej woli wróciły wspomnienia o morderstwie, którego byłem świadkiem podczas pierwszego roku służby w policji w Detroit. Z partnerem odpowiedzieliśmy na zgłoszenie awantury domowej. On rozmawiał z mężem w kuchni, ja siedziałem z żoną w pokoju. Nic nie mówiła, kołysała się tylko, tuląc do siebie poduszkę. Tamtej nocy nie mogłem zasnąć, ciągle widziałem jej twarz. Trzy dni później patrzyłem, jak wynoszą ciało tej kobiety w plastikowym worku.

Próbowała opuścić męża. Ile razy nam to powtarzali? Najbar-

dziej niebezpiecznie robi się wtedy, kiedy żona postanawia odejść. To punkt zapalny. Kobieta pada ofiarą zabójstwa i detektywi zawsze na początku pytają: Gdzie jest mąż albo chłopak?

- Bruckman nas śledził. - Mój głos zabrzmiał słabo w zimowej ciszy. - Na pewno. No bo skąd by wiedział, gdzie ona jest?

Był w barze? Szosą mógł jechać za moją ciężarówką. Ale potem, jak się dowiedział, w której chacie jest Dorothy? Chyba nie śledził nas na drodze dojazdowej? Czyżbym nie zauważył?

Nie zadzwoniłem na policję. Nie zostałem z Dorothy. Zostawiłem ją samą bez telefonu.

Podjechał radiowóz. Uratował mnie. Jeszcze kilka minut snucia rozważań w samotności i popełniłbym samobójstwo.

Wysiedli z obu stron. Młodzi funkcjonariusze: mężczyzna i kobieta w kapeluszach zastępców szeryfa hrabstwa Chippewa. Razem nie mieli tyle lat co ja.

- Gdzie szeryf? - zapytałem.

- Zajęty - odparła kobieta. Ciemne włosy schowała pod kapelusz.

- Wezwijcie go - zażądałem.

- Mówiłam panu. Jest zajęty - powtórzyła.

- Akurat. Musi tu być.

- Spokojnie, sir - wtrącił się policjant. Miał regulaminową fryzurę najeża. Zbliżał się do mnie jak do psa, którego podejrzewa się o wściekliznę. - Pan Alex McKnight?

- Powiedziałem dyspozytorce, że ma przyjechać Bill i nikt inny - odparłem. Bill Brandów był szeryfem hrabstwa i jeśli nie moim najlepszym kumplem, to w każdym razie serdecznym znajomym. Raz postawiłem mu kilka kanadyjskich piw i wymieniliśmy się policyjnymi opowieściami. Kompetentny i wiarygodny. Dlatego teraz chciałem patrzeć na niego, a nie na tych smarkaczy, którzy wyglądali, jakby wybierali się na szkolny bal kostiumowy w policyjnych mundurach.

- Panie McKnight, szeryf nie mógł przyjechać. Proszę się trochę uspokoić.

- Porwano kobietę - powiedziałem. - Wysłaliście kogoś na poszukiwania? Czy Bill zamierza coś zrobić poza wydelegowaniem dwojga nastolatków z radą, żebym się trochę uspokoił?

- A przyszło panu do głowy, że szeryf w tej chwili jej szuka? - odparł policjant. - Jak się nazywa ten facet?

- Bruckman. Lonnie Bruckman.

- To jak pan woli, panie McKnight? Szeryf ma ich szukać czy stać w tym śniegu i poprawiać panu samopoczucie?

Zacisnąłem pięści, spojrzałem na zimowe niebo, potem głęboko odetchnąłem.

- Okej, zgoda. Zaczynamy...

- Proszę nam powiedzieć, co się stało. W której chacie była kobieta?

- Tam. Zaraz za zakrętem - poinformowałem.

Wsiadliśmy do radiowozu, dwoje zastępców z przodu, ja z tyłu. Do pierwszej chaty było nie więcej niż czterysta metrów, ale toczyliśmy się wolno, opony chrzęściły na kolejnej półtora-centymetrowej warstwie śniegu, który spadł, odkąd odśnieżyłem. Krótko zrelacjonowałem, co się stało. Spotkanie z Dorothy w ba- rze, jej prośba o pomoc. Ton, jakim wspominała o Lonniem. Autentyczny strach w głosie, kiedy mówiła, że gdyby ją odnalazł, toby zabił.

Wysiedliśmy z samochodu i chwilę staliśmy; zastępcy szeryfa się rozglądali. Widzieli wyłącznie drzewa.

- Nocą była w chacie sama? - zapytała policjantka.

- Tak - potwierdziłem. - Nie ma tam za wiele miejsca. Poza tym... - Nie skończyłem.

Policjanci wymienili szybkie spojrzenia, brnąc przez śnieg do chaty.

- Nie widzę odcisków stóp - zauważył mężczyzna.

- W nocy mocno padało - odparłem.

- Śladów opon też nie było?

- Nie, żadnych.

- Musiałby je pan zobaczyć, prawda? Aż tak mocno nie pa-

dało.

- Kiedy odśnieżałem drogę, wyglądała, jakby od wielu dni nikt tędy nie jeździł.

- Drzwi nie są zamknięte na klucz? - zapytał policjant.

- Nie. Rano nie były.

- A w nocy?

- Dorothy zamknęła je po moim wyjściu.

Zastępcy szeryfa znowu na siebie popatrzyli. Poczulem nagły impuls, żeby stuknąć ich głowami.

- Możemy od razu sobie coś wyjaśnić? - zagadnąłem. - Ona spała w tej chacie, a ja w swojej.

- Nikt nie sugeruje, że było inaczej - odparł policjant.

- Gdybym został, nie doszłoby do tego - dodałem.

- Teraz popracujemy, jeśli pan pozwoli. - Policjant pchnął drzwi i zajrzał do środka.

- Ostrożnie... - ostrzegłem. - Niech pan niczego nie zadepcze.

- Bez obaw.

- Mówię poważnie. Tu mogą być dowody.

- Jeśli coś wpadnie nam w oko, spakujemy do torebki.

- Nie, mówię o włosach, włóknach i...

Oboje na mnie popatrzyli. Widział to w telewizji, tak pomyśleli. Spodziewa się, że rozłożymy laboratorium i zaczniemy pincetą zbierać okruszki.

- Byłem gliniarzem... - wyjaśniłem cicho. Kiedy ziemią rządziły dinozaury, dodałem w myślach. - Ech, nieważne. Róbcie swoje.

- Postaramy się uważać - zapewniła policjantka.

Wszedłem za nimi do chaty. W środku panowała absolutna cisza, od której zrobiło mi się niedobrze.

Przynajmniej nie patrzmy na zwłoki, powiedziałem sobie. Gdyby Bruckman aż tak bardzo chciał ją zabić, zrobiłby to tutaj.

Okrzyli przewrócony stół, spojrzeli na rozrzucone krzesła. Policjant przystanął przed łóżkiem, kołdra była odsunięta.

- Wygląda na to, że się położyła - stwierdził. - A potem wstała. Najwyraźniej niczego nie zostawiła. Miała plecak, walizkę? Mówił pan, że uciekła od faceta.

- Miała torbę. Z białego płótna.
- W takim razie musiała ją wziąć. Albo ją wziął ten Bruckman. Kilka dni temu grał pan z nim w hokeja?
- Tak. - Wydawało mi się, że od meczu upłynęło o wiele więcej czasu.
- Kawał chłopca z niego, co? Bez problemu by ją stąd wyprowadził?
- Nie wiem. Jest o wiele większy od Dorothy, ale nie wyobrażam sobie, żeby poszła z nim bez walki.
- No więc dlaczego drzwi nie są zamknięte na klucz? - zapytał policjant. - Musiała je otworzyć, no nie? Nie ma śladu włamania.
- Nie otworzyłyby drzwi, gdyby wiedziała, że to on.
- Może powiedział, że chce tylko porozmawiać. Ajak znalazł się w środku, zaczął szaleć.
- Niemożliwe.
- Był pan gliniarzem. Widywał pan takie sytuacje, prawda?
- Wiem, do czego pan zmierza. - Tak, dobrze to znałem. Facet błaga o przebaczenie, kobieta mięknie. - Ale tutaj nic na to nie wskazuje.
- To dlaczego otworzyła drzwi?
- Nie wiem. Nie potrafię tego zrozumieć, biorąc pod uwagę sposób, w jaki wczoraj o nim mówiła. - Popatrzyłem na odłamaną stołową nogę i już chciałem ją podnieść, ale zauważyłem coś jeszcze. - Spójrzcie na podłogę. Zatrzymali się i wlepili we mnie wzrok.
- Tu jest za dużo roztopionego śniegu - wyjaśniłem. - W całym pokoju widać było słabe zarysy kałuż.
- Musiała przejść po śniegu, żeby się tu dostać, no nie?
- Jasne, ja też - odparłem. - Musiałem nawet wyjść za dom, żeby włączyć wodę. Ale pamiętam, że myślałem o podłodze, kiedy wróciłem. Zawsze staram się nie zostawiać tu śniegu. Biała sosna szybko się brudzi. Jestem pewien, że kiedy wychodziłem, śniegu nie było dużo. W każdym razie nie na całej podłodze.
- W takim razie nie ulega wątpliwości, że miała towarzystwo - stwierdził policjant.

- Nie wierzę - powiedziałem. - W głowie mi się nie mieści, że go wpuściła.

- A przy okazji, skąd Bruckman wiedział, że tu mają szukać? Zna pański adres?

- Nie sądzę. A nawet jeśli, to skąd wiedział, w której chacie jest Dorothy?

- Może was śledził?

Próbowałem sobie przypomnieć, odtworzyć wczorajszy wieczór. Czy widziałem za sobą światła?

- Przykro mi. - Wzruszyłem ramionami. - Nie zauważyłem, żeby ktoś za nami jechał, ale głowy nie dam, że nikt nas nie tropił.

- Czy mógł odwiedzić ją ktoś inny? - zapytał policjant. - Może do kogoś zadzwoniła.

- Tu nie ma telefonu. A w barze dopiero się poznaliśmy. Chociaż...

- Tak?

- W barze miałem śmieszne wrażenie, jakby ktoś nas śledził.

- Bruckman?

- Nie, jego bym zauważył. Ale może podesłał jednego ze swoich hokejowych palantów.

- No dobra, przekażemy to, co mamy - powiedział policjant.

- Choć niewiele tego.

Krótką słoneczną przerwą dobiegła końca, niebo znowu pokryły chmury i nagle zrobiło się o dziesięć stopni zimniej. Za chatą przybierał na sile warkot skutera.

- Skuter śnieżny - pomyślałem na głos. - Mógł się tu dostać na skuterze.

- Skąd pan wie?

- Za chatami biegnie szlak. To ziemia stanowa. Dlatego rano nie było śladów opon.

- To ma sens - zgodził się policjant. - Chodźmy, przyjrzymy się szlakowi.

Poprowadziłem ich między sosny. Bardzo się namęczyliśmy. W zaspach nawianych przez wiatr śnieg sięgał prawie do pasa.

- Proszę... - wysapałem, z trudem łapiąc oddech. Szlak biegł równolegle do mojej drogi. Jeśli Bruckman miał ogólne pojęcie, gdzie mieszkam, mógł tędy tu dojechać. Niewykluczone, że nawet nie wiedział, w której chacie jest Dorothy. Ominął moją, sprawdził następną i trafił.

Zastępcy szeryfa przyglądali się szlakowi.

- Mnóstwo śladów - mruknęła policjantka. - Na pewno nie zdołamy ustalić, które są jego.

Spomiędzy drzew wyjechał skuter. Skrzywiłem się, słysząc hałas. Na nasz widok kierowca zwolnił. Policjanci równocześnie dali mu znak, żeby się zatrzymał.

- O co chodzi? - Kierowca uniósł przestonę. - Chyba nie jechałem za szybko?

Rozpoznałem go. Mieszkał w ostatniej chacie z kilkoma facetami z Saginaw.

- Był pan wczoraj w nocy na szlaku? - zapytał policjant.

- Tak. - W głosie mężczyzny zabrzmiała nutka niepokoju. - Ale przysięgam, nie szalałem. Wiem, że w pobliżu są chaty.

- Nie w tym rzecz - powiedział policjant. - Chcieliśmy tylko się dowiedzieć, czy widział pan inne skutery śnieżne. Mniej więcej o... - Spojrzał na mnie.

- Między pierwszą w nocy a rankiem - uzupełniłem.

- Wróciliśmy trochę po pierwszej. Nie pamiętam innych skuterów na szlaku. To znaczy poza skuterami moich kolegów.

- Będziemy chcieli z nimi porozmawiać - oświadczył zastępca szeryfa. - Są teraz w chacie?

- Większość tak, reszta pewnie na szlaku. Dzisiaj wyjeżdżamy.

Zawróciliśmy do wozu, brnąc przez śnieg. Przez następną godzinę odwiedzaliśmy każdą chatę i pytaliśmy turystów, czy widzieli coś podejrzanego.

Nic. Żadnych tropów, żadnych informacji. Byłem zmęczony i głodny. Zrobiliśmy już wszystko. Serce zalewała mi rozpacz. Dorothy prosiła, żebym pomógł jej uciec od Bruckmana. A ja pozwoliłem mu, jego kumplom czy jakimkolwiek sprawcy bez kłopotu zbliżyć się do tej kobiety. Teraz mogą być gdziekolwiek.

Wiedziałem, że szeryf jej szuka, ale co z tego? Odnajdzie adres Bruckmana, złoży mu wizytę. Jeśli go nie zastanie, roześle list. Popracuje nad tym przez kilka dni, potem zamknie sprawę.

Zastępcy szeryfa jechali w milczeniu do mojej chaty. Domyślałem się, co im chodzi po głowie. Chcieli się mnie jak najszybciej pozbyć. Może ta kobieta wcale nie została porwana. Może chłopak przekonał ją, żeby go wpuściła do chaty, urządził scenę, rzucił kilkoma sprzętami, potem padł na kolana i błagał o wybaczenie. Kochają tak bardzo, że traci rozum, od teraz będzie inaczej i tym podobne gówniane brednie, które zwykle tacy faceci wygadują. A ona z nim poszła. Tak ciągle się dzieje.

Nie, nie tym razem. Wiedziałem, że zabrał Dorothy wbrew jej woli. I to była moja wina. Czekala mnie bezsenna noc.

- Damy panu znać, jeśli czegoś się dowiemy, panie McKnight

- obiecał młody policjant, zwalniając przed moją chatą.

- Pojedźmy jeszcze do Glasgow Inn - zaproponowałem. -
Może barman coś zauważył. Albo któryś z gości.

Policjant kiwnął głową.

- Warto spróbować.

Ruszyliśmy w kierunku szosy. Kiedy mijaliśmy dom Vinnie - go, zauważyłem, że jego samochodu wciąż nie ma na podjeździe.

- Cholera jasna - zakląłem głośno. - Zupełnie zapomniałem o Vinniem.

- Coś się stało?

- Mój przyjaciel od dwóch dni nie wraca do domu. Jest członkiem plemienia Bay Mills, może nocował w rezerwacie.

Policjantka wyjrzała przez okno od strony pasażera.

- Vinnie - powtórzyła. - Jaki Vinnie?

- LeBlanc.

- Znam to nazwisko.

- W tej okolicy mieszka sporo LeBlanców - odparłem.

- Tak, wiem, ale wydaje mi się, że dzisiaj rano gdzieś to nazwisko widziałam. - Długo się zastanawiała, później wzięła krótkofalówkę. - Chyba już wiem, gdzie. - Włączyła radio i poprosiła dyspozytora, a kiedy się zgłosił, zapytała, czy

przypadkiem w areszcie nie przebywa Vinnie LeBlanc.

Usłyszałem odpowiedź na własne uszy, ale nie mogłem uwierzyć. Vinnie siedział w areszcie hrabstwa, oskarżony z paragrafów czterysta piętnaście, sto czterdzieści osiem i dwieście czterdzieści.

- Och, to ten facet, który... - zagadnął policjant.

- Tak - odparła jego koleżanka, odkładając słuchawkę. - Nazwisko od razu wydało mi się znajome.

- Co się dzieje? - zapytałem. - Za co go wsadzili?

Zastępcy szeryfa popatrzyli na siebie. Wcześniej to spojrzenie doprowadzało mnie do szału. Teraz nic mnie nie obchodziło.

- Wiem, że powinienem pamiętać paragrafy, ale minęło sporo czasu - zacząłem się tłumaczyć. - Po prostu mi powiedzcie.

- Czterysta piętnaście to pijaństwo i zakłócenie porządku - odparła policjantka. - Sto czterdzieści osiem...

- Zaraz, zaraz - przerwałem. - To niemożliwe. Vinnie nie pije.

- Sto czterdzieści osiem to stawianie oporu przy aresztowaniu - mówiła dalej. - A dwieście czterdzieści to napaść, w tym przypadku na policjanta. Pański przyjaciel Indianin, który jest abstynentem, posłał policjanta do szpitala.

Oparłem się o siedzenie. Zupełnie mnie zatkało. Cały ten dzień zmienił się w koszmar.

- Niech pan spojrzy na to z jasnej strony - poradziła policjantka. - Przynajmniej teraz pan wie, gdzie on jest.

Rozdział 6

KAZAŁEM POLICJANTOM ZAWRÓCIĆ i odwieźć mnie do domu. Wskoczyłem w ciężarówkę i pogałem do Soo. Kląłem na siebie przez cały czas, gdyjechałem szosą M-28. Chmury nad moją głową ciemniały, gotowe w każdej chwili rzucić na świat kolejny ładunek śniegu. Wiatr szarpał plastikiem w oknie i sprawiał, że prawą część twarzy miałem zupełnie odrętwiałą.

Nagle we wstecznym lustrze zauważyłem samochód. Zielony sedan z dwoma facetami siedział mi na ogonie, gdy gnałem szosą M-28 przez miasteczka Strongs i Raco do Soo.

Cudownie, teraz widzę, że ktoś za mną jedzie. Choć oczywiście dzisiaj to nie jest takie ważne. Przede wszystkim to jedyna autostrada w całym hrabstwie Chippewa, która prowadzi ze wschodu na zachód. I od początku do końca nie musisz się zatrzymywać, chyba że nie możesz się oprzeć suszonej wołowinie w Stop 'n Go. No więc oczywiście to nieuniknione, że jakies auto pojedzie za tobą aż do Soo. A poza tym teraz, kiedyjuż porwali Dorothy, nie mają żadnego pieprzonego powodu, żeby się tobą interesować.

No i gratulacje, Alex, nagle wrócił ci zmysł obserwacji.

Zachowałem ten cudowny stan umysłu aż do Sault Ste. Marie. Mostem nad kanałem hydroelektrowni wjechałem do tak zwanego śródmieścia. Siedziba sił porządkowych miasta i hrabstwa mieści się w potężnym szarym pudle; to najbrzydszy gmach, jaki w życiu widziałem. Brzydszy niż budynki w Detroit, które chyba jest światową stolicą paskudnej architektury. Wznoszący się obok gmach sądu odznacza się dostatecznym cza-rem, by nadać sąsiadowi wygląd architektonicznego potwora.

W tym budynku mieściło się zarówno biuro szeryfa, jak i miejska komenda policji. Wjeżdżając na parking, po jednej stronie

zobaczyłem wozy szeryfa, po drugiej policji miejskiej. Obok parkingu znajdował się spacerniak, na oko czterdzieści metrów kwadratowych, ze wszystkich stron otoczony siatką, przez co przypominał schronisko dla psów, oraz zewnętrznym ogrodzeniem z drutem kolczastym. Na jedynym stoliku siedział facet; śnieg zdołał przykryć krzesła. Mężczyzna usiłował zapalić papierosa, tocząc bitwę z wiatrem.

Wszedłem do części należącej do hrabstwa i skierowałem się prosto do biura szeryfa. Jeśli recepcjonistka usiłowała mnie powstrzymać, to jej nie zauważyłem.

Kiedy otworzyłem drzwi, Bill Brandon kładł słuchawkę na widelkach. Spojrzał na mnie, potem na śnieg u moich stóp.

- Popatrz, coś narobił - warknął. - Matka cię nie nauczyła, że trzeba otrzepywać buty?

- Co jest grane, Bill?

- O pukaniu najwyraźniej też nie wspominała.

- Od kiedy przyjmujesz do roboty licealistów? - zapytałem.

- I dlaczego wysłałeś tych dwoje? Nie przydzielasz nowicjuszm doświadczonych partnerów?

- Jerry jest starszy, niż wygląda, a Patricia jedną ręką położy cię na ziemi.

- Jerry i Patricia. Uszom nie wierzę.

- Alex, masz dla mnie coś nowego? - Bill wyszedł zza biurka.

- Czy przyszedłeś wściekać się na moich podwładnych?

Nie ruszyłem się z miejsca. Spojrzał na mnie chłodnym, cierpliwym wzrokiem.

- Bill, nie ma jej - odezwałem się wreszcie. - I to jest moja wina.

- Usiądź. - Podstawił mi krzesło. - No, siadaj.

W końcu posłuchałem. Zamknął drzwi biura i przysiadł na biurku naprzeciwko mnie. Wiatr grzechotał oknami w gabinecie.

- Nazywa się Dorothy Parrish. Należy do plemienia Bay Mills. Facet, z którym ją widziałeś, to Lonnie Bruckman. Tak?

- Tak.

- Noc miała spędzić w jednej z twoich chat na wynajem. Rano

nie zastałeś nikogo. Drzwi były otwarte. Żadnych śladów opon, ale Dorothy mogła odjechać skuterem śnieżnym.

- Mogła zostać porwana na skuterze - uściśliłem.

- Porwana - powtórzył. - W porządku. Załóżmy, że zabrano tę kobietę wbrew jej woli.

- Nie musisz zakładać. Tak było.

- W porządku, Alex, rozumiem, co mówisz. A teraz ty mnie posłuchaj. - Przyglądał mi się z góry. Jedną rękę trzymał na biodrze, drugą wyciągnął, żebym nie przerywał. - Szukamy ich obojga. Musisz mi zaufać. Pozwól nam działać.

- Gdzie on mieszka? - zapytałem.

- Nie. - Bill położył mi dłoń na ramieniu. Czuję siłę jego uścisku. - To nie wchodzi w grę. Nie zrobisz tego.

- Powiedz mi, gdzie on mieszka. Nie ma nazwiska faceta w książce telefonicznej.

- Przydzieliłem wszystkich swoich ludzi do tej sprawy. Policja stanowa pilnuje dróg. Poprosiłem nawet o pomoc policję miejską.

Westchnąłem głośno.

- Policja miejska - powtórzyłem. - To kolejny problem. Na piętrze macie mojego przyjaciela.

- Kogo?

- Nazywa się Vinnie LeBlanc. Twoi zastępcy mówili, że napadł na miejskiego funkcjonariusza.

- Tak, jest tu taki.

- Podobno był pijany i stawiał opór. Ale to niemożliwe. Vinnie nie pije.

- Nie, myślę, że chodziło tylko o cztery-jeden-pięć. Zakłócanie porządku publicznego. Widziałem go wczoraj wieczorem. Nie wyglądał na zawianego.

- A więc dlaczego zastępcy...

- Pomylili się - odparł Bill. - Pomieszali paragrafy.

- Chodzi o to, że jest Indianinem, tak? Skoro wpadł w kłopoty, musiał być pijany.

- Na litość boską, Alex. Mam ich wezwać, żebyś mógł wygłosić

im wykład? Boja naprawdę nie muszę tego słuchać.

- Przepraszam. Rzecz w tym, że... a, cholera jasna. Gdzie on jest? Mogę się z nim zobaczyć?

- Siedzi w areszcie tymczasowym. Na piętrze brakuje miejsca. Ale jeśli zadzwoni do rezerwatu, przyjadą po niego. Nie sądzisz, że wolałby siedzieć u nich w pudle?

- Raczej nie. Znam Vinniego.

- Napadł na funkcjonariusza policji miejskiej po służbie - poinformował Bill. - Chłopak ma złamany nos i wstrząs mózgu.

- Jak do tego doszło?

- Nie słyszałem szczegółów. Przywieźli go miejscy. Wiem tylko, że to miało coś wspólnego z kijem hokejowym.

- O Boże. Zaprowadzisz mnie do niego? Bardzo proszę.

- To sprawa policji miejskiej. Do nich musisz się zwrócić.

- Ale to twój areszt, Bill. Nie mam najmniejszej ochoty na spotkanie z Mavenem.

Po raz pierwszy od mojego przyjścia Bill się uśmiechnął.

- Rozumiem. Dobra, zobaczę, czy uda mi się ciebie przemycić. Ale jeśli Maven się zorientuje, rozniesie cię na strzepy.

- Niech spróbuje - odparłem. - Dzisiaj już gorzej być nie może.

Areszt tymczasowy na parterze składał się z czterech cel, prostych klatek z ławkami po obu stronach oraz toaletą na tylnej ścianie. Był przeznaczony dla podejrzanych oczekujących na postawienie w stan oskarżenia, ale dzisiaj każdą celę zajmowało pięciu mężczyzn.

- Do diabła, co tu się dzieje? - zapytałem.

- Mówiłem ci, brakuje nam miejsca na piętrze - wyjaśnił Bill. - W większości to ludzie aresztowani przez miejskich za przemyt narkotyków przez granicę. Zadzwoniliśmy do więzienia stanowego w Kincheloe. Zobaczą, czy będą mogli nam pomóc.

- Gdzie Vinnie?

- W ostatniej celi. - Bill poprowadził mnie wąskim korytarzem.

Nad naszymi głowami mruczały i migotały jarzeniówki. Poza nimi nie było innego światła ani śladu świata zewnętrznego. – Proszę, namów go, żeby złożył prośbę o wyjście za kaucją. On naprawdę nie jest mi tu potrzebny, Alex.

– Kaucja? Więc już go oskarżono?

– Trzeba wpłacić dziesięć tysięcy dolarów.

– Jezu, Bill.

– Przez niego gliniarz leży w szpitalu, Alex. Potrzebuje tylko poręczenia w wysokości tysiąca dolarów.

– Dzwonił do kogoś?

– Nie. Jest tu od wczorajszego wieczora.

– Chyba robisz mnie w konia – mruknąłem.

Kiedy doszliśmy do ostatniej celi, zobaczyłem Vinniego. Siedział na ławce ze wzrokiem utkwionym w podłozę. Nie podniósł głowy.

– Vinnie.

Nie odpowiedział. Poza nim w celi było trzech innych mężczyzn, dwaj długowłosi siedzieli na ławce i próbowali nie wyglądać na przerażonych. Potężny, bardzo brzydki facet w panterce stał oparty o ścianę.

– Vinnie – powtórzyłem.

Cisza.

– Dobra, zostawiam was – powiedział Bill. – Pamiętaj, jak Maven cię zobaczy, ja nie miałem z tym nic wspólnego.

– Ale i tak dziękuję – odparłem.

Po jego odejściu przysunąłem sobie jedno ze składanych krzeseł, które stały tu i tam na korytarzu, i usiadłem. Długo patrzyłem na Vinniego. Czekałem, żeby się poruszył albo coś powiedział. Nie doczekałem się.

– Dobra, Vinnie – odezwałem się wreszcie. – Zamierzasz zostać tu całą zimę czy cię stąd wyciągnąć?

– Zostanę całą zimę – burknął.

Kiedy na mnie spojrział, zobaczyłem solidny siniak pod prawym okiem.

– Jasne. Cholerni Indiańce – wtrącił się facet oparty o ścianę. –

Dają się aresztować, żeby zimę przesiedzieć w pudle.

- Pieprz się, facet - wycedziłem.

- Nie gadałbyś tak, gdyby nie dzieliły nas kraty.

- Pewnie. Po prostu wsadzałbym ci łeb do kibla.

Uśmiechnął się. To mu nie dodało urody. Przez cały czas, kiedy tam byłem, stał z rękami skrzyżowanymi na piersi i nie odrywał ode mnie wzroku.

- W porządku, mów, co się stało - zwróciłem się do Vinniego.

- Do diabła, dlaczego do mnie nie zadzwoniłeś?

- I co niby miałem ci powiedzieć?

- Na przykład, że cię aresztowali i chcesz, żebym po ciebie przyjechał?

- Nie mogłem tego zrobić.

- A rodzina z plemienia? Przecież w sekundę zapłaciliby kaucję, no nie?

- Wykluczone. W żadnym razie nie zwrócę się do plemienia.

- Jasne... - mruknąłem. - Tu jest tak przyjemnie.

- Wykluczone, słyszysz?

- No to przynajmniej opowiedz mi historię.

- Jaką?

- No nie, słodki jesteś. O tym, jak cię aresztowano, do cholery. Zaczniij od mojego wyjścia z baru dwa dni temu, a zakończ na uderzeniu gliniarza kijem hokejowym.

Vinnie westchnął ze znużeniem, pocierając opuchliznę pod okiem.

- Nie chciałem go walnąć, Alex. Nawet nie wiedziałem, że to gliniarz. Nie był w mundurze.

- Więc co się stało?

- Po prostu się napatoczył. Gonilem Bruckmana.

- Zaraz... - Przysunąłem krzesło do krat. - Vinnie, to bardzo ważne. Opowiedz wszystko dokładnie.

- Ty wyszedłeś z baru, a ja odwiozłem kilku chłopaków do rezerwatu. Jechałem przez miasto i na stacji benzynowej, tej na pętli, zobaczyłem Bruckmana i kilku jego kumpli. Tankowali skutery śnieżne.

- A więc jednak przyjechali skuterami. - Pokiwałem głową. - Ale w barze nie mieli kombinezonów...

- No nie, tylko skórzane kurtki. To idiotyzm, ale jakoś mnie to nie dziwi.

- A ta młoda kobieta, którą widziałeś w barze, była z nimi?

- Tak.

- Nazywa się Dorothy Parrish.

- Wiem. - Vinnie znowu patrzył na podłogę.

- O, ciekawe? Pytałem ją o ciebie. Powiedziała, że cię nie zna. Wypuścił głośno powietrze. W innych okolicznościach mógłbym to wziąć za śmiech.

- Nic dziwnego - powiedział.

- Nie rozumiem.

- Alex, znam Dorothy Parrish od dzieciństwa. Jest parę lat starsza ode mnie. W liceum była... Przede wszystkim śliczna. I bardzo dobrze się uczyła. Wszyscy ją lubili. Ciągłe kręcili się koło niej chłopcy. Biali chłopcy. Futboliści. Była pierwszą dziewczyną z plemienia, która na zjeździe absolwentów została królową.

- Jak rozumiem, nie przyjaźniliście się.

- Nie. Wcale nie. W tamtych czasach rezerwat to były same szopy. Na pewno to widziałeś, kiedy tu przyjechałeś.

- Tak, pamiętam.

- Teraz pewnie jest o wiele lepiej, ale wtedy... mnóstwo młodych z rezerwatu... no, ciężkie czasy. Ale nie dla Dorothy. Ona była wyjątkiem. W każdym razie wtedy, kiedy chodziła do szkoły.

- Nienawidziłeś jej za to?

- Nienawidziłem? Ja się w niej zakochałem. Tak mocno, jak to możliwe, kiedy masz szesnaście lat. A ona nie знаła mojego imienia. Nawet nie chciała poznać. Tylko bym jej przypominał, skąd pochodzi. Dokąd co wieczór musi wracać. Nie mogła się doczekać, kiedy wreszcie zda maturę i stąd wyjedzie.

- Jak myślisz, dlaczego wróciła? - zapytałem.

- Nie mam pojęcia. Nie znosiła tego miejsca. Nie widziałem jej od czasów szkoły aż do tego wieczoru w barze.

- Vinnie, przysłała do Glasgow Inn. Szukała mnie. Chciała,

żeby jej pomógł uciec od Bruckmana.

Patrzył na mnie w milczeniu.

- Ostatnią noc spędziła u mnie - mówiłem dalej. - To znaczy w jednej z chat. Dzisiaj rano już jej nie było. Myślę, że porwał ją Bruckman.

Vinnie zamknął oczy.

- Och, nie. Błagam, tylko nie to.

- Co się stało z Bruckmanem? Widziałeś go na stacji benzynowej ...

- Tak. Dorothy siedziała na jednym ze skuterów. Wyglądała na przemarznąętą i nieszczęśliwą. Bruckman podszedł do niej i zaczął wrzeszczyć. Nie słyszałem, co mówił, ale ona... Boże, Alex, mocno się skuliła. Potem zepchnął ją ze skutera. Podniosła się i weszła do sklepu koło stacji. Kiedy wyszła, wszyscy skończyli tankować. Długo stała przed drzwiami, w końcu wsiadła na skuter Lonniego i pojechali. Ruszyłem za nimi, Alex. Nie wiem, dlaczego. Musiałem, i tyle. Nie mogłem inaczej. Na tylnym siedzeniu wiozłem Jimmy'ego i Bucka, ale byli zalani w trupa. No więc podążyłem za Bruckmanem i jego bandą. Jechali obok ulicy, potem skręcili w prawo na szlak prowadzący na zachód i na chwilę straciłem ich z oczu, ale wiedziałem, że ten szlak łączy się ze Three Mile Road. Jechałem na zachód i wypatrywałem bandy. Chwilę później zobaczyłem skutery zaparkowane przed Cappy's, małą knajpką na obrzeżach miasta. Nie widziałem ich, więc uznałem, że weszli się rozgrzać. Zatrzymałem samochód i czekałem. Zastanawiałem się, czy też nie zajrzeć do środka, ale pomyślałem, że mnie rozpoznają. Grałem z nimi w hokeja, widzieli mnie w Horns Inn.

Kiedy Vinnie umilkł, w celi panowała idealna cisza, przerywana tylko szumem jarzeniówek. Trzej więźniowie słuchali z uwagą, nawet pan Przyjacielski pod ścianą nie chciał uronić ani słowa. To jedyna rozrywka, na jaką mógł liczyć przez cały dzień. Przyciągnąłem krzesło bliżej krat.

- Wybaczcie, panowie - powiedziałem.

Pan Przyjacielski splunął na podłogę.

- Więc czekałeś - zniżyłem głos. - A oni w końcu wyszli.

Domyślam się, co było dalej. Wychodzą, Bruckman znowu brutalnie traktuje Dorothy, Vinnie bierze kij, a gliniarz po służbie próbuje ich rozdzielić. No i teraz Vinnie siedzi w pudle. Ale usłyszałem coś zupełnie innego.

- Bruckman wyszedł sam. Stał na parkingu i palił papierosa. Potem pojawił się Juno.

- Jaki Juno?

- To mój kuzyn ze strony ojca. Miał w życiu mnóstwo problemów. Często pakował się w kłopoty. Ze dwa lata temu siedział w więzieniu. Do diabła, jestem pewien, że nieraz był w tej celi. Tak czy owak, podjeżdża Juno, opuszcza szybę, Bruckman coś mu daje. Juno odjeżdża, skręca na Three Mile Road w kierunku rezerwatu. Bruckman wciąż stoi. Jest cholernie zimno, ale jemu to nie przeszkadza, chociaż ma na sobie tylko skórzaną kurtkę. Nie wiedziałem, co robić, ale Jimmy i Buck wciąż chrapali na tylnym siedzeniu, więc pomyślałem, że poczekam i zobaczę, co będzie.

Znowu umilkł. Współwięźniowie nie odrywali od niego wzroku. Nie odezwałem się. Czekałem, aż znajdzie odpowiednie słowa.

- W końcu Bruckman wszedł do baru. Po kilku minutach znowu wyszedł i zapalił papierosa. A Juno wrócił. Minęło nie więcej niż trzydzieści, trzydzieści pięć minut. Akurat tyle, żeby pojechać do rezerwatu i z powrotem. Tym razem Juno przekazał coś Bruckmanowi. Na pewno pieniądze, pomyślałem, Bruckman dał mu narkotyki, Juno zawiózł je do rezerwatu. No i... - Vinnie odetchnął i przełknął ślinę. - Ogarnęła mnie wściekłość. Mój kuzyn zawozi narkotyki do rezerwatu. A dostaje je od Bruckmana, Alex. To ubodło mnie do żywego. Mój kuzyn! - Głos mu zadrżał. - Cholera jasna, syn brata mojego ojca jest... Nie mogłem tego znieść. Z baru wyszła Dorothy. Oświetlała ją lampa nad drzwiami. Po sekundzie znów wyglądała na przemarznąętą. Bruckman coś do niej wrzasnął, więc wróciła do środka. Ale ten jej wyraz twarzy... Oto jedyna dziewczyna w całym pieprzonym plemienu, która zdołała się stąd wydostać,

teraz wróciła z dupkiem sprzedającym Indianom prochy. Jakbyśmy nie mieli dość kłopotów, Alex. Jakby i bez tego nasze życie nie było do dupy.

- Uspokój się - powiedziałem łagodnie.

- Wtedy straciłem panowanie nad sobą, Alex.

- Rozumiem.

- Wziąłem kij i rzuciłem się na niego. W niecałe dwie sekundy wszyscy jego kumple byli przy nas. Wydaje mi się, że akurat wychodzili. Udało mi się kilka razy celnie trafić, potem ktoś na mnie skoczył.

- I wtedy gliniarze próbowali was rozdzielić, tak? Powiedzieli, kim są?

- Nie mam pojęcia. Nie pamiętam. Chyba było dwóch miejskich policjantów po służbie. Ja tylko machałem kijem, Alex. Nie obchodziło mnie, kogo walnę.

- A co z Bruckmanem i jego bandą? Gliniarze zaaresztowali ciebie, a jego puścili wolno?

- Dlaczego mieliby go aresztować? To ja zaatakowałem.

- Nie powiedziałaś im o handlu prochami?

- Po tym, jak wyrząłem gliniarza kijem prosto w twarz? Powinienem jeszcze z nimi dyskutować?

- Więc Bruckman z kolesiami odjechał.

- Tak.

- Wieczorem Dorothy ucieka od niego, a on za nią jedzie.

- Jeśli coś jej się stanie, Alex... Przysięgam, zabiję drania.

- Na razie to trzeba cię stąd wydostać.

- Nie chcę, żeby plemię płaciło za mnie kaucję.

- Znam poręczyciela. Prawdę mówiąc, będziemy jego pierwszymi klientami.

- Nie musisz tego robić, Alex.

- Muszę. - Wstałem i odepchnąłem krzesło. - Jesteś mi potrzebny. Musimy odnaleźć Dorothy.

Rozdział 7

W HOLU BYŁ AUTOMAT TELEFONICZNY. Książka leżała na półeczce; nie zabezpieczona łańcuchem. Jak przypuszczam, wykombinowali, że z policją miejską po jednej stronie i szeryfami hrabstwa po drugiej nikomu nie przyjdzie do głowy jej ukraść. Znalazłem i wystukałem numer. To błąd, myślałem, w Mackinac jest poręczyciel. Dojechałby tu w półtorej godziny.

- Dodzwoniłeś się do Leona Prudella - przemówił głos w słuchawce. - W tej chwili nie mogę z tobą rozmawiać. Jeśli potrzebujesz moich usług, zostaw numer. Oddzwonię. W sytuacjach nagłych skontaktuj się ze mną przez pager... - Tu głos podał numer zaczynający się od 800; zanotowałem.

Odwiesiłem słuchawkę; miałem ostatnią okazję, żeby zmienić zdanie. Zadzwoiłem na pager. Podałem numer automatu i odwiesiłem słuchawkę. Telefon zadzwonił w niecałą minutę.

- Mówi Leon Prudell. Czym mogę służyć?

- Tu Alex McKnight. Muszę załatwić wyjście za kaucją.

- Alex! Cholera, ten pager naprawdę działa! Jesteś moim pierwszym klientem!

- Przyjeżdżaj do więzienia stanowego - powiedziałem. - Potrzebuję kaucję w wysokości dziesięciu tysięcy dolarów. Mogę ją dostać za tyśiąc, mam rację?

- Tak, dziesięć procent dla mnie.

- Skąd weźmiesz pieniądze? - zapytałem. - To znaczy, skąd się je bierze?

- Mówiłem, jestem związany z firmą ochroniarską. Pracuję u nich na godziny. Rany, moja pierwsza kaucja. Posłuchaj, nie będę nawet wypełniać tych wszystkich papierów. W końcu jesteś moim partnerem.

- Nie jestem - oznajmiłem z mocą. - Za ile się zjawisz?

- No, w tej chwili siedzę w drugiej pracy, ale dla ciebie wszystko rzucę. Po co są partnerzy?

- Nie jestem twoim partnerem - powtórzyłem. - Prudell, cholera jasna, przyjeżdżaj.

- Już, partnerze. - Po tych słowach się rozłączył.

Z rozmachem odwiesiłem słuchawkę. Recepcjonistka zerknęła na mnie, potem wróciła do pisania.

Usiadłem na twardym plastikowym krześle i popatrzyłem na czasopisma. „Michigan Out of Doors” sprzed mniej więcej dwóch lat. Wziąłem drugie, „Field and Stream”: to było zaledwie sprzed półtora roku. Co nie znaczy, że miałem ochotę na lekturę. Wstałem i wyszedłem na dwór. Na parkingu podniosłem kołnierz. Ostre zimno przenikało aż do kości i sprawiało, że najchętniej spałbyś do kwietnia. Padał obfity śnieg. Od rana przybyło dobre dwadzieścia centymetrów.

Stałem, patrzyłem na wirujące płatki i czekałem, aż Prudell pojawi się z wekslem.

- Przepraszam, panie McKnight.

Odwróciłem się. W progu stał funkcjonariusz policji miejskiej, przytrzymując drzwi.

- Może pan na chwilę wejść? - zapytał. - Maven chciałby się z panem zobaczyć.

- Proszę mu przekazać, że jeśli ma takie życzenie, niech wyjdzie na dwór.

Gliniarz nie odpowiedział. Stał w otwartych drzwiach, buchając parą w mroźnym powietrzu. Jego mina powiedziała mi, że nie płacą mu dostatecznie dużo, żeby musiał coś takiego znosić.

- Już idę - mruknąłem wreszcie. - Nie chciałbym rozczarować Mavena.

- Dziękuję - odparł, przepuszczając mnie w drzwiach.

- Jak się u niego pracuje? - zapytałem.

- Woli pan nie wiedzieć.

Poprowadził mnie w głąb budynku, gdzie mieściły się biura policji stanowej.

Za drzwiami była kolejna mała poczekalnia z czterema

plastikowymi krzesłkami. Wyglądało na to, że kiedy krzesła w głównym holu zaczynały się łamać i chybotać, przenoszono je tutaj. Tu też mieli czasopisma, ale tylko co najmniej trzyletnie. W takich pomieszczeniach człowieka ogarniała ochota, by wrócić do palenia.

Funkcjonariusz zostawił mnie w poczekalni. Siedziałem kilka minut. Byłeś tu wcześniej, mówiłem sobie, i wiesz, jak to jest. Maven siedzi teraz w swoim biurze, z nogami na biurku i czyta gazetę. Poczekasz z godzinę, zanim raczy do ciebie przyjść. A jak będziesz miły i uступliwy, poprosi cię do gabinetu i poczęstuje lunchem.

Nie dzisiaj. Nie po tym, co mnie spotkało w ostatnich dwóch dniach.

Wstałem i otworzyłem drzwi gabinetu. Maven rozmawiał przez telefon. Spojrzał na mnie tak, jakbym przebił go na wylot włócznie.

- Chciałeś ze mną pogadać, szefie? - zapytałem.

- Cholerna jasna, odbiło ci, McKnight?

Nie zmienił się od czasu, kiedy ostatni raz go widziałem. Stary twardy glińiarz, znałem takich tysiące. Rzednące włosy, wąsy, twarz ogorzała od zbyt wielu surowych zim. Był szpetnym draniem, ale brak urody nadrabiał rozbajającym stylem bycia.

Usiadłem na krześle przed biurkiem.

- Czas mnie goni. Masz pięć minut - poinformowałem.

- Nie wierzę własnym uszom. Przepraszam - powiedział do słuchawki. - Ktoś arogancko wtargnął do mojego gabinetu. Oddzwonię... Tak... Tak, dobrze. Tak. Już mówiłem. Dobra, cześć! - Walnął słuchawką i spojrzał na mnie. - Kto ci pozwolił wejść bez pukania?

- Chyba już wiem, dlaczego zawsze masz taki podły humor.

Nawet nie mrugnął.

- Rozejrzyj się - poradziłem. Jego biuro miało cztery betonowe ściany. Żadnych okien. Ani jednego zdjęcia czy osobistego drobiazgu na biurku. - Przed chwilą spędziłem pięć minut w więzieniu i muszę przyznać, że tam jest o wiele przytulniej niż u

ciebie.

- Właśnie... Co robiłeś w więzieniu?

- Odwiedzałem przyjaciela.

- A ten przyjaciel nazywa się Vinnie LeBlanc, co?

- Tak.

- Kto ci powiedział, że możesz go odwiedzić? Podlega policji miejskiej.

- Ale siedzi w więzieniu hrabstwa.

- To gówno znaczy, McKnight. Jak następnym razem bez mojego pozwolenia odwiedzisz naszego aresztanta, wsadzę cię do celi obok. Zrozumiano?

- Dlaczego go aresztowaliście? - zapytałem.

- Żartujesz?

- Dlaczego?

- No, zastanówmy się. Bo napadł na funkcjonariusza policji? Bo złamał kij hokejowy na jego nosie? To nie wystarczy?

- Chodziło mu o Lonniego Bruckmana - powiedziałem. - Gościa, który sprzedawał Indianinowi prochy. Jego też aresztowaliście? Przesłuchaliście chociaż? Czy twoi ludzie w ogóle faceta zauważyli? Czy po prostu wybrali z tłumu Indianina i rzucili się na niego?

- Nie twój interes - odparował Maven. - Wiemy o Bruckmanie. Zajmujemy się nim.

- Kto „my”? Szuka go szeryf, bo wczoraj w nocy porwał kobietę.

- Tak, wiem.

Oparłem się i spojrzałem na Mavena.

- To się stało w Raju - powiedziałem. - Nie ma żadnego powodu, żebyś brał w tym udział.

- Chcesz ją znaleźć czy nie? Szeryfowi potrzebna pomoc. Zacisnąłem zęby.

- Poza tym - ciągnął Maven - Bruckman mieszka w Soo.

- Jasne, Dorothy też tu mieszkała.

- Oczywiście.

- Bill mi o tym mówił. W domu przy... - Zawiesiłem głos.

Maven pokręcił głową.

- Nieźle, McKnight. Ale tobie nic do tego.

- Była w mojej chacie. Stamtąd została porwana.

Maven rozsiadł się wygodnie.

- Taa, skoro o tym mowa... Niech się upewnię, czy niczego nie poplątałem. Ostatni gość, którego ochraniałeś, skończył na dnie jeziora Superior. Teraz ta kobieta prosi cię o ochronę, a ty zostawiasz ją na noc w chacie w środku lasu. Zgadza się?

Patrzyłem na niego bez słowa.

- Jedno muszę ci powiedzieć, McKnight. Mam nadzieję, że przynajmniej dajesz tym ludziom spory upust.

- Skończyłeś?

- Owszem. Teraz wracaj do domu i nie włącz nam w drogę. Daj prawdziwym gliniarzom wykonywać ich robotę. - Wziął słuchawkę i czekał, aż się wyniosę. Tak po prostu.

Wstałem i wyszedłem. Nic nie mogłem mu zrobić, chyba że udusiłbym go gołymi rękami. Zamknąłem za sobą drzwi.

Kilka razy przemierzyłem korytarz tam i z powrotem. Sam nie wiedziałem, czy jestem bardziej zły, czy dezorientowany. W rozmowie z Mavenem pobrzmiwały dziwne tony. Poza obelgami, których się spodziewałem, było coś jeszcze, ale nie potrafiłem tego nazwać.

Kiedy wróciłem do głównego holu, zobaczyłem Leona Prudella. Wszedł do środka i strząsał śnieg z rudych włosów. Miał na sobie puchową kurtkę, na oko o dwa numery za małą. Przypuszczalnie była w sam raz dwadzieścia pięć lat temu, kiedy nosił ją w liceum.

- Alex - zawołał. - Idę do biura. Mam kaucję.

- Jak ci się udało tak szybko ją zdobyć?

- I tak byłem w mieście - odparł. Po długiej chwili dodał: - Załapałem się do nowej pracy. W każdym razie na zimę.

- Naprawdę?

- Sprzedaję skutery śnieżne.

- O Boże.
- Latem pewnie przerzucą mnie na silniki zaburtowe. Cóż, praca to praca.
- Wiem. Uniemożliwiłem ci karierę prywatnego detektywa.
- Nie, nie, to zamknięty rozdział. Teraz jesteśmy partnerami. Spojrzałem w sufit.
- Prudell...
- Marnujemy czas - przerwał. - Musimy załatwić kaucję dla naszego człowieka, Vincenta LeBlanca, tak? Mówiłeś, że aresztowali go miejscy?
- Tak. Idź i wpłać forszę, a ja skoczę do kibla.
- Prudell poszedł w swoją stronę, ja poszukałem męskiej toalety. W środku zobaczyłem Billa Brandowa przy pisuarze. Stałem obok niego.
- Masz ciężki dzień - powiedział, nie patrząc na mnie.
- Bill, co jest?
- O co chodzi? - Wciąż miał oczy.
- Coś tu jest nie tak. Maven dziwnie się zachowuje. Ty zresztą też.
- Tak? Nie wiedziałem - odparł. - To nie odpowiednia pora na dziwne zachowania.
- Zupełnie mnie zatkało. Zrobiłem swoje, on też, potem umył ręce i wyszedł.

WRÓCIŁEM DO HOLU. Patrzyłem przez okno na śnieg. Padał płatkami wielkimi jak kulki bawełny. Kiedy się wreszcie odwróciłem, Prudell wyprowadzał Vinniego z aresztu. Na prawym policzku przyjaciela zobaczyłem wielki fioletowy siniak, którego wcześniej nie dostrzegłem.

- Rozprawa za tydzień - poinformował Prudell. - Wierzę, że się stawisz?

Vinnie bez słowa spojrział na niego.

- Bardzo proszę, nie zmuszaj mnie, żebym cię szukał - dodał Prudell.

- Przyjdzie - wtrąciłem. - Nie martw się.
- To mi wystarczy, Alex. Zostawiam go w twoich rękach.
- Słyszałeś, Vinnie? - zapytałem. - Jesteś teraz w moich rękach.

Nic nie mówił. Wyglądał na nieszczęśliwego.

- Okej, partnerze - odezwał się znów Prudell. - Co dalej?

- Jak to: co dalej?

- Mamy robotę. Siedem dni na udowodnienie, że jest niewinny.

- On jest winny - powiedziałem. - Złamał kij hokejowy na nosie policjanta.

Prudell rozejrzał się po holu.

- Jezu, Alex. Nie tak głośno.

- To nie tajemnica. Sam go zapytaj.

Prudell spojrział na Vinniego. Nie doczekał się żadnej reakcji.

- Okej - powiedział. - Okej. Ale musiały być okoliczności łagodzące. Świadkowie są?

- Możecie przestać gadać tak, jakby mnie tu nie było? - przemówił wreszcie Vinnie. - I wynieśmy się stąd, do diabła.

Wyszliśmy na śnieg. Pokrywa wynosiła ze trzydzieści centymetrów. Poprowadziłem Vinniego do ciężarówki, przy każdym kroku wzbijając tumany białego pyłu. Leon szedł za nami.

- To co mam robić, Alex? - zapytał. - Daj mi jakieś zadanie.

Zatrzymałem się przy samochodzie i zastanowiłem nad rzeczami, którymi mógłby zająć się Prudell. W sumie facet wyświadczył mu przysługę.

- Chcesz robotę?

- Cokolwiek, Alex. Pozwól, żebym ci pomógł.

- Lonnie Bruckman. - Przedstawiłem mu pięciominutową wersję wydarzeń. Mecz hokeja, zajście w barze. Dorothy prosi mnie o pomoc. Bruckman porywają w środku nocy. - Facet mieszkał w Sault Ste. Marie. Jestem pewien, że wyjechał. Ale gdybyś znalazł jego adres, bardzo by mi to pomogło.

- Załatwione, Alex. Wchodzę w to.

- Świetnie.

- Zadzwoń do ciebie z raportem.

- Dobra.

- Znajdę jego adres. Możesz na mnie liczyć.

- W takim razie zabieraj się do szukania.

Wreszcie się odwrócił, żeby odejść.

- Hej, dzięki za kaucję - powiedziałem.

- A po co są partnerzy? - odkrzyknął i poczłapał przez śnieg do swojego samochodu.

Vinnie i ja wsiedliśmy do ciężarówki. Kiedy czekaliśmy, aż ogrzewanie zacznie działać, nasze oddechy zasnuwały szybę mgłą.

- Dlaczego mu wszystko wygadałeś? - zapytał Vinnie. - To idiota.

- Ten idiota wpłacił za ciebie kaucję - odparłem. - Poza tym, co mamy do stracenia? Może się dowie, gdzie mieszkał Bruckman, nawet jeśli zadręczy całe miasto.

Vinnie pokręcił głową. Wyjechałem z parkingu i ruszyłem na południe, do drogi M-28. Był środek dnia, ale światło tłumili ciężkie chmury i śnieg, przez co świat wyglądał jak ze snu. W innych okolicznościach podziałałoby to uspokajająco.

- Kiedy wreszcie naprawisz to okno? - zapytał Vinnie. Ciasno otulił się kurtką, chroniąc się przed wiatrem smagającym plastik.

- Jak na człowieka, który przed chwilą wyszedł z pudła za kaucją, masz sporo pretensji - zauważyłem.

- O nic nie prosiłem. Powinieneś mnie tam zostawić.

- Nie zaczynaj. Lepiej pogadajmy. Co jeszcze wiesz o Dorothy Parrish?

- Wszystko ci powiedziałem.

- A jej krewni? Sprawdziłem w książce telefonicznej. W rezerwacie mieszka ze trzydzieści osób o tym nazwisku.

- To rodzina Dorothy.

- Tyle to sam wiem. Pytam o bliskich krewnych. Znasz jej rodziców?

Vinnie się zawahał. Spojrzał przez plastik na śnieg, przez który się toczyliśmy.

- Tak - odezwał się wreszcie. - Znam.
- Mieszkają w rezerwacie?
- Mhm.
- Dobrze, w takim razie od nich zaczniemy.

Wolno pokiwał głową.

- Okej.

Zawróciliśmy na zachód, do rezerwatu. W tym śniegu nie mogłem jechać szybciej niż czterdzieści pięć kilometrów na godzinę. Niewiele było samochodów, ale jeden jechał za nami przez całą M-28. Zastanowiłem się przelotnie, czy ktoś mnie nie śledzi.

Kiedy skręciliśmy na północ w kierunku rezerwatu, samochód z tyłu pojechał dalej, do Raju. Jak tak dalej pójdzie, oszalejesz, Alex, ostrzegłem się w myślach. Do diabła, dlaczego ktoś miałby cię śledzić?

Rozdział 8

REZERWAT BAY MILLS leży na północ od miasteczka Brimley nad zatoką Whitefish, tuż przy zwiężeniu łączącym ją z rzeką St. Marys. Kilka plemion tworzy szczep Ojibwa albo Chippewas, jak nazywają go biali. Dawniej, wjeżdżając na teren rezerwatu, człowiek widział wyłącznie rudery. Teraz, dzięki pieniądzom z kasyna Bay Mills, nędzne szopy zniknęły. W rezerwacie są domy z podwórkami, wykładanymi kostką podjazdami i ozdobnymi skrzynkami pocztowymi. Gdyby nie drogowskazy, nie wiedziałbyś, że jesteś w rezerwacie. Pomyślałbyś, że to kolejne współczesne przedmieście.

- Gdzie mieszkają?

Vinnie przez większość podróży milczał, mimo grzechoczącego plastiku drzemał oparty o drzwi. Teraz otworzył oczy i kazał mi jechać główną drogą na północny koniec rezerwatu.

Minęliśmy kasyno Bay Mills, większe i nowsze z dwóch kasyn w rezerwacie, następnie ośrodek zdrowia i pierwsze kasyno Kings Club. Dalej znajdowały się siłownia i college, także zbudowane dzięki zyskom z hazardu. Przed nami dzieci zjeżdżały na sankach z drogi prowadzącej do cementarza na Mission Hill.

Vinnie wskazał dom po lewej. Skręciłem na świeżo oczyszczony podjazd. Odśnieżacz stał w garażu, wciąż oblepiony wolno topniejącym śniegiem. Vinnie podszedł do drzwi i zapukał. Otworzył Parrish.

- Dzień dobry. Miło pana widzieć. Pamięta mnie pan? Jestem Vinnie LeBlanc.

- Vinnie. Oczywiście. Znam wielu twoich kuzynów. Widuję ich w college'u.

- Panie Parrish, to Alex McKnight. Moglibyśmy zadać kilka pytań? Chodzi o Dorothy.

Dopiero teraz mężczyzna obrzucił mnie długim, czujnym spojrzeniem. Nic nie powiedział.

- Bardzo proszę - odezwałem się. - To nie potrwa długo, a sprawa jest ważna.

- Dobrze. - Otworzył drzwi na oścież.

Zanim weszliśmy, otrzepaliśmy buty ze śniegu. Dom był przytulny, miły i czysty, urządzone prosto. Nad sofą wisiał obraz przedstawiający żurawia. Według mitologii Ojibwa, samica żurawia przyleciała w miejsce, gdzie jezioro łączy się kaskadami z rzeką St. Marys, złożyła jaja i sprowadziła lud Ojibwa.

Kiedy do pokoju weszła pani Parrish, od razu dostrzegłem podobieństwo matki i córki. Te same oczy, usta. Uścisnęliśmy sobie dłonie. Gospodarze usiedli na sofie. Parrish zerknął na mnie, jego żona utkwiała wzrok w stoliku. Byli mniej więcej w moim wieku. Najwyżej pięć lat starsi. Miałem rację, kiedy na pierwszym spotkaniu pomyślałem, że mógłbym być ojcem Dorothy.

- Wiem, że to trudny okres - zacząłem. Obaj z Vinniem siedzieliśmy w fotelach, rozdeleni telewizorem. - Zakładam, że słyszeliście, co się stało.

- Dzisiaj dzwonili do nas z plemienną policji - odparł Parrish. Zwierzchnictwo nad policją plemienną przejął ostatnio szeryf hrabstwa Chippewa, więc do nich należało informowanie krewnych o wypadkach. - Zrozumieliśmy, że Dorothy zaginęła.

- Wczoraj w nocy była w mojej chacie - wyjaśniłem. Pani Parrish posłała mi szybkie spojrzenie i znów -wpatrzyła się w stolik. - Proszę dobrze zrozumieć. Nie była w tej samej chacie co ja. W sumie mam sześć domków w Raju. Dorothy przyszła do mnie i poprosiła o pomoc. Pozwoliłem jej przenocować w jednej z chat na wynajem. Rano już nikogo nic zastałem. - Parrish pokiwał głową, więc dodałem: - Cóż, czuję się odpowiedzialny. Kiedyś sam byłem policjantem. Patrząc z perspektywy, powinienem od razu coś zrobić. Zadzwoić do szeryfa albo do opieki społecznej. - Parrish uniósł dłonie, ale zaraz położył je z powrotem na kolanach, gdy zacząłem mówić dalej. - Bardzo

chciałbym pomóc. Czy jest jakieś miejsce, gdzie mogłaby teraz być? Albo dokąd zabrałby ją Bruckman?

- Nie znamy tego Bruckmana - powiedział Parrish.

- Nigdy go nie spotkaliście?

- Nie. Nie widzieliśmy Dorothy od kilku lat.

- Czy to znaczy - odezwałem się po chwili namysłu - że wróciła tu z nim kilka miesięcy temu, ale z wami się nie spotkała?

- Właśnie.

- Ale musieliście wiedzieć, że jest w mieście.

- Usłyszeliśmy o tym rano, kiedy zadzwonili z policji.

Zrobiłem głęboki wdech i odwróciłem od nich wzrok. Dopiero teraz zauważyłem na szafce w kuchni fotografię dziewczynki, siedmio-, ośmioletniej. Kucyki, brak przedniego zęba. Na pewno Dorothy. Rozejrzałem się po pokoju, ale innych zdjęć nigdzie nie wypatrzyłem.

Zapadła niezręczna cisza, przerywana tylko słabym stukaniem śniegu w szyby. Vinnie siedział równie nieruchomo jak Parrishowie.

Odchrząknąłem.

- Czy przychodzi wam na myśl coś, cokolwiek, co pomogłoby mi odszukać waszą córkę? - zapytałem.

- Obawiam się, że nic - odparł Parrish.

- Zostawię swój numer telefonu, na wypadek gdyby się z wami skontaktowała.

- Dobrze - powiedział.

Poprosiłem o pióro i papier, zapisałem swoje dane. Miałem mdlące uczucie, że robię to na darmo.

- Przepraszam, że zająłem wam czas - powiedziałem. - Mam nadzieję... - Urwałem, szukając odpowiednich słów. Nie potrafiłem pozbierać myśli. - Ze cała ta sprawa dobrze się skończy.

- Dziękuję - wymamrotał Parrish.

Uścisnąłem rękę gospodarzowi i jego żonie, która w ogóle się nie odezwała od chwili, gdy zaproponowała nam kawę.

Na dworze zapadł już zmrok i wciąż padało. Dzień się skończył.

Włączyłem silnik i ogrzewanie. Byliśmy u Parrishów krótko, więc w kabinie szybko zrobiło się ciepło. Nie miałem ochoty na rozmowę, dlatego przez większość drogi powrotnej do Paradise milczeliśmy.

- A co z twoim samochodem? - odezwał się wreszcie. - Gdzie jest?

- Kuzyni na pewno odstawili pod mój dom.

Kiwnąłem głową. Znowu zapadła cisza. Przed maską w tumanie śniegu przebiegł jeleni.

- Dobra. Mów, o co chodzi - podjąłem po chwili.

- Nie rozumiem...

- Dlaczego Parrishowie tak dziwnie się zachowywali?

- Jak to dziwne?

- Daj spokój. Córka została porwana, a oni nawet nie mrugnęli.

- Alex, ty nic nie łapiesz.

- To mi wytłumacz. Zaczynij od tego, jak mogli przez tyle lat się z nią nie kontaktować. Myślałem, że dla was rodzina jest wszystkim.

- Bo to prawda - odparł Vinnie. - Ale my różnimy się od was. Kiedy dorastałem, matka pytała mnie, czy chcę iść do dentysty. Nie mówiła, że muszę iść. Pytała. Zwykle odpowiadałem, że nie chcę, i nie szedłem. Czy to takie dziwne?

- Tak. Ale z czym to niby się wiąże?

- Lud Ojibwa nie wtrąca się w życie innych, nawet własnych dzieci. Wierzymy, że każdy ma prawo wybierać własną drogę, także złą.

- To niczego nie wyjaśnia. Vinnie... na litość boską, ją porwano!

- No, ale co mieli zrobić? Załamać się i wybuchnąć płaczem? Nie okazać emocji, zwłaszcza przy obcym. I nie poproszą o pomoc.

- Niejasne, że nie. Obcego nie poproszą.

- Właśnie. Ojibwa tak nie postępują.

- Nie?

- Nie. Tylko tyle mogę ci powiedzieć.

- Wiesz co, Vinnie?

- Co?

- Pieprzysz bzdury.

- Przykro mi, że ci się nie podoba.

- Oni nie są kosmitami! - wybuchłem. - Są ludźmi. Ich córka ma problemy. Wplątała się w związek ze złym facetem i wpadła w poważne kłopoty. Może nawet nie żyje. Wybacz, spodziewałem się, że okażą większą troskę.

- Wybacz, że nie zachowali się tak, jak założyłeś. Myjesteśmy inni. To proste.

Powinienem dać już spokój. Byłem wyczerpany, mimo to mówiłem dalej:

- A poza tym, co za „my”? Przestałeś uważać się za Indianina. Wyprowadziłeś się z rezerwatu. Nie spotykasz się z nimi, tylko raz w tygodniu grasz w hokeja.

- Nie przeginaj, Alex.

- A tak, kiedy zabierasz białych facetów na polowania, znowu stajesz się Czerwonym Niebem. Indianinem. Albo kiedy próbujesz mi wytłumaczyć zachowania Ojibwa. Pewnie możesz włączać i wyłączać to poczucie jak wodę w kranie, co? Kiedy ci pasuje, jesteś Indianinem, potem znowu przestajesz nim być. Boże broń, żebyś pozwolił plemieniu udzielić sobie pomocy, bo cię zapudłowali. Nawet nie chcesz, żeby o tym wiedzieli.

- Więc o to ci chodzi, Alex? Wściekasz się, bo uznałeś, że musisz zapłacić za mnie kaucję? Chcesz, żebym ci oddał ten tysiąc dolarów? W porządku. Jutro z samego rana zapukam do twoich drzwi.

- Niech cię diabli. - Złapałem kierownicę, jakbym chciał ją wyrwać. - Powinienem cię tam zostawić. Myślałem, że zachowuję się jak przyjaciel, ale chyba nie mogę być twoim przyjacielem. Dla ciebie zawsze będę obcy.

Vinnie milczał. Ja też. Odezwałem się dopiero, kiedy wjechaliśmy do Raju i zaparkowałem przed Glasgow Inn.

- Idę coś zjeść. Idziesz ze mną?

Lepszej propozycji zawarcia rozejmu nie mógł się spodziewać.

- Nie, dzięki. Wrócę do domu pieszo.

- To długi marsz.

- Nie dla mnie.

- Kolejna indiańska cecha.

- Pieprz się.

- Miłego wieczoru. - Wysiadłem z ciężarówki i patrzyłem, jak idzie główną ulicą. Dobrze pięć kilometrów w śnieżycy. Pokręciłem głową i wszedłem do knajpy.

Usiadłem sam przy barze, zamówiłem kolację i kanadyjskie piwo. Jackie z wyrazu mojej twarzy wyczytał, że dziś należy zostawić mnie w spokoju. Siedzący przy kominku faceci, z którymi regularnie grywałem w pokera, też to wiedzieli.

Rozmyślałem o wydarzeniach ostatniej doby. Nie podobało mi się nic, co w tym czasie zrobiłem. Byłem na tyle głupi, że zostawiłem Dorothy samą w chacie. Potem przez cały dzień kręciłem się za własnym ogonem i zastanawiałem, dlaczego wszyscy dokoła zachowują się dziwnie.

Zachowywali się dziwnie dlatego, że ty, Alex, robiłeś z siebie głupca. Oni mieli rację, ty się myliłeś, i próbowali ci to powiedzieć: Brandów delikatnie, Maven bez ogródek. Wracaj do domu i zostaw sprawę prawdziwym gliniarzom.

Nic więcej nie mogłem zrobić. Zrozumiałem to wyraźnie, pijąc trzecie piwo. Ten jeden raz w życiu musiałem pogodzić się ze swoją bezradnością. Bruckman i Dorothy przypuszczalnie byli teraz tysiąc kilometrów stąd.

I jeszcze ten Vinnie; może też miał rację. Jakim prawem oceniałem Parrishów? Skąd mogłem wiedzieć, co czują? Albo przez co przechodzili przez te wszystkie lata?

Musiałem z nim porozmawiać. A potem się położyć. Rzuciłem dwudziestkę na kontuar i wyszedłem. Śnieg ciągle padał, choć teraz przynajmniej trochę zelżał. Może jednak do jutra całkiem nas nie zasypie.

Znowu odpaliłem ciężarówkę i główną ulicą dojechałem do mojej drogi dojazdowej. Vinnie tędy szedł, pomyślałem.

Opuściłem pług i odsnieżyłem drogę dojazdową. Śnieg był drobny, ale pokrywa na tyle gruba, że prowadzenie pługa prosto kosztowało sporo wysiłku. Zobaczyłem Vinniego z łopata w ręce. Dopiero zaczął odrzucać śnieg. Czekало go sporo pracy, jeśli zamierzał oczyścić cały podjazd. † Zatrzymałem się i opuściłem szybę.

- Cofnij się! - krzyknąłem.

Bez słowa pracował dalej. Zdjął kurtkę i powiesił ją na skrzynce na listy. Musiał się solidnie spocić.

- Vinnie, zejdź z drogi, żebym mógł odsnieżyć twój cholerny podjazd.

Żadnej reakcji. Nawet na mnie nie spojrzął.

- Vinnie, daj spokój.

Nadal odrzucał śnieg.

Długo mu się przyglądałem w ciszy przerywanej tylko skrobaniem łopaty o podłoże. Łopata była za krótka. Kilka godzin pracy i Vinnie się nie odegnie.

- Dobra - powiedziałem wreszcie. - Do diabła z tobą.

Ruszyłem, odsnieżając do końca drogi. W większości chat paliły się światła, właściciele skuterów albo kładli się spać, albo nabierali sił do jeszcze jednego przejazdu. Oczyszciliem swój podjazd i wysiadłem. Natychmiast stanąłem jak wryty.

Drzwi były otwarte.

Czekałem, nasłuchując odgłosów ze środka. W oddali zawył skuter śnieżny, ale zaraz umilkł. Znowu zapadła cisza.

Chrzęszcząc po śniegu, podszedłem i delikatnie pchnąłem drzwi. Miałem broń, ale leżała ukryta w pudełku po butach na dnie garderoby.

W głębi chaty zobaczyłem światło - lampka na nocnym stoliku. Przekrzywiony abażur oblewał wnętrze niesamowitą poświatą. Strużka dymu unosiła się z miejsca, gdzie żarówka przypalała plastik.

Przekroczyłem próg i się rozejrzałem. Patrzyłem na ruinę, która kiedyś była moim domem. Obszedłem całą chatę. Słyszałem wyłącznie swój oddech i mocne bicie serca. W kuchni

każda szuflada została wyciągnięta i przewrócona do góry nogami. Lodówka otwarta. Mleko, jajka, inne produkty – wszystko na podłodze, zmieszane z zawartością szuflad. Poduchy z sofy wyrwano i pocięto. Z łóżka wywleczono materac. Też pocięty. Odór topiącego się plastiku wyrwał mnie z transu. Zdjąłem abażur i nałożyłem prosto. Wszedłem do łazienki. Zawartość szafki z lekarstwami pływała w ubikacji. Zastłonka prysznicza została zerwana i rozdarta na pół.

Garderoba znajdowała się po drugiej stronie łazienki, zaraz obok drzwi wejściowych. Wszedłem do środka i zacząłem grzebać w stercie rozrzuconych na podłodze ubrań. Na dnie znalazłem otwarte pudełko po butach. Broń była, ale z pustym cylindrem. Włożyłem kule do magazynka. To jakoś poprawiło mi nastrój.

Spojrzałem na drzwi. Framuga była popękana. Ktoś dostał się do środka, wyważając drzwi kopniakiem. Wiedziałem, że te drzwi nie są dobre. Zawsze twierdziłem, że tu, w lesie, na odludziu, jeśli ktoś będzie chciał się włamać, zrobi to, choćbym nie wiem jak się zabezpieczył. I miałem rację.

- Bruckman – powiedziałem na głos. On to zrobił. Ale dlaczego nie zabrał broni? Raz jeszcze obszedłem chatę i wszystkiemu dokładnie się przyjrzałem. Niczego nie brakowało. Chyba że...

Szukał czegoś, czego nie mógł tu znaleźć. Sięgnąłem do kieszeni kurtki. Przypomniałem sobie o krążku hokejowym. Uniosłem go do lampy z abażurem, by w przytłumionym świetle odczytać napis. „Gordie Howe. Numer 9”.

Czy krążek z autografem mógł aż tak wiele dla niego znaczyć?

A może Bruckman włamał się, żeby zdemolować mi dom? Zemścić się za to, że próbowałem pomóc Dorothy?

Długo stałem, wpatrując się w krążek. Czuję, jak rośnie we mnie gniew. A wraz z nim pojawiła się niezdrowa fascynacja szaleństwem tego człowieka. Albo jego głupotą. Albo jednym i drugim. Teraz powinien być daleko stąd, tymczasem on postanawia zostać, żeby zając się moim domem.

Poza gniewem i fascynacją było coś jeszcze. Iskierka wyczekiwania, niemal zadowolenia. Ponieważ teraz wiedziałem na pewno, że Bruckman jest blisko. A zatem mam sporą szansę go odnaleźć.

Rozdział 9

KIEDY NASTĘPNEGO DNIA RANO SIĘ OBUDZIŁEM, zobaczyłem nad sobą łóżko. Przez moment nie wiedziałem, gdzie jestem. Potem wszystko sobie przypomniałem.

Moja chata. Nie wyobrażałem sobie, żeby jeden człowiek dokonał takich zniszczeń. Pewnie wziął ze sobą całą drużynę hokejową.

Wieczorem zadzwoniłem do biura szeryfa. Była sobota, więc Billa nie zastałem. Zastępca chciał kogoś wysłać na oględziny, ale powiedziałem, żeby nie zawracał sobie tym głowy. Nie ma sensu wysłać jakiegoś nieboraka, żeby popatrzył i stwierdził: „No tak, ktoś faktycznie za panem nie przepada”. Zostawiłem wiadomość dla Billa i życzyłem rozmówcy dobrej nocy.

Zabrałem się do sprzątnięcia. Z bałaganu wybrałem sztucce i niepotłuczone talerze. Wszystko inne zamiotłem w stos. Z pościętymi poduchami nic nie mogłem zrobić. Pozbierałem strzępy tapicerki i wszystko wrzuciłem do worków na śmieci. Kiedy z grubsza zatarłem ślady napaści, usiłowałem się przespać. Ale nie potrafiłem wygodnie ułożyć się na materacu. Wsiadłem do ciężarówki i pojechałem do stojącej za zakrętem drugiej chaty, tej samej, w której spała Dorothy.

Śnieg wreszcie przestał padać, ale wiatr ciągle wiał. Niski, nieustający lament brzmiał jak wycie wilka. Spróbowałem odkręcić wodę. Nic. Pamiętałem, że tamtej nocy radziłem Dorothy, żeby zostawiła cieniutki strumyczek, dzięki czemu rury nie zamarzną. Najwidoczniej tego nie zrobiła. A teraz rury zamarzły na amen. Nie czułem się na siłach, żeby zrobić coś z tym od razu, więc wczółgałem się pod koldrę. Słuchając wiatru, myślałem, że to jest to samo łóżko, w którym spała Dorothy. Zakładałem, że zdążyła się przespać, zanim pojawił się Bruckman.

Czy naprawdę mu otworzyła? Na pewno. W przeciwnym razie wywaliłby drzwi, tak jak moje. Otworzyła, a on ją złapał i wywiózł. Jeśli kiedykolwiek ją zobaczę, to będzie pierwsze pytanie, jakie jej zadam. Dlaczego otworzyła mu drzwi?

ZWLOKŁEM SIĘ Z ŁÓŻKA. Ogień w piecu zgasł i było tak zimno, że widziałem własny oddech. Włożyłem buty i kurtkę. Gdy tylko wyszedłem na dwór, wiatr sparaliżował mi twarz. Kolejny cudowny dzień w Raju.

Odpaliłem ciężarówkę i włączyłem grzejnik. Byłem taki zesztywniały, że rozpadłbym się na kawałki, gdyby upuścić mnie na ziemię.

W nocy nie padało, ale wiatr nawiał zasy na drogę. Odśnieżyłem cały dojazd. Kiedy mijalem dom Vinniego, nic zauważyłem samochodu. Pewnie uparty Indianin pojechał do kasyna na pierwszą zmianę przy blackjacku. Wiatr prawie całkiem zniszczył jego wczorajszą ciężką pracę. Odśnieżyłem podjazd, żeby go wkurzyć.

Wróciłem do siebie. Drzwi znowu były otwarte, dzwonił telefon. Wyjąłem broń z kieszeni kurtki i ostrożnie zajrzałem do środka. Wyglądało na to, że bałagan jest taki sam jak poprzedniego dnia. A drzwi, z zepsutym zamkiem, pewnie otworzył wiatr. Podłogę do połowy pokoju pokrywał śnieg. Jak tak dalej pójdzie, równie dobrze mogę na zimę oddać chatę niedźwiedziom.

Znów zadzwonił telefon. Podniosłem słuchawkę.

- Alex, to ty? - usłyszałem głos Leona Prudella. - Wydzwaniam cały ranek. Wszystko w porządku?

- Jasne, po prostu cudownie.

- Jestem teraz w mieszkaniu Lonniego Bruckmana - poinformował Leon. - Rozmawiam z gospodynią.

- Jaja sobie robisz. Jak go znalazłeś?

- Opowiem ci, jak przyjedziesz. Musisz to zobaczyć. - Podał adres w dzielnicy we wschodniej części Sault Ste. Marie, całkiem

blisko lodowiska i baru, w którym spotkałem Bruckmana po meczu.

- Już jadę.

- Czekam, partnerze.

Nie zaprotestowałem. Uznałem, że zasłużył na miano partnera, przynajmniej na razie.

Przed wyjazdem zadzwoniłem jeszcze raz do biura szeryfa i poprosiłem do telefonu Billa, ale kobieta, która odebrała, powiedziała, że go nie ma. Zostawiłem numer do chaty i na komórkę, żeby Bill zadzwonił, jak tylko będzie mógł. Wyszedłem na mróz. Bez gorącego prysznica, bez śniadania. Pomyślałem, że wpadnę do Glasgow Inn. Wypiję kawę, wezmę coś na drogę.

Kiedy wszedłem do pubu, Jackie siedział przed kominkiem i rozcierał dłonie.

- Będzie padał śnieg - stwierdził, kiedy mnie zobaczył.

- Twoje proroctwa powalają - mruknąłem. - Niesamowite, śnieg na Upper Peninsula w styczniu. Ta kawa jest świeża?

- Chodziło mi o to, że będzie mocno padało. Bardzo mocno. Tak, oczywiście, jest świeża.

Nalałem kawy do kubka.

- Czyli, jak mocno? Masz drożdżówki albo coś takiego? Bardzo się śpieszę. - Zajrzałem za bar.

- Mocno to znaczy metry zamiast centymetrów. Sprawdź w kuchni.

Wszedłem do kuchni i wziąłem dwa duńskie serniki. W powietrzu unosił się aromat, jakby Jackie przed chwilą zrobił swój słynny omlet. Żołądek boleśnie mi się ścisnął, ale nie mogłem czekać. Musiałem pojechać do Soo obejrzeć dom. Nie wiedziałem, co dobrego z tego przyjdzie, ale przynajmniej coś robiłem.

- Dziękuję, Jackie - powiedziałem od progu. - Później wrócę na omlet.

- Nie, to ja dziękuję panu - odparł, zanim zamknąłem za sobą drzwi. - Żyję, żeby ci służyć.

W pogodny dzień pojechałbym Lakeshore Drive wzdłuż zatoki

do Six Mile Road. Ale hulał wiatr, więc uznałem, że lepiej trzymać się głównych dróg. Tuż po wyjeździe z Raju zauważyłem za sobą samochód. Na M-28 wciąż za mną był. Średniej wielkości sedan. Z przodu siedziało dwóch mężczyzn.

Dla czystej przyjemności zatrzymałem się przed małym sklepikiem w Strongs i poszedłem kupić gazetę. Nie widziałem auta na parkingu, ale kiedy wróciłem na drogę, znów się pojawiło.

No, no, pomyślałem. Może jednak to nie jest wytwór mojej wyobraźni. Ktoś naprawdę mnie śledzi. Ale kto? Bruckman? Z jednym ze swoich palantów? Co za wygoda. Ja go szukam po całej okolicy, a on jeździ za mną.

Przez kilka kilometrów solidnie deptałem gaz, żeby się przekonać, czy tamten nie zrezygnuje. Nie zrezygnował, jechał w stałej odległości około czterystu metrów. Zwolniłem do pięćdziesięciu na godzinę. Jeśli mnie nie śledzi, musi się zbliżyć. Nie zbliżył się. Zachowywał dystans, na tyle mały, by dokładnie obserwować moje poczynania, na tyle duży, że nie widziałem ich reakcji we wstecznym lusterku.

Drugi postój zrobiłem w Raco, wszedłem do sklepiku i spojrzałem przez okno. Samochód zjechał z drogi. Stałem i rozważałem, co dalej robić.

- Mogę w czymś pomóc? - zapytał sprzedawca, starszy dżentelmen z miłą twarzą.

- Och nie, dziękuję. Czekam na przyjaciół.

- Mówią, że dzisiaj będzie padało.

- Tak słyszałem. - Wyszedłem ze sklepu. Jestem pewien, że sprzedawca kręcił głową, odprowadzając mnie wzrokiem.

Dobra, chłopaki, mruknąłem pod nosem, wsiadając do ciężarówki. Spróbujemy inaczej.

Wróciłem na M-28, oni za mną. Rozglądałem się za boczną drogą z dną warstwą śniegu. Zaraz kończył się park narodowy Hiawatha, za którym była otwarta przestrzeń, więc musiałem znaleźć coś na długości kilku kilometrów.

Po lewej zobaczyłem drogę prowadzącą przez sosnowy zagaj-

nik na północ do Brimley. To może się udać, pomyślałem. Skreśliłem i wpadłem w śnieg. Koła buksowały przez chwilę, która mnie wydawała się nieskończonością. Wreszcie opony zyskały przyczepność i znowu jechałem tak szybko, jak się dało. Szukałem miejsca, gdzie mógłbym ukryć ciężarówkę i poczekać na tamtych.

Minąłem kilka ścieżek, ale były za długie. Wjechałem w zakręt i o mało nie przegapiłem kolejnej polany. Bardzo dobrej. Naciśnąłem hamulec. Kiedy ciężarówka wreszcie stanęła, wycofałem się. Idealnie, pomyślałem, jeśli uda mi się wjechać na polanę, zanim mnie dogonią. Pośpiesz się, cholera jasna. Ostrożnie, ostrożnie...

Zatrzymałem ciężarówkę mniej więcej dwadzieścia metrów od drogi, za rzędem drzew okrytych ciężką pokrywą śniegu. Przez gałęzie mogłem zobaczyć, jak nadjeżdżają, a dystans między nami wystarczał, żebym zdążył wyjechać im przed maskę. Ktokolwiek jest w tym samochodzie, za kilka sekund dokładnie mu się przyjrzę.

Wzięłem głęboki wdech. Poklepałem kieszeń kurtki, gdzie miałem broń. Nigdy nie wiadomo. Jeśli w samochodzie jest Bruckman, może będzie potrzebna.

Serce biło mi szybko. Odpręż się, Alex, oddychaj wolno.

Czekałem. Lada chwila się pojawią.

Żadnego śladu samochodu. Pewnie nie mogą przyspieszyć. Na drodze leży mnóstwo śniegu. Cierpliwości.

Czekałem.

Na próżno.

Gdzie oni są? Już tu powinni być.

Jeszcze chwila, Alex. Daj im trochę czasu.

Cholera jasna. Przejrzeni moją taktykę. Nie połkną haczyka.

Minęła kolejna minuta. W końcu wrzuciłem pierwszy bieg. Świetna robota, Alex. Teraz wiedzą, że ich zauważyłeś.

Pojechałem z powrotem do głównej drogi, przeklinając siebie, Bruckmana, śnieg i wszystko, co przyszło mi na myśl.

A potem ich zobaczyłem.

Samochód stał bokiem. Jeden z mężczyzn usiłował wypchnąć auto z zasy sięgającej do pasa.

Utknęli. Cholera jasna, zakopali się w śniegu. Teraz ich dorwę. Pojadę prosto na nich, spokojnie i wolno, zobaczymy, co zrobią.

Kiedy się do nich zbliżyłem, od razu zauważyłem, że ani jeden, ani drugi to nie Bruckman. Potem w oczy rzuciły mi się ich myśliwskie czapki. Nie rozpoznałem faceta wypychającego samochód. Drugiego, tego za kierownicą, nie widziałem wyraźnie. Ale przecież nie przyglądałem się hokeistom w barze, więc nie mogłem mieć pewności, czy to niejeden z nich.

Zahamowałem obok mężczyzn i opuściłem szybę.

Ten, co pchał, kłął cicho pod nosem. Drugi kręcił kierownicą. Nawet na mnie nie spojrzeli.

Siedziałem i w milczeniu przyglądałem się facetom. Wokół tylko śnieg i sosny. Nigdzie w pobliżu zabudowań. Z nieba zaczęły leniwe padać płatki. Jeśli to śnieżyca, o której wszyscy mówili, przy tym tempie niebo sporo będzie musiało się napracować.

Wreszcie mężczyzna koło samochodu popatrzył na mnie czujnie i pomachał. Twarz miał purpurową z wysiłku.

- Wszystko w porządku - mruknął. - Damy sobie radę. Ale dzięki.

Nie ruszyłem z miejsca. Nadal ich obserwowałem.

- Na litość boską, musimy go rozkołysać! - krzyknął do kolegi za kierownicą. - Do przodu, do tyłu, do przodu, do tyłu. No, dalej! - Jakoś nie mogli wejść w ten sam rytm. Facet znowu na mnie machnął. - Sami sobie poradzimy. Niech pan jedzie. - Nie patrzył mi w oczy.

- Chyba jednak przydałaby się wam pomoc.

- Nie, dzięki, naprawdę.

- Tak nigdy się nie wygrzebicie. Zostaniecie tu do wiosny.

- Jest dobrze. Czuję, że zaraz nam się uda. Niech się pan wycofa! Stoi nam pan na drodze!

- Nie, wpadliście na dobre - odparłem. - Będę musiał was wyciągnąć. - Otworzyłem drzwi i wysiadłem z ciężarówki.

- Nie, proszę! Nie musi pan tego robić! - Kierowca kręcił

głową i walił pięściami w kierownicę.

Z tyłu ciężarówki wyciągnąłem ciężki łańcuch. Trzymałem go lewą dłonią, w prawej zostawiłem tyle, żeby w razie czego wybić komuś zęby. Broń miałem w prawej kieszeni.

- To potrwa sekundę. Macie szczęście, chłopcy, że się napa-toczyłem.

- Tak, rzeczywiście.

- Niech mi pan pomoże - powiedziałem. - Trzeba sprawdzić, czy łańcuch da się przymocować do waszego auta.

Mężczyzna chwilę się wahał; zerknął na kierowcę.

- Jasne - mruknął wreszcie. Wygramolił się ze śniegu i pod-szedł do mnie. Teraz mogłem porządnie mu się przyjrzeć. Za-kołysałem końcówką łańcucha. Gdyby próbował jakiejś brzydkiej sztuczki, byłem gotowy.

Popatrzyłem na niego z bliska. Na odległość mógł się wydawać miękki, ale zdradzały go oczy. Choć miał na sobie idiotyczną jaskrawoczerwoną czapkę z powiewającymi nausznikami, wi-działem wyraźnie, że to twardziel.

- Niech pan sprawdzi, czy to się da zaczepić - poleciłem. - Nie bardzo mogę kucać. Porobiły mi się zakwasy po meczu ho-kejowym.

Wręczyłem mu łańcuch i zrobiłem krok w tył. Prawą dłoń włożyłem do kieszeni. Mężczyzna spojrzał na łańcuch, jakby nic podobnego w życiu nie widział, potem zajrzał pod samochód.

- Gdzieś tutaj? - zapytał.

Nie, geniuszu, wetknę ci ten łańcuch do dupy.

- Tak - rzuciłem. - Niech pan zobaczy, czy da się zaczepić o podwozie. Gra pan w hokeja?

- Nigdy nie grałem - odpowiedział spod samochodu.

Kilka razy powtórzyłem w pamięci numer rejestracyjny z Mi-chigan. Ford taurus, ciemnozielony. Spojrzałem na kierowcę. Siedział nieruchomo jak woskowa figura i patrzył przed siebie. Wciąż nie mogłem dobrze mu się przyjrzeć.

- Niech pan wysiądzie! - zawołałem. - Lepiej, żeby pana nie było w środku, jak zacznę ciągnąć.

Prawdę mówiąc, lepiej, żeby wtedy był w środku i kierował autem, ale cóż... warto spróbować. Kierowca posłuchał.

- Witam, jestem Alex - powiedziałem. Prawą dłoń zaciskałem kurczowo na broni. Nie chciałem uścisnąć mu ręki, więc specjalnie zadygotałem i dodałem: - Boże, ale zimno.

- Fakt - mruknął. Mimo okularów i wąsów, które zakrywały mu połowę twarzy, wyglądał na takiego samego twardziela jak kolega. Dla odmiany miał niebieską czapkę z podwiniętymi nausz-
nikami.

Dokładnie ich sobie obejrzałem, ale żadnego nie rozpoznałem. Nie sądziłem, że należą do drużyny. Nie wydawali się też ludźmi, którzy kumplują się z typami pokroju Bruckmana. Ale, do diabła, po co mnie śledzą?

Rozejrzałem się. Teraz mógłbym wziąć ich na muszkę. Face-towi pod samochodem zabronić się ruszać, wycelować w drugiego i uprzejmie poprosić, żeby wszystko mi wyjaśnili.

Zdecydowałem, że jednak tego nie zrobię. Znałem numer rejestracyjny samochodu, potrafiłem obu opisać. Odszukam ich w razie potrzeby.

- Nigdy was nie widziałem w tej okolicy - zagadnąłem. - Jesteście przejazdem?

Kierowca spojrział najpierw na mnie, potem na kolegę:

- Zahaczyłeś ten łańcuch? - spytał.

- Chyba tak.

- Mhm, jesteśmy przejazdem - wymamrotał kierowca. - Do-bra, zobaczymy, czy się uda.

Drugi koniec łańcucha zaczepiłem na haku z tyłu ciężarówki. Wolno ruszyłem. Łańcuch napiął się i samochód zaczął wytaczać się z zasy. Przez ułamek sekundy czułem pokusę, żeby nadepnąć na gaz i pociągnąć forda przez kilka kilometrów. Ciekawe, czyby mnie gonili. W wyścigu postawiłbym na gościa w niebieskiej czapce.

- Nie było tak źle - stwierdziłem, wysiadając z szoferki.

Ford właściwie jeszcze się nie zatrzymał, a facet w czerwonej czapce już leżał na ziemi i odczepiał łańcuch. Podał mi go i

powiedział:

- Musimy się zbierać.
- Dzięki - dorzucił kolega.

Wskoczyli do auta i odjechali, obsypując mnie śniegiem.

Odprowadzałem ich wzrokiem. Ford wpadł w poważny poślizg i o mało znowu nie zagrzebał się w zaspie. Facet nie ma pojęcia, jak jeździć po śniegu, pomyślałem. I tak szybko się zwinęli... Prawie w ogóle nie docenili mojej pomocy.

Rozdział 10

POJECHAŁEM DO SOO, zastanawiając się, czy we wstecznym lusterku znów zobaczę swoich nowych przyjaciół. Śnieg zgęstniał, wielkie białe płatki kleiły się do przedniej szyby i zasłaniały widok na drogę.

Po raz kolejny zadzwoniłem do biura szeryfa. Billa wciąż nie było i nie chcieli mi podać jego domowego numeru. Jak zwykle, zostawiłem wiadomość z prośbą, żeby jak najszybciej się ze mną skontaktował. Nie zamierzałem wyjaśniać zastępcy, że przez całe hrabstwo Chippewa jechali za mną dwaj mężczyźni. Chciałem, żeby Bill siedział naprzeciwko mnie przy biurku albo jeszcze lepiej przy stoliku w barze, słuchał i notował.

Kierowałem się do wschodniej części miasta, ku lodowisku, gdzie cała ta afera się zaczęła. Leon podał mi adres koło Spruce Street, blisko dawnej fabryki Union Carbide. Na mapie opisano okolicę jako „teren zanieczyszczony”. Latem jest tam wielkie pole zarośnięte chwastami i sumakami, z którym nikt nic nie robi. Zimą obszar pokrywa kilkudziesięciocentymetrowa warstwa śniegu, więc człowiek nawet o nim nie myśli. Domy są małe, z płachtami plastiku na oknach zabezpieczającymi przed wiatrem od rzeki.

Małe czerwone auto Leona Prudella stało na podjeździe. Zwały śniegu po obu stronach sięgały na wysokość samochodu, więc omal go nie przegapiłem. Miejsca zostało tyle, że moja ciężarówka ledwo się za nim mieściła. Musiałem przeciskać się koło śnieżnego muru, żeby dojść do drzwi. Na dzwonek odpowiedziała starsza kobieta w grubych okularach i ze szczerym uśmiechem. Od wielu dni nie widziałem takiego na czyjejs twarzy. Nie rozumiałem, dlaczego tak się uśmiecha w środku zimy, ale od razu ją za to pokochałem. Miała na sobie ciepły sweter,

wjednej dłoni trzymała filiżankę kawy, drugą otworzyła przede mną drzwi. W głębi zauważyłem Leona – siedział na sofie z filiżanką z tego samego kompletu.

- Domyślam się, że pan McKnight – powiedziała.

- Tak. Pani Hudson, prawda?

- Pan Prudell i ja urządziliśmy sobie małe przyjęcie, czekając na pana. Napije się pan kawy?

- Przepraszam za spóźnienie. Prawdę mówiąc, gorąca kawa bardzo dobrze by mi zrobiła.

- Pan Prudell i ja częstowaliśmy się szarlotką. Ukroić panu kawałek?

- Musisz spróbować tego ciasta – odezwał się Leon.

Dopiero teraz dostrzegłem, że cały przód koszuli ma zasypyany okruszkami.

- Bardzo chętnie spróbuję – oznajmiłem. - O ile nie sprawi to kłopotu.

- Proszę usiąść, zaraz wracam – odparła pani Hudson.

Rozejrzałem się po pokoju. Wszędzie pełno czarno-białych fotografii dzieci i kolorowych zdjęć z całą pewnością przedstawiających wnuki. Pomieszczenie było małe, ale przytulne i dobrze utrzymane.

- Dlaczego tak długo to trwało? – zapytał.

- Musiałem pomóc chłopakom, którzy zagrzebali się w śniegu-

- Teraz zrobię ci odprawę – oznajmił Leon.

- Odprawę?

- Tak, zapoznam z informacjami, które dzisiaj zebrałem.

- Może po prostu mi powiesz, co się dzieje? – zaproponowałem. -A w ogóle, gdzie mieszkał Bruckman? Na piętrze?

- Nie, nad garażem jest wielkie mieszkanie. Wynajmował je od około sześciu tygodni.

- Jak trafiłeś na adres?

Prudell nachylił się i zerknął za róg na panią Hudson w kuchni.

- Musiałem sypnąć paroma franklinami, Alex, ale się opłaciło.

- Franklinami? To znaczy pięćdziesiątkami?

- Nie, setkami. Na pięćdziesiątce jest Grant.

- Leon, co ty wygadujesz? Komu zapłaciłeś, żeby dowiedzieć się, gdzie mieszka Bruckman?

- Hokeistom, Alex. W Big Bear Arena. Mówiłeś, że grałeś przeciwko jego drużynie w czwartek, tak? No więc tam zacząłem. Najpierw poszedłem do biura. Powiedziałem, że chcę znaleźć Bruckmana, a wiem, że grał mecz w czwartek wieczorem. Nic mi to nie dało, więc wykombinowałem, że pokręcę się między hokeistami.

- Rozmawiałeś z hokeistami?

- Właśnie, poszedłem do szatni. Przywitałem się, zapytałem, jak leci. Zachowywałem się, jakbym grał w następnym meczu.

- Leon, bez urazy, ale nie wyglądasz na hokeistę.

- Skłamałem, że jestem bramkarzem. No bo tam stawiają gości, który nie umie jeździć na łyżwach, no nie? Tak samo w bej-sbolu, na pozycję łapacza dają najgorszego.

W myślach policzyłem do trzech.

- Dobra - odezwałem się po chwili. - No więc w końcu znalazłeś kogoś, kto zna Bruckmana?

- Zgadza się. - Leon znów zerknął do kuchni. - Wspomniałeś, że ten cały Bruckman może być wplątany w prochy, dobrze pamiętam?

- Tak.

- No, to nie była tajemnica dla hokeistów, z którymi rozmawiałam. Dość szybko się zorientowałem, jak poprowadzić grę. Wyjaśniłem, że go szukam, bo chcę kupić narkotyki.

Usiłowałem wyobrazić sobie Leona Prudella w szatni, udającego bramkarza, który chce kupić kokę. Nie całkiem mi się udało.

- Ile czasu ci to zabrało? - spytałem.

- Kilka meczów. Siedem albo osiem. Bardzo się ociągali z podaniem tego adresu. Chyba myśleli, że gdybym naprawdę wcześniej kupował od niego prochy, wiedziałbym, gdzie mieszka. Wtedy do gry weszły frankliny. Potrafią być bardzo przekonujące.

- Ile dokładnie ich wydałeś?

- Cztery albo pięć. Paru zasunęło mi fałszywe informacje. Musiałem sprawdzić adres i wrócić. Ostatecznie jeden nie skłamał. Prawdziwy ćpun, który grał mecz o północy.

- Proszę bardzo. - Pani Hudson wróciła do pokoju. Postawiła przede mną talerzyk z kawałkiem szarlotki i filiżankę kawy. - Śmietanka i cukier są koło pana Prudella.

- Serdecznie dziękuję - powiedziałem. - Rozumiem, że niejaki Lonnie Bruckman wynajmował u pani mieszkanie.

- O tak. - Spojrzała na dłonie, które trzymała splecione na kolanach. - Jak już mówiłam panu Prudellowi, to niestety nie było przyjemne doświadczenie, zwłaszcza w ostatnich dniach. Na początku wydawał się sympatyczny, ale potem zaczęli przychodzić różni ludzie. Zawsze głośno grała muzyka i warczały skutery śnieżne, na których jeździł z przyjaciółmi. Nie znoszę tych maszyn.

Kobieta bliska mojemu sercu.

- To najlepsza szarlotka, jaką w życiu jadłem - pochwaliłem. Idealne połączenie jabłek, cynamonu i chrupiącej posypki. Poczuję się cudownie, choć tylko na chwilę.

- Och, bardzo dziękuję - odparła. - Trzeba wiedzieć, jak przechować zimą odpowiednie jabłka.

- Ale wróćmy do sprawy... Przychodzili różni ludzie. Czy mieszkała z nim kobieta?

- Tak, ale nie wiem, jak się nazywała. Nie widywałam jej często, a kiedy już się spotykałyśmy... sama nie wiem. Było w niej coś dziwnego. Zawsze wydawała mi się bardzo smutna i samotna. Nawet w towarzystwie innych.

- W piątek w nocy zjawiła się tu policja - wtrącił Leon. - I w sobotę rano.

- W piątek w nocy? O której? - zapytałem.

- Zadzwoiłam na komisariat około drugiej w nocy - wyjaśniła pani Hudson. - Usłyszałam okropne hałasy. Postawiły na nogi całą okolicę. Trzask rozbijanych o ścianę przedmiotów, pękające szkło, jakby ktoś demolował mieszkanie.

- Około drugiej - powtórzyłem. - Tej samej nocy co... Dobrze,

bardzo proszę mówić dalej. Czy to Bruckman tak rozrabiał?

- Nie wiem. Bałam się wtrącać.

- Co się stało, kiedy przyjechała policja?

- Poszli tam i się rozejrzeli. Nikogo nie zastali. Mieszkanie było zupełnie zdemolowane. Jak pomyślę, ile czasu Joe poświęcił na wykończenie...

- To pani mąż?

- Tak. Odszedł... wielkie nieba, minęło już siedem lat.

- I policja wróciła w sobotę rano?

- Tak. Pytali o młodą kobietę, która z nim była.

To miało sens. Zdemolował mieszkanie w piątek w nocy, kiedy się zorientował, że Dorothy odeszła. Policjanci przyjechali następnego dnia, bo już wiedzieli o jej porwaniu.

- Mogę zobaczyć to mieszkanie, pani Hudson?

- Oczywiście, dlaczego nie - odparła. - Tylko włożę płaszcz. Pada śnieg?

- Tak.

- Wszyscy moi znajomi myślą, że zwariowałam. Są teraz na Florydzie.

- A co tam takiego jest? - prychnął Leon, także wkładając okrycie. - Poza słońcem i drzewami pomarańczowymi.

- Oraz starymi ludźmi czekającymi na śmierć - dodała pani Hudson. - Już wolę mieszkać tutaj, gdzie człowiek musi się ruszać.

Poprowadziła nas przez tylne drzwi na ścieżkę, gdzie śnieg sięgał do kostek. Garaż na trzy samochody był większy niż dom. Zewnętrzne schody prowadziły do mieszkania na piętrze.

- Ostrożnie - ostrzegła pani Hudson. - Nie miałam czasu zwalić śniegu.

Chciałem ją przytrzymać, pomóc wspiąć się na górę, ale ruszyła po zasypanych stopniach, zanim zdążyłem wyciągnąć rękę. Na górze pchnęła drzwi. Tak jak u mnie z framugi zostały drzazgi.

- To się stało w piątek? - zapytałem.

- Tak. Wygląda, jakby ktoś kopniakiem otworzył drzwi.

- Ale jeśli to Bruckman...

- Nie wiem. Może nie miał klucza, bo oddał dziewczynie.

- Może. - Zajrzałem do środka. - Znajomy widok, stwierdziłem. Zdemolowane mieszkanie. Zawartość kuchennych szuflad i szafek na podłodze, pocięte meble. Ale była jedna różnica. Doliczyłem się trzech złamanych kijów hokejowych.

- Policjanci zabronili tu na razie sprzątać - powiedziała pani Hudson. - Prosimy też, żebym nikogo nie wpuszczala.

- Rozumiem, chciałem tylko rzucić okiem - odparłem.

Leon stał koło mnie w progu i wodził uważnym spojrzeniem, jakby uczył się tego widoku na pamięć.

- Ten bałagan mnie dobija - jęknęła gospodyni. - Gdyby Joe to zobaczył...

- Mieszkanie jest bardzo ładne - oceniłem.

- A wie pan, co jest zabawne? Ze przy tych wszystkich imprezach, jakie urządzali, nigdy wcześniej nie panował tu bałagan. Zaglądnęłam kilka razy, kiedy wiedziałam, że ich nie ma. Chciałam się upewnić, że wszystko w porządku...

- Tak?

- Przysięgam na Boga, panie McKnight, było czyściuteńko.

Wszędzie. W kuchni, w łazience. Nieskazitelny porządek. Ciągle hałasowali, przychodziło mnóstwo ludzi, ale... Niech pan mówi o nich, co chce, jedno jest pewne: dbali o porządek. A teraz to. Dziwne, prawda?

- Dziwne - przyznałem. - Chociaż przypuszczam, że coś go nakręciło...

Pokręciła głową.

- Zupełnie nie rozumiem ludzi - powiedziała.

- Pani Hudson, nie wiem, jak pani dziękować...

- Mam nadzieję, że złapią tego człowieka. - Długą chwilę patrzyła mi w oczy. - Ale wy szukacie dziewczyny.

- Tak.

- Więc mam nadzieję, że ją znajdziecie. Jak wspominałam, nie pasowała do tych ludzi...

Obaj podziękowaliśmy kilka razy za pomoc, kawę, szarlotkę.

Odprowadziliśmy gospodynię do domu, potem ja poszedłem z Leonem do jego samochodu. Wyjąłem portfel.

- Ile wydałeś na lodowisku?

- Daj spokój, Alex. Jesteśmy partnerami. To koszty śledztwa.

- Leon, nie ma żadnego śledztwa. - Śnieg znowu zgęstniał. W ciągu tych kilku minut, które spędziliśmy na dworze, całkiem przykrył rude włosy Leona. - I nie jesteśmy partnerami. Przykro mi, stary. Mówiłem ci, już się nie bawię w prywatnego detektywa.

- Ale zachowujesz się jak prywatny detektyw.

- Nie, ty się tak zachowujesz. Ty znalazłeś adres.

- Niewiele to pomogło, co? Potrzebujesz czegoś więcej.

- Sam nie wiem. Nie mam pojęcia, co dalej robić.

- Dlaczego powiedziałeś, że widok jest znajomy?

- Mój dom też został zdemolowany. Wczoraj w ciągu dnia.

- Wczoraj? Ale Bruckman porwał Dorothy w piątek w nocy.

Dlaczego miałby wracać?

- Żeby podkreślić swoje racje. Albo szukał krążka hokejowego. Nie wiem.

- Krążka?

- Z autografem Gordiego Howe'a. Dała mi go Dorothy.

- Okej - mruknął w zamyśleniu Leon. - Szukał swojego szczęśliwego krążka. Super. Co jeszcze? Powiedz mi wszystko, co wiesz, Alex.

- Nie ma nic więcej. Poza tym, że... - Odetchnąłem głęboko, zastanawiając się, ile chcę mu wyjawić.

- Poza czym, Alex?

- Śledzili mnie dwaj faceci.

- Aha! To jest coś. - Leon usiłował zachować obojętność, ale w jego głosie słyszałem podniecenie. - Przyjrzałeś się im?

- Tak. Żadnego nie znam. Nie wydaje mi się, żeby grali w drużynie Bruckmana.

- Interesujące - stwierdził. - Co dalej?

- Zapłacę ci i wrócisz do domu, zanim śnieg całkiem nas przysypie.

- Nie wezmę od ciebie pieniędzy, Alex.

- Ależ weźmiesz.

- Chcę z tobą pracować przy tej sprawie. Co mam robić? Wrócić i sprzedawać skutery śnieżne? Rozmawiać z kolesiami z Detroit i udawać, że obchodzi mnie, po jakich głównianych szlakach lubiajeździć?

- Leon...

- To jedyna rzecz, o jakiej marzę - powiedział. - Pozwól mi sobie pomóc.

- Jeśli przyjdzie mi coś do głowy, zadzwonię do ciebie. Okej? Zastanawiał się chwilę.

- Dobra. Bądźmy w kontakcie. Masz mój numer, tak?

- Tak. - Ruszyłem do ciężarówki.

- I numer pagera?

- Jasne.

- Dzwoni o każdej porze. W dzień i w nocy.

- Dobra. - Wsiadłem do kabiny i zamknąłem drzwi. Jeśli coś jeszcze mówił, nie usłyszałem.

Włączyłem silnik i strzepnąłem śnieg z włosów. Czekając, aż ogrzewanie zacznie działać, po raz kolejny zadzwoniłem do biura szeryfa. I znowu nic. Tym razem nie prosiłem o przekazanie wiadomości; uznałem, że skoro jestem w mieście, pójdę do biura i zostawię mu informację.

Wyjechałem z podjazdu i ruszyłem na zachód, w kierunku gmachu policji. Nie widziałem, żeby ktoś mnie śledził, ale padał bardzo gęsty śnieg. Pewnie nawet nie daliby rady jechać w tej zamieci. Sam byłem idiotą, rozbijając się po drogach, ale czy to nowina?

Pokonanie pięciu kilometrów przez miasto zajęło mi dobrych dwadzieścia minut. Zaparkowałem przed budynkiem sąsiadującym z biurem szeryfa. Mały spacerniak przy więzieniu przykrywała wysoka do pasa zaspą śniegu. Zaraz za progiem zatrzymał mnie zastępca.

- Nie powinien pan wyjeżdżać - oznajmił. - Mamy stan klęski żywiołowej.

- Muszę zostawić wiadomość dla szeryfa - odparłem. Poprosiłem o papier i długopis. Napisałem wszystko, co miałem mu do powiedzenia. „Wczoraj zdemolowano mój dom. Mieszkanie Bruckmana także zostało zdemolowane. Tak, znam jego adres. Śledzą mnie dwaj mężczyźni. Oto numer rejestracyjny ich samochodu. Bardzo proszę, sprawdź go i zadzwoń do mnie jak najszybciej. Masz u mnie kilka piw. Dziękuję. Alex”.

Włożyłem kartkę do koperty i wepchnąłem szparą pod drzwiami do biura Billa.

- Proszę mu powiedzieć, że jest dla niego pilna wiadomość - zwróciłem się do zastępcy.

- Chyba nie pojedzie pan w tym śniegu?

- Ciężarówką jakoś dam radę.

Kiedy wychodziłem, policjant kręcił głową. Wsiadłem i już miałem ruszać, ale ktoś zapukał w szybę. Odwróciłem się i zobaczyłem twarz Mavena oddaloną o kilka centymetrów od mojej. Fatalny weekend stawał się coraz gorszy.

- McKnight! - wrzasnął szef. - Do diabła, pogięło cię?

Uchyliłem szybę.

- Maven. Co za cudowna niespodzianka.

- Jest stan kłęski żywiołowej! - ryknął. - Masz trzymać dupę z dala od dróg.

- Doceniam twoją troskę, ale nie zamierzam tu nocować. Więc wybaczysz...

- Jeśli wjedziesz na ulicę, złamiesz prawo - oznajmił.

- Aha. Mam tu zostać, żeby być blisko ciebie, szefie. O to chodzi?

Maven pokręcił głową i popatrzył w niebo. Kiedy znowu spojrzął na mnie, uśmiechał się. Przerazający widok.

- Okej, McKnight. Jedź. Nie będę cię zatrzymywał.

Zawahałem się. To pułapka, pomyślałem. Wyjadę na ulicę, a on natychmiast mnie zatrzyma i wlepi mandat.

- Jedź - powtórzył Maven. - Wracaj do domu i ulep sobie bałwana.

- Dobra. - Miałem nadzieję, że to nie prowokacja.

- Miłego dnia. Jedź ostrożnie.

- Jasne.

Wrzuciłem bieg i nadepnałem na gaz. Szef cofnął się, choć nie na tyle szybko, by uniknąć śniegu sypiącego się spod kół. W połowie przecznicy spojrzałem w tył i zobaczyłem, jak się otrzepuje. Potem do mnie pomachał. Masz halucynacje, powiedziałem sobie. Śnieg w końcu doprowadził cię do szaleństwa.

Wróciłem na drogę 75. Pługi przegrały z żywiołem, ale jakoś dałem radę przejechać. Na M-28 warunki okazały się jeszcze gorsze; ledwo się toczyłem, nie przekraczałem trzydziestu kilometrów na godzinę. Czekala mnie długa, ciężka jazda, a byłem zmęczony, głodny i spragniony. Chciałem pójść do Glasgow Inn; wyobrażałem sobie kanapkę ze stekiem i grillowanymi cebulami oraz zimne kanadyjskie piwo przed kominkiem. Po półtorej godziny skręciłem do Raju. Brnąłem przez miasto. Tylko czasami widywałem skutery śnieżne. Wszyscy poza mną byli na tyle mądrzy, żeby zostać w domu.

Wreszcie po prawej zobaczyłem Glasgow Inn. Już miałem zaparkować, ale do głowy przyszła mi nieprzyjemna myśl. Warstwa śniegu rosła błyskawicznie i jeśli wieczorem kilka razy nie przejadę pługiem po swojej drodze dojazdowej, do rana nasypie tyle, że nic nie da się zrobić. Będę musiał czekać na koparki, żeby uwolniły mnie i lokatorów pozostałych chat. A niech to diabli; chyba najpierw muszę zająć się drogą, dopiero potem pomyśleć o przyjemności.

Z głównej drogi zjechałem na dojazdową, opuszczając pług. Było trudno, ale dzięki obciążeniu na pace ciężarówki udało mi się dotrzeć do ostatniej chaty. Zawróciłem. Pomyślałem, że powinienem odsnieżyć podjazd Vinniego. Czy stał tamtego samochód? Nie zauważyłem. Własnym podjazdem też trzeba się zająć.

Zwolniłem koło swojej chaty. Był środek dnia, ale słońce zakrywały chmury i mocno padało. Światło, choć stłumione, jaskrawo podświetlało każdy płatek. Jak zahipnotyzowany popatrzyłem na to zjawisko.

Dopiero po chwili zauważyłem, że drzwi chaty znowu są otwarte.

- A to co ma znaczyć? - powiedziałem na głos. Zostawiłem włączony silnik, snopy świateł z reflektorów padały na drzewa. Znowu ten wiatr. Ciekawe, ile tym razem nasypało się do środka.

Kiedy przekroczyłem próg, coś uderzyło mnie w żołądek, pozbawiając tchu. Padłem na kolana. Następny cios trafił w bok głowy. Poleciałem na podłogę z surowego drewna. Próbowałem sięgnąć do kieszeni po broń, bez skutku. Ktoś złapał mnie za ręce i postawił na nogi. Dostałem kilka razy pięścią w żebra, kolana się pode mną ugięły, ale napastnicy nie pozwolili mi upaść. Nic nie widziałem. W pokoju panowała ciemność. Po chwili odzyskałem wzrok i zobaczyłem, że jestem w towarzystwie pięciu mężczyzn. Dwaj trzymali mnie pod pachy, dwaj stali za mną. A przede mną... Znałem tę twarz.

Poczułem jego dłoń na gardle.

- Gadaj - rozkazał.

Próbowałem nabrać powietrza. Milczałem.

Wyciągnął broń. Przycisnął mi lufę do czoła. Na skórze poczułem zimną stal.

- Nie słyszysz? Gadaj, co jej zrobiłeś.

Wrócił mi głos.

- Cholera, o czym ty mówisz, Bruckman?

Lufa mocniej wbiła się w czoło.

- Przyszła tutaj, a potem zniknęła - odparł. - Co jej zrobiłeś?

Nie miałem pojęcia, co powiedzieć.

- Policzę do trzech, a potem odstrzelę ci czubek głowy. - Zbliżył twarz do mojej na tyle, że dostrzegłem w jego oczach błysk szaleństwa. - Gdzie Dorothy?

Rozdział 11

NIE PODOBAŁO MI SIĘ TO, JAK BRUCKMAN TRZYMA BROŃ. I nie chodził o wyłącznie o fakt, że celował w moją głowę. Bałem się, że zastrzeli mnie przypadkiem, tak mu się trzęsa ręka. Od meczu minęły trzy dni. Cokolwiek wpakował sobie wtedy do krwi, teraz miał tego w organizmie dwa razy tyle. Cały wręcz wibrował.

- Odlóż broń - powiedziałem.
- Gadaj.
- Jak odłożysz broń.
- Masz trzy sekundy. Mów. Gdzie ona jest?
- Nie wiem.

Przerzucił broń do lewej dłoni, a prawą uderzył mnie w twarz. To był bardziej policzek niż cios, choć wystarczył, żebym w ustach poczuł krew.

- Gdzie ona jest?
- Dlaczego pytasz? Przecież ją porwałeś.

Powtórzył manewr z bronią i znowu mnie zdzielił. Byłby o wiele skuteczniejszy, gdyby po prostu walnął pistoletem, ale nie zamierzałem mu tego sugerować.

- Przysięgam na Boga, Bruckman, myślałem, że ty ją porwałeś. Szukałem cię.

Głęboko odetchnąłem; drżałem z zimna, z powodu narkotyków albo w grę wchodziło i jedno, i drugie. Spojrzał na facetów stojących po obu moich stronach. Mocniej złapali mnie za ręce. Nie miałem pojęcia, co robi tych dwóch z tyłu. Pewnie przygotowywali się do skopania mi dupy.

- Była tutaj - warknął wreszcie Bruckman. - I coś ze sobą przyniosła. Gdzie to jest?
- Nie wiem, o czym mówisz.

Tym razem mnie nie uderzył. Zaciśnął obie dłonie na broni, wycelował mi między oczy i powtórzył:

- Gdzie?

- Jak twoi kumple mnie puszcza, to ci dam - odparłem.

Myślałem o broni w prawej kieszeni kurtki.

- Gadaj, gdzie to jest.

- Ja ci to dam.

- Powiedz.

- W tej kieszeni. - Głową wskazałem na lewo. Błagam, nie sprawdzajcie z drugiej strony, pomyślałem.

Facet po lewej wsadził mi rękę do kieszeni i wyjął krążek do hokeja.

- Co to, kurwa, jest? - parsknął Bruckman.

- Twój krążek - odparłem.

- Mój krążek - powtórzył. Wpatrywał się, jakby widział go po raz pierwszy.

- O to ci chodzi, prawda?

- Jaja sobie robisz? Myślisz, że przyjechałem aż tutaj po pie-przony krążek?

- Z podpisem Gordiego Howe'a. Wiedziałem, że ci na nim zależy, dlatego go schowałem. A teraz, skoro sprawa załatwiona, może przyniosę dla wszystkich piwo?

Zapadło milczenie, dłoń Bruckmana lekko drgnęła. Ciszę rozdarł huk, a ja znowu byłem w tamtym mieszkaniu w Detroit i leżałem na ziemi obok partnera.

Krew.

W uszach dzwonił mi wystrzał.

Umieram; partner też, bo nie zdążyłem wyciągnąć broni.

Nie. Nie krwawię. Jestem w chacie. Bruckman wystrzelił nad moją głowę, kula utkwiała w drewnianej ścianie. Puścili mnie. Broń. W prawej kieszeni.

Przez chwilę długą jak wieczność szukałem kieszeni, wreszcie znalazłem. Poczulem zimny ciężar spluwy. Wyjmij i strzelaj. Po kolei do każdego sukinsyna, zaczynając od Bruckmana.

Próbowałem wyjąć broń. Ktoś położył mi na ramieniu jedną,

potem drugą dłoń. Wykręcili mi rękę do tyłu, ścięgną napięty się tak bardzo, jakby zaraz miały pęknąć. Metal głucho uderzył w drewnianą podłogę.

Tuż przy uchu usłyszałem głos Bruckmana:

- Zaraz cię załatwię, McKnight. Przysięgam, zabiję. - Huknął mnie w żebra, w to samo miejsce, co przedtem. Znowu zabrakło mi tchu. Myślałem, że tym razem już go nie odzyskam.

- Uważaj, ktoś nas usłyszy - ostrzegł jeden ze stojących z tyłu koleśi. - Pomyślałeś o tym?

- Joe, jesteśmy na cholernym odludziu - odparł Bruckman, nie odrywając ode mnie wzroku.

Oddychaj, cholera. Dlaczego nie mogę oddychać?

- Tu są inne chaty - stwierdził facet imieniem Joe. - Zadzwoń na policję.

- Policja nie jest naszym największym problemem - odezwał się drugi za moimi plecami. - Popatrzcie, jak ten dom wygląda.

- Kto ci zrobił taką demolkę? - zapytał Bruckman.

Oddychaj. Wciąż nie dawałem rady.

- Kto to zrobił?

Podniosłem dłonie, walcząc o powietrze. Wreszcie się udało. Oddech pojawił się, jakby przyszedł z dna oceanu.

- Ty - wydusiłem.

Bruckman złapał mnie za włosy i przytknął mi lufę do brody.

- Strasznie mnie wkurzasz. Teraz uważnie posłuchaj. Będę mówił wolno i wyraźnie, żebyś wszystko dobrze zrozumiał.

Jego twarz oddalona była od mojej o niecałe dwadzieścia centymetrów. W oddechu miał mdlącą słodkość, gorszą od odoru, którym cuchnie ktoś, kto upił się ginem.

- Przyszła tutaj w piątek wieczorem - powiedział. - Znalazła cię w barze. Mam rację?

Milczałem. Dźgnął mnie lufą w szyję. Przełknąłem z trudem:

- Tak, była w barze.

- Wyszliście razem. Pojechała twoją gównianą ciężarówką bez szyby.

Potaknąłem.

- Przed wyjazdem zrobiła ci loda na parkingu...

Patrzyłem mu prosto w oczy.

- Potem przyjechaliście do twojej chaty. Jesteś stary, więc pewnie zmęczyła cię w pięć minut, co?

- Lonnie - jęknął mężczyzna po mojej lewej. - Daj spokój.

- Zamknij się, Stan - warknął wreszcie Bruckman. Do mnie rzucił: - Ile razy ją bzyknałeś, McKnight? Chcę wiedzieć.

- Nie tknąłem Dorothy - odpowiedziałem.

- Wiem, że większość bramkarzy to cioty, ale jakoś ci nie wierzę.

- Twoja sprawa.

- Dobra. Jesteś prawdziwym dżentelmenem. Teraz gadaj, gdzie torba.

- Jaka torba?

- Miała ze sobą białą torbę. Z jakiegoś materiału...

- Z płótna - uzupełnił facet po lewej.

Ten, który stał po mojej prawej ręce, dotąd nie odezwał się ani słowem. Jego jedyny wkład w całą akcję polegał na tym, że o mało nie oderwał mi ręki i zmusił mnie do wypuszczenia broni. Czy spluwa wciąż leży na podłodze? Nigdzie jej nie widziałem.

- Z płótna - powiedział Bruckman. - Dzięki. Torba była zrobiona z pieprzonego płótna.

Próbowałem sobie przypomnieć. Tak, Dorothy miała torbę. Białą, rzeczywiście chyba płócienną. Nie pozwoliła mi jej nieść.

- Mówię prawdę - zapewniłem. Nie miałem powodu kłamać. Chociaż wiedziałem, że to mu się nie spodoba. - Następnego dnia rano Dorothy zniknęła. Torba też. Myślałem, że tyją porwał. Dlatego cię szukałem.

- Łiesz. Pieprzysz głupoty.

- Rozejrzyj się dokoła, Lonnie - odezwał się jeden z kolesi.

- Ciekawe, kto to zrobił.

- Zamknij się, Stan! Możesz na moment się nie odzywać?

- Po chwili mruknął: - Gdyby to byli oni i znaleźli tu torbę, ten sukinsyn już by nie żył.

- Coś tu poważnie nie gra, Lonnie. To wszystko jest bez

sensu.

Bruckman oburącz chwycił mnie za kołnierz, przyciskając zimny metal lufy do mojego policzka.

- Nie wierzę - wycedził przez zęby. Wciąż patrzył mi w oczy, ale zachowywał się tak, jakby nie mówił do nikogo w szczególności. - Jasna cholera, nie wierzę, że to się dzieje naprawdę!

- Co robimy? - zapytał facet po lewej.

Lonnie ryknął zwierzęco i znowu walnął mnie kolbą w żebra. Pozostali jak na komendę zaczęli okładać mnie pięściami. A może jeden tym razem powstrzymał się od działania. Nie liczyłem.

Kiedy podnieśli mnie z podłogi, na lewe oko prawie w ogóle nie widziałem. W całym ciele czułem straszny ból. Żałowałem, że jestem przytomny.

- Daj mi ten sznur - usłyszałem czyjeś polecenie.

Już nie rozróżniałem głosów. Teraz to był jeden potwór z dziesięcioma rękami i nogami.

Czułem, jak wiążą mi nadgarstki tak mocno, że sznur przeciął skórę. Potem skrępowali nogi. Złapali mnie jak wielki wór soli i wynieśli na lodowate powietrze. Nad lewą brwią czułem piekący ból, krew kapała mi do oka.

Zostałem rzucony na śnieg. Twarz pokrył mi zimny biały puch. Widziałem wyłącznie biel.

Kroki. Coraz cichsze. Zostawili mnie, żebym tu umarł. Wiosną ktoś pewnie znajdzie moje szczątki, to, co zostanie po uczcie kojotów.

Cisza. Słyszałem tylko odległy szum wiatru. Na twarz wciąż padały mi świeże płatki śniegu.

Powietrze rozdarł ryk pięciu startujących skuterów śnieżnych. Metaliczne wycie silników na wysokich obrotach, głuchy szcęk wrzucanych biegów. Odjeżdżają, a ja zamarznię na śmierć.

Czuję nagłe szarpnięcie. Poruszam się. Ślizgam. Ktoś wlecze mnie za skuterem.

Wydobyłem się na powierzchnię śniegu. Sunąłem nogami do przodu między drzewa. Słyszałem głośny warkot skutera zmagającego

jącego się z zaspami. Potem znaleźliśmy się na szlaku, który przetarł nasz poprzednik. Sznur napiął się od nagłego przyspieszenia, niemal pękł. Czułem tylko prędkość i gładki dywan śniegu. Przesuwałem się po nim niemal bez oporu. Śnieg sypał mi się na twarz jak tysiące igiełek.

Nie wiem, jak długo byłem wleczony. Silniki umilkły. Słyszałem głosy, słowa bez znaczenia. Nie czułem twarzy ani dłoni. Próbowałem usiąść, rozejrzeć się. Przez śnieg oblepiający mi rzęsy widziałem tylko drzewa i jeszcze więcej śniegu. Wywożą mnie do lasu. Jadą szlakiem prowadzącym na zachód, z dala od miasta, w samo serce pustkowia. Nikt ich nie zobaczy.

Ale dlaczego tutaj się zatrzymali? Usiłowałem zebrać myśli i posłuchać ich rozmowy. Dwaj mężczyźni wrzeszczeli na siebie: Pieprz się! Nie, to ty się pieprz! Cholera, całkiem oszalałeś! Jedźmy!

Znowu ryknęły silniki. Tym razem jechali prosto na mnie. Chciałem zakryć głowę, ale na próżno. Ledwo mogłem się zgiąć. Skutery minęły mnie po obu stronach. Czułem, jak sznur napina się na moim ciele, wrzyna w szyję. Gwałtowne szarpnięcie. Nogi poleciały na boki, przekoziółkowałem. Uderzyłem w ziemię twarzą. Z nosa poleciała mi ciepła krew.

Wloką mnie z powrotem, pomyślałem. Do mojej chaty. Muszę zachować przytomność, myśleć. Może ktoś mnie zobaczy. Ktoś ze szlaku. To jedyna szansa.

Staralem się rozglądać, nie zamykać oczu przed śnieżną kuzawą. Wokoło widziałem tylko biel.

Dopóki nie pojawiło się drzewo.

Zobaczyłem je na ułamek sekundy przed zderzeniem. Usiłowałem się odchylić, ale trafiło mnie w żebra, dokładnie tam, gdzie wcześniej bił Bruckman. Zabrakło mi tchu, ból przemknął błyskawicą od prawego ramienia do palców u stopy.

To już koniec.

Zatrzymaliśmy się. Znowu leżałem poza szlakiem w głębokim śniegu. Zapadłem się, walcząc o oddech.

Oddychaj, cholera. Oddychaj.

Nade mną zamajaczyła twarz Bruckmana. Nachylił się.

- Powiesz mi wreszcie, gdzie to jest?

Oddech. Oddychaj.

- Zabiję cię - powiedział. - Tu i teraz.

Jeden oddech. Proszę.

- Gdzie to jest?! - wrzasnął wściekle. - Mów, kurwa, gdzie to jest!

- On nie wie - odezwał się głos za nim. - Nie widzisz? Jesteś aż tak głupi?

Twarz Bruckmana zniknęła. Widziałem gałęzie, chmury i płatki śniegu. Tysiąc kilometrów dalej słyszałem głosy stapiające się w jeden.

- Co z tobą nie tak?... Pokażę ci, co ze mną nie tak... Co zrobimy? Będziemy go wlec za sobą całą drogę?... Tak, właśnie tak... Zaciągniemy aż do rzeki... Żebyś wiedział... Cholera, ciebie już całkiem popieprzyło... Tak się nafaszerowałeś prochami, że nie potrafisz rozsądnie myśleć... Zejdź mi z drogi... Jasne, Kapitanie Popaprańcu. Ja stąd spadam.

Jeden skuter zaczął się oddalać. Potem drugi. Czekałem na szarpnięcie. Próbowałem napiąć ciało. Nic z tego. Byłem martwym tobołkiem.

Ruch. Na początku wolny, tak jak przedtem. Kiedy wjeździemy na szlak, kierowca znowu przycisnie gaz. Dłużej tego nie wytrzymam.

Nie wytrzymam.

Nie. Muszę walczyć. Jeszcze jedna próba.

Podniosłem głowę. Otworzyłem oczy. Od strony drzewa nagły ruch. Coś z boku uderzyło kierowcę. Leży na ziemi. Skuter się zatrzymał. Patrzę na to jak na obraz ze snu. Skuter bez kierowcy.

Mężczyzna. Z nożem. Bardzo dużym. Przecina sznur. Nie ma na głowie kasku jak tamci. Znam tego człowieka. Widziałem go w snach.

Drugi facet. Jego też znam. Był w tym samym śnie. Walczy z kierowcą, który na głowie wciąż ma kask. Szarpią się na śniegu.

Wszystko to dzieje się w zwolnionym tempie.

We śnie eksploduje strzał.

- Nie zastrzel mnie, idioto!

Już gdzieś słyszałem ten głos.

Kolejne strzały. Ktoś na mnie upada. Już nie czuję ciepłego odrętwienia. Znowu jest mi zimno. Ból staje się nie do zniesienia.

Wycie skuterów śnieżnych cichło, aż zmieniło się w odgłos oddechu przy moim uchu.

- Nie martw się, Alex - szepnął Vinnie. - Odjechali.

Stoczył się ze mnie, usiadł. Po mojej drugiej stronie klęczał Leon.

- Pomoc w drodze - powiedział Vinnie.

- Nic ci nie będzie, partnerze - dodał Leon.

Usiłowałem wydobyć z siebie głos. Wreszcie mogłem płytko odetchnąć. Raz i drugi.

- Ja... - Tylko tyle udało mi się wykrztusić.

- Spokojnie - mruknął Vinnie. - Nic nie mów.

- Odpręż się - poradził Leon. - Lada chwila się zjawia.

- Ja... - Nabrałem tyle powietrza w płuca, ile tylko zdołałem, przelknąłem i znowu spróbowałem. - Ja... nienawidzę...

Obaj patrzyli na mnie uważnie. Śnieg nadal sypał.

- Nienawidzę... - Resztkami sił wreszcie dokończyłem zdanie:

- ... skuterów śnieżnych. - Po tych słowach straciłem przytomność.

Rozdział 12

KIEDY OTWORZYŁEM OCZY, zobaczyłem białe płytki na suficie i jarzeniówki, które świeciły tysiąc razy za mocno. Później pojawili się obcy ludzie w maskach. Robili coś z moim bokiem. Jakby lekko szturchali mnie w żebra. Znowu ciemność. Tępy ból w całym ciele, potem kołysanie, jakbym leżał w łódce na środku jeziora Superior w pogodny dzień.

Przez moment widziałem Leona, później Vinniego.

Zasnąłem. Kiedy się obudziłem, w pokoju nikogo nie było. Spojrzałem na drzwi, miały okienko - każdy z korytarza mógł zajrzeć do mojej sali. Teraz stał tam jakiś człowiek i mnie obserwował. Miał na głowie niebieską myśliwską czapkę z nausznikami. Chciałem coś powiedzieć, ale nie dałem rady.

Znowu zasnąłem. Spałem godzinę, dzień albo rok. Obudziłem się i po raz pierwszy, odkąd tu byłem, poczułem, że jestem naprawdę przytomny. Ból przybrał na sile. Bardzo.

Bolała mnie głowa, zwłaszcza nad lewym okiem. Bolały usta. Nogi. Ale najbardziej prawy bok. Poza bólem było coś jeszcze. Ale co...? Przesunąłem lewą ręką po ciele. Natrafiłem na plastikową rurkę. Wychodziła ze mnie i biegła do maszyny stojącej obok łóżka. Boże, co to takiego? Pomacałem rurkę. Płaska. To...

Powietrze.

Maszyna pompowała mi powietrze.

Nie mogę oddychać. Dlatego podłączono mnie do maszyny. Jestem sparaliżowany? Nie, to niemożliwe. Poruszam ręką. A co z resztą?

Przesunąłem nogi. Próbowałem usiąść. Ostry ból przeszył mi żebra.

- Zły pomysł - ocenił ktoś.

- Kto tu jest? - zapytałem.

- Doktor Glenn. - Wysoki brodaty mężczyzna z przenikliwym spojrzeniem stanął obok łóżka i podniósł pościel, żeby obejrzeć mój prawy bok. - A pan na razie nie powinien się ruszać. - Odmierzał słowa, jakby też były lekarstwem.

- Co mi się stało? Gdzie jestem?

- Jest pan w War Memorial Hospital w Sault Ste. Marie. Przywieziono pana do nas wczoraj po południu.

- Dlaczego mnie podłączyliście do respiratora?

- Proszę się nie bać. Trzeba trochę wspomóc pracę pańskich płuc.

- Płuc...

- Ma pan dwa złamane żebra i drobne pęknięcie w płucu. Zapadło się w piętnastu procentach. Wszelkie urazy powyżej dziesięciu procent są dość poważne, dlatego wykorzystujemy aparaturę. W górną część prawego płuca wprowadzono balon. Przez kilka dni musi być nadmuchiwany, żeby żebra spokojnie się zrastały.

- Cudownie.

- Doznał pan też lekkiego wstrząśnienia mózgu - ciągnął lekarz. - Rana nad lewym okiem wymagała założenia piętnastu szwów.

Dotknąłem opatrunku. Lekarz podniósł zdjęcie rentgenowskie do lampy w suficie.

- Zdawał pan sobie sprawę, że ma kulę w piersiach?

- Znalazł pan kulę... A ja jej wszędzie szukałem.

Spojrzał na mnie i po raz pierwszy się uśmiechnął. Zniknął surowy ton lekarza.

- Poważnie. Co się stało?

- Pyta pan o kulę czy o całą resztę?

- Niech pan zacznie od pocisku.

- To było czternaście lat temu. Dostałem trzy kule w klatkę piersiową. Lekarze jedną zostawili.

Pokiwał głową i znowu spojrzał na zdjęcie.

- Śródpiersie dolne - stwierdził. - Za duże ryzyko, żeby

próbować ją wyjąć.

- Tak mi powiedzieli.

- Z całą pewnością poinformowali też, że zawsze będzie istnieć niebezpieczeństwo przesunięcia się pocisku w pobliże rdzenia kręgowego. Dlatego musi pan co roku robić prześwietlenie, żeby sprawdzić położenie kulki.

- Uch... Nie pamiętam, żeby coś takiego mówili.

- Akurat, do diabła. - Patrzył na mnie i czekał, aż się przyznam. Kiedy milczałem, po raz trzeci przyjrzał się zdjęciu. - Nigdy dotąd nie widziałem tego na własne oczy. W tej okolicy ofiary postrzałów z broni palnej to wyłącznie myśliwi. Nie używają takich małych pocisków. Co to jest, dwudziestkadwójka?

- Tak. Uzi.

- Musi pan prowadzić interesujące życie. A wracając do sprawy...

- Jakiej sprawy?

- Przez którą trafił pan do szpitala z zapadniętym płucem i całą masą sińców...

- Jeździłem na sankach. Uderzyłem w drzewo.

Znowu się uśmiechnął.

- Na nadgarstkach i kostkach ma pan otarcia po sznurach. Zawsze przywiązuje się pan do sanek?

Spojrzałem na przeguby. Sznury zdarły skórę na szerokości dziesięciu centymetrów.

- Muszę porozmawiać z szeryfem, doktorze.

- Już nas odwiedził. Dam mu znać, żeby wrócił, skoro odzyskał pan przytomność. Oprócz niego byli też dwaj mężczyźni. Ci, którzy przyjechali z karetką.

- Vinnie i Leon. - Przypomniałem sobie twarz, którą widziałem w drzwiach. A przynajmniej tak mi się wydawało.

- Doktorze, czy na korytarzu kręcili się jacyś ludzie w myśliwskich czapkach?

- Z nausznikami? Nie wiem, pewnie nawet bym nie zwrócił uwagi. W tej okolicy mnóstwo ludzi takie nosi.

- Jak długo tu będę?

- Respirator odłączymy w najlepszym razie za dwa dni. Potem doba na obserwację. Codziennie rentgen, żeby sprawdzić stan żeber.

- Wspaniała nowina. Zawsze uwielbiałem szpitale.

Po wyjściu lekarza słuchałem mrużenia maszyny. Teraz, kiedy wiedziałem, co się dzieje, wyczuwałem w środku ten balon. Przez moment była to myśl nie do zniesienia i musiałem walczyć z pragnieniem wyrwania rurki z boku. Ale balon zostanie. Jeśli wyciągnę rurkę i powietrze wyleci z płuca, czy będę wirował po pokoju jak w kreskówkach?

Przyszła pielęgniarka i dała mi jakieś tabletki. Kiedy je połknąłem, ból w boku znowu zelżał i wybrałem się na następną przejażdżkę po chmurach. Gdy się obudziłem, na krześle przy łóżku zobaczyłem Leona.

- Hej, partnerze - powiedział.

- Która godzina? Jak długo spałem?

- Dochodzi piąta po południu. Jesteś tu od dwudziestu czterech godzin.

- Co się stało? - zapytałem. - Gdzie byłeś... Jak... Ostatnio widziałem cię przed domem pani Hudson. Wracłeś do domu.

- Powiedziałeś, że cię śledzili. No więc postanowiłem się tym zająć.

- Pojechałeś za mną do domu?

- Pojechałem za facetami, którzy jechali za tobą. - Leon wyjął notatnik. - Dżip grand cherokee, ciemnozielony...

- Poczekaj - przerwałem. - Ci, co mnie wcześniej śledzili, jechali zielonym taurusem.

- Dwóch białych, pod pięćdziesiątkę, w myśliwskich czapkach. ..

- Jeden miał czerwoną, drugi niebieską. To oni. Wyciągnąłem im samochód z zasy. Pewnie zmyślili i przesiedli się do auta z napędem na cztery koła.

Leon spojrzał na mnie.

- Pomogłeś tym facetom.

- Tak, bo się zagrzebali.
- I dokładnie się im przyjrzałeś. To mi się podoba, partnerze.
- Leon... - Nie miałem sił się z nim spierać. - Co dalej się stało? Co robili faceci w dziuple?
- Śledziłem ich aż do Raju. Zaparkowali przed jednym z motelików na zachodnim krańcu miasta, Brass Anchor. Znasz?
- Tak, kilka razy spotkałem właściciela. Oni tam mieszkają?
- Może. To dobry punkt obserwacyjny. Muszą tylko czekać, aż pojawisz się na drodze, i wsiąść ci na ogon.
- I co dalej?
- Weszli do motelu, więc pojechałem do ciebie. Uznałem, że ta informacja cię zainteresuje. Ciężarówka stała przed domem, drzwi otwarte, ale ciebie nie było. Zauważyłem na śniegu pełno odcisków stóp i ślady skuterów śnieżnych. To nie wyglądało dobrze. Chciałem zadzwonić z komórki do szeryfa, ale mi się nie udało. Kredy zwykle telefony padają, sieć komórkowa jest ciągle zajęta. W każdym razie wyszedłem na drogę i zobaczyłem, że pan LeBlanc parkuje przed swoim domem. Znowu zadzwoniłem do szeryfa, tym razem miałem szczęście. Potem obaj z Vinniem wróciliśmy pod twoją chatę. Wtedy też usłyszeliśmy skutery. Ciągnęli cię po szlaku. Vinnie złapał jakiś drag, ja wyjąłem rewolwer. Nadał mam pozwolenie na noszenie broni. To znaczy z czasów, kiedy myślałem, że jestem prawdziwym prywatnym detektywem. - Spuścił wzrok na swoje dłonie.
- Jesteś - powiedziałem. - Uratowałeś mi życie.
- Spanikowałem, Alex. Vinnie zwałił tego faceta ze skutera, a ja tylko stałem i patrzyłem. Pozostali wrócili. Nie miałem pojęcia, co robić. Wystrzeliłem w powietrze. Vinnie wrzasnął, żebym przypadkiem go nie zastrzelił. Znowu wypaliłem. Tamci zakręcili i odjechali. Celowałem w nich. W każdym razie w jednego, tego, co cię włókł za swoim skuterem. Mogłem go zastrzelić, ale tego nie zrobiłem.
- I słusznie. Co, strzeliłbyś mu w plecy?
- Próbowali cię zabić. Próbowali zabić mojego partnera, a ja pozwoliłem im odjechać.

- Leon, nie opowiadam tego wielu osobom, ale kiedy byłem policjantem w Detroit, razem z partnerem znaleźliśmy się... no cóż, w fatalnej sytuacji. Trafili nas obu. Ja przeżyłem, on nie. W myślach odtwarzałem ten dzień z milion razy i zawsze dochodziłem do wniosku, że jestem odpowiedzialny za jego śmierć. Gdybym wyciągnął broń, pewnie by nie zginął. Ale tego nie zrobiłem.

- Stąd masz kulę w piersiach?

- Tak. Różnica polega na tym, że zawiodłem i mój partner umarł. Ty nie zawiodłeś, ja żyję. Daj więc sobie spokój z tymi bredniami, że pozwoliłeś im odjechać, dobrze?

- Okej. Dzięki, że mi powiedziałeś.

- To pewnie przez te leki, którymi mnie nafaszerowali.

Obaj umilkliśmy. Ciszę przerywało jedynie mruczenie maszyny pompującej powietrze do mojego płuca.

- Byli tutaj - odezwałem się po chwili. - W każdym razie jeden z nich.

- Kto, facet, który cię śledził?

- Tak mi się wydaje, nie jestem pewny. Majaczyłem.

- Gdzie? Kiedy? - zapytał Leon.

- Stał na korytarzu. Myślę, że wczoraj w nocy.

Leon zerwał się z krzesła, jakby wierzył, że jeszcze go dogoni.

- Dranie. Kim oni są?

- Wiesz, gdzie się zatrzymali - powiedziałem. - Możesz ich sprawdzić.

Spojrzał na mnie i się uśmiechnął.

- Pamiętasz, Alex, jak mówiłem, że powinniśmy się nazwać „McKnight-Prudell”? Z twoim nazwiskiem jako pierwsze?

- No i co?

- Im więcej o tym myślę, tym bardziej mi się wydaje, że „Prudell-McKnight” brzmi lepiej. Co ty na to?

- Przeginasz, Leon.

Podniósł obie ręce.

- Pomyśl o tym, to wszystko. - Położył na stole papierową torbę. - Proszę, przyniosłem ci parę rzeczy.

- Jakie rzeczy?
 - Książki i czasopisma. O prywatnych detektywach. Żebyś dobrze wykorzystał ten czas.
 - Spadaj. Idź zająć się robotą.
 - Oczywiście. Leon Prudell na tropie.
- Odprowadzałem go wzrokiem, sto dwadzieścia kilogramów flaneli i ciężkich butów.
- Świecie, miej się na baczności.

DRYFOWAŁEM W KODEINOWEJ MGLE. Przez tę maszynę nie mogłem wstać, ba, nawet się przekręcić. Przychodziły pielęgniarki, żeby sprawdzić mój stan, dać mi leki albo opróżnić basen. To nie był wesoły dzień.

Z łóżka widziałem fragment okna. Znowu padał śnieg. Kiedy zrobiło się ciemno, próbowałem zasnąć, ale co godzina budził mnie nowy ból. Najpierw w szwach nad oknem, potem w prawym biodrze, wreszcie w prawym ramieniu. Ból w żebrach stanowił stałe tło.

Rano znowu przyszedł lekarz. Odłączył mnie od urządzenia, żeby zrobić prześwietlenie. Kiedy wróciłem, w sali czekał na mnie Bill Brandów.

- Jak się czujesz? - zapytał.
- Dobrze jak nigdy w życiu. Dostałeś mój list?
- Tak. Pracuję nad tym.
- Co masz? Podałem ci rysopis dwóch facetów, którzy mnie śledzili. Numer rejestracyjny. Chociaż chyba zmienili samochód. Na dzipa grand cherokee. Mogę ci nawet powiedzieć, gdzie się zatrzymali. W Brass Anchor w Raju. Leon ich śledził.

Bill usiadł koło łóżka.

- Leon Prudell? Ten pajac, który był detektywem Uttleya?
- Gdyby ten pajac wczoraj się nie pojawił, Bruckman nadal włókłby mnie na dupie za swoim skuterem śnieżnym.
- Jasne. - Bill westchnął głęboko. - Co wiesz o tym Bruckmanie? Zaczynij od początku.

- Początek znasz. Myślałem, że porwał Dorothy, ale teraz nie jestem tego pewien. Chciał, żebym ja mu powiedział, gdzie ona jest. Pytał też o torbę.

- Jaką torbę?

- Białą. Dorothy miała ją ze sobą.

- Nie wiesz, gdzie jest ta torba?

- Jasne, że nie - odparłem. - Bill, co jest grane? Szukasz Bruckmana? A co z tymi dwoma facetami? Sprawdziłeś rejestrację?

- Alex, mówiłem, że nad tym pracuję. Nad obiema sprawami. Nie będę ci opowiadał, co wiem, a czego nie.

Spojrzałem mu prosto w oczy.

- Zaczynasz mówić jak Maven - stwierdziłem z goryczą.

- Wielkie dzięki.

- Nie żartuję. Po co tu przyszedłeś?

- Chciałem, żebyś coś mi obiecał, Alex. Ze pozwolisz mi się tym zająć, dobra? Ty odpoczywaj i wracaj do zdrowia, ja będę robił, co do mnie należy, okej?

- Zadzwonisz, jak się dowiesz, kim są?

- Daj mi słowo, Alex.

- Dobra, dobra. Daję słowo.

Po jego wyjściu nie miałem nic do roboty poza leżeniem i rozmyślaniem. Wziąłem leki. Skorzystałem z basenu. Długo tego nie zniosę, pomyślałem. Cholera, całkiem zeświruję.

W porze kolacji przyszedł Vinnie. Akurat wtoczyli wózek z jakimś mięsem w jakimś sosie z jakimiś warzywami oraz zieloną galaretką na osobnym talerzu.

- Wygląda prawie na zjadliwe - powiedział.

- Poczęstuj się.

- Nie, dzięki. Zjadłem stek w Glasgow. Wiesz, z tym sosem z brandy...

- Jesteś okrutny.

- Odsnieżam drogę twoją ciężarówką. Zająłem się chatami, chociaż kilku lokatorów już wyjechało. Nie wiem, czy zapłacili z góry.

- Nigdy nie płacą z góry. Ale się tym nie przejmuj. Dzięki za pomoc.

- Nie ma sprawy. - Długą chwilę stał, wpatrując się w podłogę.

- Przepraszam, Alex.

- Za co?

- Za tę gadkę. Po wizycie u rodziców Dorothy.

- Eh, zapomnij o tym. Powinienem okazać większe zrozumienie.

Spojrzał na maszynę.

- To coś naprawdę pompuje w ciebie powietrze? A co się stanie, jak przekręcę ten wyłącznik? - Udał, że to robi.

Skrzywiłem się.

- Auu! Cholera, Vinnie, cieszę się, że wpadłeś.

- Miałem go, Alex. Miałem go. - Uniósł obie ręce, patrząc w przestrzeń między nimi.

- Kogo, Bruckmana?

- I nie puściłbym, ale Prudell zaczął strzelać. Bałem się, że trafi we mnie.

- Na pewno nie. Nie zapominaj, ma u ciebie wymagalność na dziesięć tysięcy. O ile się orientuję, straciłby kaucję, gdyby cię zabił.

- Kaucja - powtórzył, jakby żałował, że o tym wspomniałem.

- Kiedy rozprawa?

- W przyszłym tygodniu.

- Skoro teraz więcej wiedzą o Bruckmanie, będą musieli łagodniej cię potraktować.

- Nie wiem. Nie lubią, kiedy Indianin atakuje gliniarza, niezależnie, w jakich okolicznościach.

- Plemię będzie cię reprezentować?

- Tak. - Znów utkwiał wzrok w podłogę.

- Dorothy wciąż jest jedną z was?

- Nie rozumiem.

- Wciąż należy do plemienia, chociaż dawno temu wyjechała?

- Oczywiście.

- Więc co plemię robi w jej sprawie? Nie próbują jej szukać?

- Myślę, że próbują. Jedno mogę ci powiedzieć. Jeśli znowu

dorwę Bruckmana, żywy z moich rąk nie wyjdzie. Uduszę go, Alex. On jest zły. Widziałem to w jego oczach.

- Wiem, ja też to widziałem.

- No tak. - Vinnie sprawiał wrażenie, jakby zmusił się do powrotu z bardzo daleka. - Mam zmianę w kasynie. Cieszę się, że u ciebie wszystko w porządku... biorąc pod uwagę sytuację.

- Dziękuję, że wpadłeś. To bardzo wiele dla mnie znaczy. - Leki znowu mnie rozkleiły.

Kiedy wyszedł, próbowałem trochę czytać, ale w głowie zaczęło mi dudnić. Oglądanie telewizji jeszcze pogorszyło sprawę. Leżałem i myślałem o bejsbolu. Odtwarzałem w myślach mecze. Ile czasu minęło od ostatniego? Wrzesień 1972, rozgrywki ligi triple-A w Columbus. Pamiętałem dokładnie swoje ostatnie uderzenie, piłkę doskonale posłaną na lewe pole. Wpadła w rękawicę zapolowego, piętnaście metrów od bazy domowej. Cała moja kariera w skrócie. Wydawało się, że to było wieki temu, ale spojrziałem na ręce. Wciąż widziałem zgrubienia od wieloletniego grania, wszystkich tych szybkich piłek i fauli.

Na przegubach widniały nowe blizny. Sznur związali bardzo mocno. W myślach znowu tam byłem, sunąłem po śniegu. Serce mi waliło. Z trudem oddychałem. Czuję w piersiach balon, obce ciało w moim wnętrzu.

Spokojnie, Alex. Nie potrzebujesz takich emocji. Wyluzuj.

Położyłem głowę na poduszce, zmusiłem się do rozluźnienia mięśni, myślenia o niczym. Przypomniałem sobie, co kiedyś powiedział mi kolega z drużyny: tajemnica myślenia o niczym polega na tym, że pozwalasz myślom swobodnie przepływać przez twoją głowę. Od jednego ucha prosto do drugiego. Ale z drugiej strony, mówił to leworęczny miotacz, a wiadomo, leworęczni to świry.

Pielęgniarki zrobiły obchód. Sprzątaczkę woskował podłogę w korytarzu. Maszyna pompowała powietrze w płuco. Z dworu dobiegał świst wiatru.

Zasnąłem. Wreszcie przespałem dobrze całą noc. Rano przyszedł lekarz. Po prześwietleniu zapytał, czy chciałbym, żeby

usunął rurkę.

- To jakiś żart? - odparłem. - Niech pan natychmiast wyjmuję tę przeklętą rurkę.

Najpierw dał mi znieczulenie miejscowe, później wyciągnął rurkę z płaskim balonem na końcu, pokrytym tą substancją, która znajduje się w ludzkim płucu, cokolwiek to jest. Zszył rozcięcie w boku i kazał leżeć przez parę godzin. Potem przyjdzie i sprawdzi, czy zdołam wstać. Po jego wyjściu odczekałem minutę, nie dłużej, i spuściłem nogi na podłogę. Bardzo powoli wstałem. Uczucie było świetne, jak przy gwałtownych mdłościach. Zamierzałem powtórzyć to mniej więcej za godzinę.

Leon odwiedził mnie w porze lunchu.

- Gdzie twoja maszyna do oddychania?

- Latam solo.

- Świetnie, wskakuj w ciuchy. Zwijamy się stąd.

- Leon, piętnaście minut zabiera mi wstanie z łóżka i wyprawa do łazienki.

- O rany. No dobra. Ja nie próżnowałem. Twoi dwaj prześladowcy z całą pewnością mieszkają w motelu Brass Anchor. Wynajęli pokoje na końcu, z okna widać główną drogę. Skoro leżysz w szpitalu, nie mają za dużo roboty. Jeździli po rezerwacie.

- Jak to, śledziłeś ich przez cały ten czas?

- Z przerwami - odparł Leon. Rzeczywiście wyglądał na zmęczonego. - Nie dałem rady dyskretnie wypytać o nich w recepcji.

- Nie wiem, co jeszcze moglibyśmy zrobić. Chyba żeby znowu zadzwonić do Brandowa i zapytać, czy coś ma.

- Gliniarze nie podają piłek prywatnym detektywom. - Leon pokręcił głową. - Taka jest niepisana zasada.

- Leon, naprawdę powinieneś czasami siebie posłuchać. „Gliniarze nie podają piłek prywatnym detektywom”. Na litość boską. Mówimy o Billu Brandowie. Porządny z niego gość.

- Ale nie wtedy, kiedy ma przypiętą odznakę, Alex.

- Dobra, w porządku. Skoro tak twierdzisz.

- Wróćmy do sprawy z Bruckmanem...
 - On nie porwał Dorothy.
 - Jesteś pewien?
 - Im więcej o tym myślę, tym bardziej się do tej wersji przekonuję. Gdyby to zrobił Bruckman, cała reszta byłaby bez sensu.
 - No więc kto porwał kobietę?
 - Nie wiem. Może ci dwaj, którzy mnie śledzą?
 - Ale jeśli to oni, dlaczego depczą ci po piętach?
 - A boja wiem? Może mają Dorothy, ale zniknęła biała torba.
 - Związłem opowiedziałem o białej płócienną torbie, na której tak strasznie zależało Bruckmanowi.
 - Nieważne, kim ci faceci są i czego chcą - oznajmił Leon.
 - Musimy znaleźć Bruckmana. To nasze jedyne źródło informacji. Po drugie, chyba jesteśmy mu coś winni, no nie? Po tym, co ci zrobił?
 - Daj mi ze dwa dni, zanim każesz mi się nad tym zastanawiać, okej? Na razie jestem w stanie -wyłącznie wstać i się odlać.
 - Jak myślisz, gdzie on teraz jest?
 - Kto to wie, Leon? Może być wszędzie.
 - Zastanów się, Alex.
- Wróciłem do wydarzeń tamtego wieczoru, usiłując przypomnieć sobie, co mówił Bruckman. Albo jego kumple.
- Jeden z koleś nazwał go Kapitanem Popaprańcem - powiedziałem. - Niezłe.
 - Okej, więc ma bunt na pokładzie. Co jeszcze? Rozmyślałem.
 - Zaraz, zaraz. Piekielnie mnie stłukli. Pytali o Dorothy. I torbę. Potem wynieśli mnie na dwór, znowu ostro dostałem. Jakiś czas szorowałem tyłkiem po śniegu za skuterami. Zatrzymali się...
 - Tak?
 - Zaczęli się kłócić. Facet, który nazwał Bruckmana Kapitanem Popaprańcem, zapytał, czy będą mnie ciągnąć aż nad rzekę.
 - St. Marys. Są w Kanadzie.

- Tak - zgodziłem się.
- Ukrywają się tam. Coś musiało się wydarzyć.
- A wrócili tu tylko z jednego powodu - dodałem. - Zęby znaleźć białą torbę.
- Jak myślisz, co w niej jest? Prochy?
- Nie przychodzi mi na myśl nic innego. Chociaż jeśli to prawda... - Nie miałem ochoty dokończyć tego zdania.

Nie mogłem jednak uciec przed tą myślą. Leon wyszedł, a ja ostatnią noc w szpitalu przeleżałem bezsennie, raz po raz zadając sobie to samo pytanie.

Wiedziałem, że Dorothy ma kłopoty. Wplątała się w złe towarzystwo i przyszła do mnie, bo nie wiedziała, co dalej robić. Na pewno popełniła jakieś błędy, ale sądziłem, że była tylko ofiarą. I to właśnie dręczyło mnie całą noc. Kiedy porwano ją z mojej chaty, czułem się strasznie, dlatego zacząłem jej szukać. Jeśli jednak w torbie miała pełno speedu, koki czy Bóg wie czego, to jak to o niej świadczy?

I jak to świadczyło o mnie?

Rozdział 13

ZE SZPITALA WYSZEDŁEM W CZWARTEK RANO. Po trzech dobach odłączono mnie od maszyny, w czwartej upewniono się, że żebra zaczynają się zrastać. Lekarz zrobił mi jeszcze jedno prześwietlenie i zakazał się przemęczać; po powrocie do domu mam przez kilka dni spokojnie poleżeć. Wreszcie byłem wolny.

Wiatr czekał na mnie, gdy wyszedłem z budynku. Smagnał mnie w twarz lodowatym powietrzem, od którego oczy zaszyły mi łzami. W ciężarówce siedział Vinnie.

- Witaj - powiedział, kiedy ostrożnie wdrapałem się do środka.
- Jak się czujesz?

- Bardzo mi zimno. - Mimo włączonego ogrzewania, siedzenie było jak bryła lodu.

- Temperatura odczuwana przy wietrze wynosi dzisiaj minus czterdzieści - poinformował Vinnie, ruszając. - Proponuję skierować się na południe i jechać tak długo, aż zabraknie nam benzyny albo pieniędzy.

- Nigdzie nie jadę, dopóki nie zjem śniadania. Mam na myśli prawdziwe jedzenie.

- Jackie czeka na ciebie, ale najpierw podrzuć mnie do kasyna. Mój samochód nie chciał zapalić.

- Kiedyś wstawię tę szybę - mruknąłem pod nosem. Czułem się dziwnie, siedząc po stronie pasażera swojej ciężarówki. Zwłaszcza że przez plastik ze świstem dmuchał lodowaty wiatr.

- Rano widziałem tego twojego Leona. Wyglądał, jakby od trzech dni nic spał. Przyszedł do Jackicgo na kawę. Zobaczył mnie i od razu wyprowadził na dwór. Powiedział, że sprawdza tych dwóch facetów w motelu. Mam ci powtórzyć, że pracuje nad innymi, jak to ujął, indywidualiami, którzy są na wolności w Kanadzie.

- Niesamowity facet.
- Alex, nie sądzisz, że jest trochę dziwny?
- Jedź - odparłem. - Z głodu nie mogę rozmawiać.

Śnieg zawiewał na drogę, wirując w ciągle zmieniających się układach. Ten widok mnie hipnotyzował. Otuliłem się szczelnie kurtką i oparłem o siedzenie. Jakimś cudem mimo mroźnych podmuchów w ucho zapadłem w drzemkę. Kiedy otworzyłem oczy, wjeżdżaliśmy do rezerwatu Bay Mills. Choć był lodowaty czwartkowy poranek w środku stycznia, na parkingu przed kasynem prawie brakowało wolnych miejsc.

- Dzięki, że po mnie przyjechałeś - powiedziałem, kiedy Winnie otworzył drzwi.

- Uważaj na skutery - ostrzegł.

Przesunąłem się za kierownicę. Głowa zaczęła mnie boleć od wpatrywania się w drogę, ale myśl o omlecie Jackiego trzymała mnie przy życiu. Skręcając na główną drogę do Raju, rozejrzałem się za motelem Brass Anchor po lewej stronie. Zobaczyłem go zaraz za tablicą powitalną; prosty rząd drzwi, w sumie może osiem numerów, nie więcej. Na końcu najbliższym drogi ciemnozielony dżip.

Alex wrócił do miasta, chłopcy.

Lokal Jackiego świecił pustkami. Dochodziło południe, więc amatorzy skuterów śnieżnych wyruszyli już na szlaki. Choć w głowie mi się nie mieściło, jak mogą jeździć przy takiej pogodzie. Na samą myśl o tym czułem ból.

- Boże Wszchemogący. - Na mój widok Jackie załamał ręce. - Jesteś chyba najbrzydszą istotą, jaka kiedykolwiek przekroczyła ten próg.

- Ciebie też miło widzieć - rzuciłem. - Muszę zjeść omlet.
- Za późno na śniadanie. Kuchnia zamknięta.
- Jackie, mam złamane dwa żebra, ale zabiję cię gołymi rękami, jeśli natychmiast nie zawleciesz dupy do kuchni.
- Siadaj przy ogniu. Przypuszczam, że chcesz też gazetę i Krwawą Mary.
- Dobry z ciebie człowiek. Bóg cię za to wynagrodzi.

Idąc do kuchni, obrzucił mnie dziwnym spojrzeniem. Przynalę do krzesła blisko kominka i dorzuciłem do ognia polano. Usadawiłem się wygodnie i przysięgłem w duchu, że przez tydzień nie ruszę się z tego miejsca.

Jackie wrócił zjedzeniem. Długo stał nade mną i przyglądał mi się uważnie.

- Co jest? - zapytałem.

- Ty naprawdę wyzdrowiejesz? Wyglądasz gówniano.

- I tak się czuję. Ale nic mi nie będzie.

- Mam dla ciebie skrzynkę molsona. Tylko daj znać.

Znowu dziwnie na mnie spojrział i odszedł. Siedziałem sam i patrzyłem w ogień. Na dworze hulał wiatr. Godzinę później podniosłem leniwy tyłek i poszedłem do łazienki. Potem, skoro już wstałem, poczłapałem do okna i rozciągnąłem zasłony. Zobaczyłem skutery śnieżne jadące w kierunku motelu Brass Anchor. Wśród drzew dostrzegłem róg szyldu.

To szaleństwo, Alex. W motelu przyczało się na ciebie dwóch facetów. Tymczasem ty zaszyłeś się w barze i nie robisz nic. Tylko czekasz, aż ktoś inny dowie się, kim oni są i dlaczego cię obserwują.

Podszedłem do kontuaru i złapałem za telefon. Zadzwoiłem do biura szeryfa i poprosiłem o połączenie z Billem. Nie było go. Zostawiłem wiadomość, żeby się ze mną skontaktował w Glasgow Inn. Wróciłem na fotel przy kominku, ale po dwóch minutach znowu wstałem do telefonu.

Jaki był ten numer? Nie potrafiłem sobie przypomnieć. Zresztą teraz mogli go zmienić. Minęło ponad czternaście lat. Zadzwoiłem na informację w Detroit i zapytałem o numer mojego dawnego posterunku. Kiedy odebrała recepcjonistka, wymieniałem wszystkie nazwiska, które przychodziły mi do głowy: sierżanta, paru detektywów i funkcjonariuszy. Żaden z nich już tam nie pracował. Poprosiłem o połączenie z oficerem dyżurnym. Usiłowałem mu wytłumaczyć, że jestem byłym policjantem i muszę sprawdzić rejestrację. Nie kupił tego. Nie mogłem mieć do niego pretensji.

Okrzyłem sałę, wróciłem do okna i wyjrzałem na ulicę. Przypomniałem sobie nazwiska kilku kolegów z posterunku. Znowu zadzwoniłem i podałem je recepcjonistce. Nic. Wszyscy, z którymi pracowałem, odeszli. Zastanawiałem się, czy są jeszcze policjantami. Mój dawny partner już na pewno nie.

Jakiś czas potem w progu stanął Leon, wpuszczając do środka powiew lodowatego powietrza. Nigdy nie przypominał modela z „Gentelman’s Quarterly”, ale teraz wyglądał okropnie. Kędzierzawe rude włosy miał bardziej rozczochrane niż zwykle; ciemne kręgi pod oczyma świadczyły o nieprzespanych nocach. Prezentował się nawet gorzej niż ja.

- Do diabła, co z tobą? - zapytałem.

- Pracowałem, Alex. Szukałem Bruckmana. Jadę zaraz do motelu sprawdzić naszych przyjaciół. Wpadłem tylko na chwilę, zobaczyć, co u ciebie. - Podszedł do baru i przysiadł na taborecie.

- Na litość boską, czy ty ostatnio w ogóle spałeś?

- Trochę. W samochodzie. W ciągu dnia chodziłem po sklepach i restauracjach, wieczorami jeszcze po barach.

- Całkiem ci odbiło? Gdzieś ty był...

- W Kanadzie - odparł. - Pamiętasz? Ustaliliśmy, że gdzieś tam się zamelinował.

- Chodziłeś po wszystkich sklepach, restauracjach i barach w Kanadzie?

- Nie, Alex, zastanów się. Przyjechali tu na skuterach śnieżnych, tak? Jak daleko za rzeką mogą być?

- Gdzieś w Soo Canada. Które jest tylko cztery razy większe od Soo Michigan.

- No i co z tego? - Leon wzruszył ramionami. - Wchodzisz do jednej knajpy, potem do drugiej. Wpadasz w rytm. Musi gdzieś tam być, Alex. Musi jeść. Mówiłeś, że był na haju...

- Tak, i co?

- Ilu znasz kokainistów, co cały dzień siedzą w domu?

- Nie wiem.

- Ci od trawki to inna historia. Ale kiedy bierzesz kokę, to cię

zaczyna nosić. Chcesz działać, przez całą noc szaleć. Wiesz, muzyka, światła, te rzeczy.

Jackie postawił przede mną piwo, spojrzał na Leona i przewrócił oczyma.

- Kawę, proszę. Najmocniejszą, jaką robisz - powiedział Leon.

- Nie mów mu tego - ostrzegłem. - On zwykle podaje szatana.

- Szczególną uwagę zwracałem na nocne lokale, Alex. Bo wiem, że on gdzieś tam jest. A nocnych knajp jest mniej niż tych czynnych w dzień.

- Jeszcze - odparłem. - A lodowiska sprawdziłeś?

- Lodowiska - powtórzył.

- No tak, sam powiedziałaś. Musi działać. Jest hokeistą.

- A niech to diabli. Oczywiście.

- Będzie tam, jeśli jest podobny do bejsbolistów, których znałem. Albo koszykarzy czy innych sportowców.

- No tak, w końcu wjedzie na lód. Pośpiesz się z tą kawą, Jackie. Muszę wracać.

- Leon, wyluzuj trochę, dobra? Wykończysz się, jak tak dalej pójdzie. Przynajmniej coś zjedz.

- Okej - zgodził się. - Masz rację. Absolutnie. Muszę zwolnić.

- Siedziałem tu i zastanawiałem się, co zrobić z chłopcami z motelu - powiedziałem. - Dzwoniłem do Brandowa, ale nie zastałem go w biurze. Kontaktowałem się nawet ze swoim posterunkiem w Detroit; myślałem, że któryś z dawnych kolegów sprawdzi rejestrację.

- Ale ja już to zrobiłem, Alex.

- Jak?

- Zadzwoiłem do sekretarza stanu i podałem numer swojej licencji. Nie wiedziałaś, że tak można?

- Nie. Ale z drugiej strony... Nieważne. Czego się dowiedziałeś?

- W stanie Michigan nie ma takiej rejestracji.

- Niemożliwe.

- Tak poinformowała mnie urzędniczka.

Zadzwoiłem do biura szeryfa. Billa znów nie było.

- Cholera jasna - warknąłem. - To doprowadza mnie do szału.
- A więc na co czekamy? Odwiedzmy komisariat.
- Obiecałem Billowi, że nie będę się wtrącał - odparłem.
Okręciłem się na taborecie i spojrzałem w okno. - Do diabła, daję mu czas do jutra rana. Jeśli do tego czasu nic nie zrobi, pojedę tam.
- Jestem z tobą, partnerze.
Spojrzałem na Leona. Chyba po raz pierwszy naprawdę mu się przyjrzałem.
- Idź do domu - powiedziałem. - Prześpij się.
- Dobra. Zdrzemnę się godzinę, potem wracam. Ciekawe, ile lodowisk jest w Soo Canada?

O piątej po południu panowała już całkowita ciemność, światło dnia znikало tak szybko, że człowiek zastanawiał się, czy dzisiaj w ogóle było jasno. Do dziewiątej zadzwoniłem do Billa trzy razy. Ostatnia wiadomość, którą mu zostawiłem, brzmiała prosto: „Moja obietnica traci ważność rano”. Cóż, albo skontaktuje się ze mną, albo przyjedzie do motelu Brass Anchor i popatrzy, jak pukam do ich drzwi.

Po zachodzie słońca zrobiło się jeszcze zimniej. Wyjście na dwór wymagało dużej odwagi. Śnieg pod moimi stopami chrząścił jak tłuczone szkło. Kilka domów dalej połyskiwały światła restauracji, w której żywili się właściciele skuterów. Z kominów unosił się dym. Dalej był motel. Nie widziałem go w ciemności. Wyobraziłem sobie dwóch mężczyzn w pokoju. Może mają na sobie podkoszulki. Jeden siedzi przy oknie. A drugi co robi? Czyści broń? Śpi? Życzyłem im dobrej nocy. Ostatniej przed moją wizytą.

Ciężarówka odmawiała pracy na mrozie. Powinienem przynajmniej raz ją odpalić w ciągu dnia. Wreszcie silnik zaskoczył. Włączyłem ogrzewanie na maksimum, ale przez całą drogę czułem tylko zimne powietrze. Niech to piekło pochłonie, pieprzony mróz. Na dodatek byłem obolały i czułem się tak, jakbym

miał sto lat.

Pojechałem do swojej chaty. Na drodze dojazdowej opuściłem pług i usunąłem część zasp. Samochód Vinniego stał przed domem. Podobno rano nie zapalił. Może Vinnie wciąż jest w kasynie albo ktoś go odwiózł. Nieważne. Byłem zbyt wyczerpany, żeby się nad tym zastanawiać.

Przez cały dzień nic nie robiłeś, Alex, tylko siedziałeś na dupie, ajesteś tak zmęczony, że oczy same ci się zamykają. Naprawdę nieźle. Dobra, masz złamane żebra i szwy nad okiem, które cholernie bolą na mrozie. A teraz jeszcze gadasz do siebie. Lepiej idź do domu i kładź się do łóżka.

Tym razem drzwi mojej chaty były zamknięte. Dzisiaj nikt cię nie obserwuje, mamrotałem pod nosem. Tamci dwaj są cholernie daleko, w motelu. Bruckman i jego chłoptasie jeszcze dalej, w Kanadzie, a Leon depcze im po piętach. Niech Bóg ma ich w opiece. Trzęsiesz się ze strachu tylko przez to, co ci się przydarzyło, więc daj sobie spokój i wchodź do tej przeklętej chaty, zanim zamarznie na śmierć.

Wreszcie przekroczyłem próg. Vinnie poświęcił sporo czasu, żeby doprowadzić wewnątrz do porządku. W lodówce było jedzenie, stos nowych talerzy stał na blacie. Vinnie położył nawet nowy materac na miejsce tego pociętego na kawałki. Pewnie wziął go z jednej z chat.

Rozpaliłem w piecu. Z powodu mrozu był słaby ciąg. Trochę się namęczyłem, ale w końcu wygrałem bitwę. Papier i drewno zajęły się ogniem i w pokoju zrobiło się nawet trochę cieplej.

Poszedłem do łazienki i patrzyłem w lustrze na najbrzydszego, najbardziej posiniaczonego i załamanego człowieka, jakiego w życiu widziałem. Nad lewym okiem, w miejscu szwów, zielonofioletowa opuchlizna kontrastowała z bielą opatrunku. Nie chciałem nawet oglądać siniaków na ciele. Wyjąłem z kieszeni tabletki przeciwbólowe i przeczytałem zalecenia. W razie konieczności zażywać co cztery do sześciu godzin.

W razie konieczności.

Alex, już byłeś na tej drodze. Jeśli weźmiesz dzisiaj wieczorem,

sięgniesz po nie także jutro rano, w południe i przy kolacji. Tabletki znowu wygrają.

Odstawiłem buteleczkę na umywalkę i zgasilem światło. Położyłem się w ubraniu i słuchałem wiatru gwizdającego przez szpary w ścianach. Trochę się wierciłem, próbując znaleźć pozycję, w której bok nie będzie mnie bolał. Znowu pomyślałem o tabletkach. Zapowiadała się długa noc.

Z półsnu wyrwał mnie telefon. Spojrzałem na budzik. Minęła północ.

- Alex, to ja.

- Leon? Co się stało?

- Znalazłem Bruckmana. - W tle słyszałem niskie pomruki z szafy grającej.

- Gdzie jesteś?

- W małym barze na wschodzie miasta. Złapałem ich na lodowisku Strainclair. Właśnie wychodzili. Chyba zostali wyrzuceni. Poszedłem za nimi do knajpy. Zaczęli grać w bilard, więc podejrzewam, że jakiś czas tu pobędą. Jak szybko zdołasz przyjechać?

- Leon, trzeba zawiadomić gliniarzy.

- Mamy wezwać Kanadyjską Policję Konną? Myślisz, że ich aresztują i przyślą do nas?

- Są poszukiwani za napad. Powinniśmy poinformować szeryfa, niech on się tym zajmie.

- Tak jak tymi dwoma z motelu? Posłuchaj, Alex. Zadzwoimy na policję, jeśli chcesz, ale nie masz ochoty pogadać z Bruckmanem i jego kolegami? Może nie porwali Dorothy, ale coś muszą wiedzieć. Przyciśniemy Bruckmana. Niech gada, co jest grane.

Długo stałem, trzęsąc się z zimna. W słuchawce słyszałem wyłącznie stłumioną muzykę i śmiechy. Ostro huknęła bila.

- Jak będzie, Alex?

- Podaj mi adres.

Zanotowałem, włożyłem kurtkę i buty, po czym wyszedłem w noc.

Rozdział 14

ROZPĘDZIŁEM CIEŻARÓWKĘ do sześćdziesięciu kilometrów, kiedy mijałem motel Brass Anchor. Większej szybkości nie mogłem wydusić ze starego grata na zasypanej śniegiem drodze z półtonowym pługiem z przodu i pustakami na pace, które ważyły kolejne czterysta kilogramów. Wyobraziłem sobie, że jeden z mężczyzn siedzi przy oknie, może drzemie albo trzyma w dłoni kubek z kawą. Oby nie wylał jej na siebie, kiedy zobaczy mnie toczącego się drogą.

Dojechałem do M-28 i oddaliłem się o dobre piętnaście kilometrów na wschód; wtedy zobaczyłem daleko za sobą światła reflektorów. Miło was widzieć, chłopaki. Fajnie, że wybraliście się ze mną na przejażdżkę.

Jechali w stałej odległości około pół kilometra aż do Soo, gdzie szosa 1-75 prowadzi na most. Nie widziałem ich za sobą, kiedy płaciłem za przejazd i przekraczałem granicę. Daleko pode mną rzeka St. Marys stała skuta lodem.

Hamując przed kanadyjską odprawą, przypominałem sobie o broni w kieszeni kurtki.

- A niech to diabli - zakląłem na głos. Oczywiście miałem pozwolenie, a gdzieś w schowku leżała licencja prywatnego detektywa. A ci mogą legalnie przewozić broń przez granicę. Leon na pewno wie, jak to się robi. Zastanawiałem się, czy zjechać na bok i zadzwonić do niego. Czy jest akurat w samochodzie? Czy zmarnować na to kilka minut? Przypuszczalnie trzeba wypełnić stosowny formularz.

- Daj sobie spokój, jedź - mruknąłem.

Celnik wydawał mi się mgliście znajomy. Chyba widziałem go w czasie wyprawy po piwo. W jakim celu jadę dzisiaj wieczorem do Kanady? To proste. Tam są kluby ze striptizem, w Michigan

nie. Uśmiechnij się znacząco. Czy mam w samochodzie narkotyki albo broń palną? Spojrzenie prosto w oczy.

- Nie, proszę pana.

Kazał mi jechać.

W Soo Canada ciągle zerkąłem we wsteczne lusterko, spodziewając się widoku swoich przyjaciół. Nie było ich. Do diabła, dlaczego nie przekroczyli granicy?

Ponieważ nie chcieli przechodzić przez odprawę celną, Alex. To kryminaliści, mają przy sobie pięć albo sześć sztuk różnej broni. Nie potrafią łgać celnikowi w żywe oczy.

Jechałem przez miasto, kierując się na wschód. Na razie o nich zapomnij, nakazałem sobie. Masz inne sprawy na głowie. Nie byłem pewien, co zrobię, kiedy zobaczę Bruckmana. Czułem strach zmieszany z gniewem i coś jeszcze, czego nie potrafiłem nazwać. Zacząłem się trząść. Podkręciłem ogrzewanie, ale to nic nie pomogło.

Spokojnie, Alex. Wdech i wydech. Musisz przez to przejść. Nie będziesz mógł na siebie patrzeć, jeśli teraz nie staniesz z nim twarzą w twarz.

Potrzebowałem planu, jak wejść do baru i wywabić Bruckmana na dwór. Myśl, Alex, myśl.

We wschodniej części miasta wjechałem na Trunk Road prowadzącą koło terenów przemysłowych do indiańskiego rezerwatu Rankin. Wzdłuż drogi biegły tory Kanadyjskiej Kolei Pacyficznej. O tej porze puste. Tuż za terenem zabudowanym władzę nad ziemią całkowicie przejmowały sosny. Jak w większości kanadyjskich miast, dzika natura zawsze nam towarzyszy. Nie znałem tej drogi, ale z mapy wiedziałem, że skręca ku północnemu brzegowi rzeki. Jechałem długo, w końcu zacząłem się bać, że za daleko się zapędziłem. Wtedy zobaczyłem boczną drogę, której szukałem.

Bar był niewielkim lokalem oddalonym o przecnicę od głównej szosy i położonym blisko rzeki. Na budynku nie wisiał żaden szyld; poza logo molsona w jednym oknie i budweisera w drugim nic nie wskazywało na to, że w środku jest knajpa.

Na końcu parkingu stał mały czerwony samochód Leona. Kiedy zatrzymałem się obok niego, Leon otworzył drzwi od strony pasażera i wsiadł do kabiny.

- Wciąż tu są - powiedział. Roztarł dłonie i podmuchał.

- Nie masz rękawiczek?

- Zdjąłem. Musimy być gotowi na wszystko. - Poklepał się po kieszeni na piersi.

- Aha, słuchaj, jak przewieźć broń przez granicę?

- Tylko nie mów, że nie masz spluwy, Alex.

- Mam, ale musiałem skłamać. Nie wiedziałem, czy nie zatrzymają mnie na odprawie.

- Dobrze zrobiłeś - stwierdził Leon. - Przepuściliby cię przez wyżymaczkę.

- Ilu kumpli jest z Bruckmanem?

- Trzech.

- Hm, w chacie było czterech. Jednego musiał stracić. Pewnie tego, który się z nim kłócił.

- Mam już przygotowany plan, Alex.

- Zaraz, zaraz. Jaki plan?

- Ich jest czterech, nas dwóch...

- Więc trzeba odseparować Bruckmana od koleśki i wyprowadzić go na dwór.

- Ciekawe, jak koleśki zareagują, kiedy spróbujesz to zrobić? Nawet jeśli ci się uda, co dalej? Nie masz nad nim żadnej psychologicznej przewagi, Alex. Nie zastraszysz faceta.

- Przerazi się, jeśli przytknę mu lufę do czoła.

- To się nie uda. Naprawdę myślisz, że możesz wejść do baru i wycelować w niego broń? Połamią ci kije do bilarda na głowie. Popatrz, co to za knajpa. Jestem pewien, że takie rzeczy już się tu zdarzały. Mówiłem, wszystko mam nagrane.

- Leon, o czym ty gadasz?

- Musimy stworzyć iluzję przewagi. Tylko to może na nich podziałać.

- Iluzję czego? Na litość boską, Leon, skąd ty bierzesz takie brednie?

- Wszystko jest nagrane - odparł. - Teraz muszę tylko wejść do środka i dać sygnał.

- Leon - wycedziłem przez zęby, ściskając kierownicę. - Proszę. Pozwól mi wejść i wyprowadzić Bruckmana.

- Potrzebna ci przestrzeń zamknięta. Na przykład łazienka. Oddzielasz go od pozostałych i tam zabierasz.

- Do łazienki.

- Do przestrzeni zamkniętej. Może to być drugi pokój. Pomieszczenie powinno być małe, żebyś miał z gościem bliski kontakt, ale nie na tyle, żeby dzieliła was odległość tylko jednego metra.

- Leon...

- Idę do baru wywołać wrażenie przeważającej siły. Ty przyjdź za trzy minuty.

- Poczekaj. Nie śpiesz się tak.

- Jeśli plan nie wypali i będziemy musieli walczyć, żeby się stamtąd wyrwać, wal ich po kolanach.

- Zaraz, wróćmy do tej iluzji...

- I łapy przy sobie, Alex. Znam cię. Zaczнеш się boksować, a skończy się na tym, że rozwalisz sobie ręce. Trzymaj głowę schyloną i podcinaj im kolana. Po takim kopniaku poskładają się jak tani garnitur.

- Leon...

- To znaczy tani parasol.

- Leon...

- I nie wyciągaj pierwszy broni. Najmniej zależy nam na strzelaninie. Dobra, gotowy?

- Nie. Chwilę...

- Daj spokój, Alex. Nie będą tam siedzieć całą noc. Załatwmy to. Pamiętaj, daj mi trzy minuty. - Otworzył drzwi. - Trzy minuty!

- Leon, poczekaj!

- Idę. Póki jestem nakręcony.

Chciałem go złapać, ale trzasnął drzwiami i pobiegł szybko po śniegu.

To zły sen, powiedziałem sobie. Zaraz się obudzę, wyjdę na dwór, odśnieżę drogę, a potem pójdę po Dorothy i pomogę jej znaleźć bezpieczne schronienie. Nikt jej nie porwie, nikt nie zdemoluje chaty, nie będzie mnie śledził ani ciągnął za skuterem śnieżnym. Nie będę siedział przed tą podejrzaną knajpą w Soo Canada i czekał przez trzy minuty, żeby Leon stworzył wrażenie przeważającej siły. Cokolwiek to jest, do diabła.

Spojrzałem na zegar na desce rozdzielczej: pięćdziesiąt trzy minuty. Nie wierzę, że to robię. Zostały mi jeszcze dwie minuty. Zamknąłem oczy i wziąłem kilka głębokich wdechów.

Kiedy uniosłem powieki, zegar wskazywał pierwszą czternaście. Jeszcze minuta. Poryw wiatru zakolysał ciężarówką.

Odczytałem ostatnią minutę i dałem Leonowi jeszcze jedną. Wsiadłem. Zimne powietrze przeniknęło mnie na wskroś, ale do drzwi było blisko i tylko w połowie odrętwiałały przekroczyłem próg. Jak w przypadku wszystkich małych budynków, ten także w środku wydawał się większy. Bar ciągnął się po prawej, w umieszczonym wysoko w kącie telewizorze trwała transmisja meczu hokejowego. Pod sufitem wciąż wisiały bożonarodzeniowe światełka, migocząc w dymie. Po lewej był stół bilardowy. Bruckman stał z kijem w dłoni i obserwował kumpla, a ten akurat przymierzał się do strzału. Pozostali dwaj czytali listę nagrań w szafie grającej, która znajdowała się obok. Oni też mieli kiję. Czterech hokeistów z kijami w dłoniach, w tym co najmniej jeden totalny świr.

Zawahałem się.

Przy barze zobaczyłem Leona. Nieznacznie kiwnął głową. Odstawił szklanę i odwrócił się twarzą do stołu bilardowego. Doliczyłem się siedmiu innych mężczyzn, razem z barmanem. Kiedy Leon się odwrócił, wszyscy umilkli i też się odwrócili. Ktoś znalazł pilota i wyłączył telewizor. Barman nacisnął magiczny przełącznik pod kontuarem i szafa grająca umilkła. W sali słychać było wyłącznie stuk bil i chrapliwy śmiech Bruckmana po chybionym strzale. Kiedy bile stanęły, Bruckman przestał się śmiać.

- Co jest, do cholery? - Podniósł głowę i zobaczył ośmiu wpatrujących się w niego mężczyzn. Przesunął po nich wzrokiem od lewej do prawej. Mnie zobaczył na końcu.

- Teraz ja gram - oznajmiłem. Podeszedłem do stołu. W nagłej ciszy słycać było, jak pod moimi podszewkami skrzypi podłoga.

- Co ty tu robisz, do diabła? - Bruckman spojrzał najpierw na mnie, potem na swoich kolegów.

- W sali jest ośmiu mężczyzn - powiedziałem. Żałowałem, że Leon dokładniej nie wyjaśnił mi swojego planu. Miałem nadzieję, że załapałem pomysł. - Z bronią - dodałem. - Chętnie zobaczę, jak próbujesz zrobić coś głupiego.

Znowu spojrzał na kumpli, potem na mężczyzn przy barze. Niemal słyszałem, jak w jego głowie wirują trybiki.

- Więc... o co chodzi? - zapytał wreszcie.

- Chciałem ci zadać parę pytań. To wszystko. Jak mi odpowiesz, to cię nie zastrzelę.

- Dobrze sobie - prychnął Bruckman.

- Do łazienki. Chyba że wolisz, żebym zabił cię tutaj.

- Co? - Oczy błyszczały mu ze strachu albo od prochów, albo jedno i drugie.

- Słyszałeś. Idziemy do łazienki. A twoi trzej kumple będą tu spokojnie stać z głupimi minami. Jasne?

Głośno przelknął ślinę.

- Ruszaj się - ponagliłem.

Znowu rozejrzał się po sali, jakby czekał, aż ktoś coś zrobi. Zero reakcji, więc w końcu oparł kij o stół i ruszył do łazienki. Poszedłem za nim. Kiedy mijiałem największego z koleśi, uśmiechnąłem się nieznacznie.

- Miło cię widzieć - rzuciłem.

Jedna kabina, jeden pisuar i jedna umywalka. Ten, kto odpowiadał za utrzymywanie czystości, z całą pewnością się nie przemęczał. Otworzyłem drzwi kabiny.

- Siadaj - rozkazałem. Wyciągnąłem z kieszeni służbowy rewolwer.

- Spodni nie ściagnę - oznajmił Bruckman.

- Jak chcesz. Siadaj.

Zamknął pokrywę i usiadł. W marnym świetle wyglądał na zmęczonego, wychudzonego i zmarnowanego. Wzrok utkwił w coś, co tylko on widział.

- Sprawdźmy - powiedziałem. - Jeśli kula wejdzie tędy, powinna wyjść mniej więcej tędy. - Spojrzałem na ścianę za jego głową. - Chyba że utknie w czaszce.

- O czym gadasz?

- Będzie piekielny hałas. - Pociągnąłem za papier toaletowy. Oderwałem długi pas, zgmiotłem w kulkę i wepchnąłem sobie do lewego ucha. Potem to samo z prawym uchem.

- Co ty wyprawiasz?

- Zaraz cię zastrzelę. Wszystkich to cholernie zaskoczy, wiem. Nikt nie wierzy, że to zrobię. Ale zrobię. - Spojrzałem na umywalkę i niołem nad nią. - Pewnie tędy powinienem wyjść. Co o tym myślisz?

- Co...

Demonstracyjnie sprawdziłem broń i ująłem w obie dłonie.

- Widziałeś kiedyś, jak pocisk przechodzi przez ludzką głowę? - Przymknąłem lewe oko, prawym spojrzałem na lufę. - Co za widok. Boże, ale tu będzie bałagan.

- Nie możesz mnie zastrzelić.

- Jasne, że mogę.

- Czego ode mnie chcesz?! - wykrzyknął. Zaczął się kotłować.

- Nie ruszaj się. Zależy mi na czystym strzale.

- Zwariowałeś. Całkiem ci odwalilo?

- Tak więc nie ma żartów - potwierdziłem. - Chyba powinienieś mnie zabić, kiedy miałeś okazję.

- Nie. Nie chciałem...

- Zamknij się. Rozpraszasz mnie.

- Co mam zrobić? Powiedz.

Otworzyłem oczy i spojrzałem na niego ponad bronią.

- Zabaw mnie. Dzięki temu w najgorszym razie zyskasz kilka minut - odparłem.

- Co? Jak?

- Poopowiadaj... Na przykład o tym, co było w torbie.

- W jakiej torbie?

Znowu podniosłem broń.

- Kiepsko ci idzie - stwierdziłem. - Pytam o torbę, której szukałeś. Co tam było?

- Narkotyki.

- A konkretnie?

- Nie wiem. Jakiś speed. Dawał cholernego kopa, chyba z czymś go zmieszano. Może z crackiem.

- Skąd go wzięłeś?

Wahał się, dopóki znowu nie przymknąłem lewego oka.

- Od faceta z New Jersey. Ukradliśmy mu ten towar parę tygodni temu.

- Co w tym wszystkim robi Dorothy?

- Była ze mną. To znaczy nie w czasie kradzieży. Po prostu...

Przyjechaliśmy razem.

- Po co?

- Żeby sprzedać towar.

- Dlaczego w te rejony?

- Musieliśmy zwiewać. Najlepiej gdzieś na odludzie. Dorothy знаła tę okolicę, bo stąd pochodzi.

- No i po sąsiedzku jest Kanada, co? Nie musisz nawet przechodzić przez odprawę celną, wystarczy, że na skuterze prze- jedziesz przez rzekę.

- No, coś takiego...

- A poza tym, Bruckman?

- Co: poza tym?

- Z jakiego jeszcze powodu to miasteczko jest tak świetnym miejscem do sprzedaży prochów?

Milczał.

- Indianie?

- Teraz mają pieniądze. Z kasyn.

- Słyszałeś o rezerwacie Cheyennów. O ich problemach z prochami. Wykombinowałeś, że możesz sporo tu zarobić.

- Nie mój interes, że brakuje im silnej woli.

- W przeciwieństwie do ciebie, co? Ty narkotyków nawet nie tykasz.

Odwrócił ode mnie wzrok.

- Poczęstowałaś się?

- Trochę - przyznał.

- A co myślała Dorothy o twoim planie sprzedaży towaru tutaj?

- Nic o nim nie wiedziała.

- Ach, teraz wszystko zaczynam rozumieć - powiedziałem. - Niech zgadnę. Kiedy się zorientowała, zabrała torbę i uciekła.

- No, możliwe.

- Skąd wiesz, że przyszła do mnie?

- Gobi, jeden z drużyny, był w tamtej knajpie z łbami jeleni i innym takim gównem na ścianie. Podrywał kelnerkę. To on widział, jak Dorothy pytała o ciebie. Wydawało mu się, że miała torbę, ale nie był pewny. Nikt nie wiedział, jak ta torba wygląda, dobrze ją ukryłem. Nikomu nie ufałem. No i ten pieprzony idiota zamiast zapytać Dorothy, co wyprawia, zadzwonił do mnie. Zostawił wiadomość, że pytała o ciebie i powinienem to sprawdzić. Nie chciał wychodzić z baru, bo niby ta kelnerka już zaczynała mu ulegać. Pierdoła. W hokeja też nie umie grać.

- Nie zabrałeś Dorothy z mojej chaty?

- Dopiero parę dni później dowiedziałem się, że tam była. Jak wtedy wieczorem wróciłem do domu, zobaczyłem wóz policyjny, więc się stamtąd zwinąłem, pojechałem do Kanady. Uznałem, że ktoś mnie podkablował glinom. Może ona. Czekam tu i w końcu dzwonię do Gobiego. Pytam: Co się tam dzieje, do cholery? Szukają mnie czy co? A on na to: Człowieku, nie dostałeś mojej wiadomości? Jakiej wiadomości? Więc on mówi, że ktoś w nocy zdemolował mieszkanie, a pani Hudson wezwała gliny. Dlatego był tam wóz.

- Ty nie zdemolowałaś mieszkania?

- Nie, nie, nie.

- Więc kto?

Posłał mi krzywy uśmieszek. Prawie wystarczyło, żebym go

zastrzelił.

- Nie wiesz? - zapytał.

- Nie, ale ty mi powiesz.

- Przypuszczam, że zrobili to dwaj faceci, Pearl i Roman.

- Kim oni są?

- Tacy dwaj, co pracują dla Molinova.

- A Molinov to kto?

- Facet, któremu ukradliśmy prochy - odparł Bruckman. - Wierz mi, wolałbyś nic nie wiedzieć o Molinovie.

- Rosjanin?

- Jakoś nie miałem czasu, żeby go zapytać.

- A Pearl i Roman? Jak oni wyglądają? Noszą myśliwskie czapki?

- Nigdy gości nie widziałem, tylko o nich słyszałem.

- Siedzą mnie dwaj faceci - powiedziałem. - Myślisz, że to oni?

- Z tego, co wiem, pewnie by cię, kurwa, zabili zamiast śledzić, ale kto wie?

- Skąd w ogóle dowiedzieliby się o mnie?

Potał oczy, aż go rozboleła głowa od tego myślenia.

- Wiadomość - odezwał się wreszcie. - Mogli odsłuchać sekretarkę w moim mieszkaniu. Jeśli tak, masz spory problem.

- Wzruszająca troska - mruknąłem. Włożyłem broń do kieszeni.

Bruckman siedział i patrzył na mnie.

- Masz teraz szansę. Żadnej broni.

Milczał. Nie poruszył się.

- Twardziel z ciebie, kiedy w biciu innych pomagają ci czterej kolesie - wycodziłem. - Przekonajmy się, co potrafisz w pojedynkę.

Spuścił wzrok na podłogę.

- Jesteś marnym śmieciem - ciągnąłem. - Nie udało ci się w hokeju, więc do końca życia będziesz się odgrywał na innych.

Długo przed nim stałem i czekałem, aż coś zrobi.

Za drzwiami łazienki dobiegły hałasy. W sali najwyraźniej rozpętało się piekło. Bruckman rzucił się na mnie, ale

zmarnował co najmniej pół sekundy na podniesienie się z sedesu. W samą porę wystawiłem prawe kolano. Ból szarpnął mi żebra, za to byłem pewien, że Bruckman gorzej to odczuł. Padł na kolana, oburącz przyciskając nos.

Kiedy otworzyłem drzwi, zobaczyłem barową bójkę w starym dobrym stylu.

- Alex, tutaj! - zawołał Leon, który stał przy wyjściu.

Dwa matolki Bruckmana tłukły się z dwoma facetami z baru. Trzeciego nigdzie nie widziałem. Pozostali goście sterczeli pod ścianami w gotowości bojowej. Ruszyłem w stronę Leona, uchylając się przed kijem bilardowym i taboretem. Kiedy dotarłem do wyjścia, Leon otworzył drzwi, przez które razem z powiewem lodowatego powietrza wpadł trzeci matol. Chciał wymierzyć mi solidny cios, ale chybił, więc zgodnie z instrukcjami Leona podciąłem mu kolano. Facet piskliwie wrzasnął i padł.

- Wynośmy się stąd! - zawołał Leon.

- Ty pierwszy.

Pobiegliśmy przez śnieg i wskoczyliśmy do naszych aut. Leon pędem ruszył z parkingu, ja za nim, usiłując coś zobaczyć przez tuman śniegu wylatujący spod opon.

Pojechaliśmy na Trunk Road, ku granicom Soo Canada. Raz po raz zerkałem we wsteczne lusterko, czekając na reflektory. W mieście Leon zwolnił. Ja też. Próbowałem rozluźnić napięte mięśnie. Serce wciąż mi waliło, adrenalina krążyła we krwi. Bolał mnie bok i łupało kolano, którym kopnąłem Bruckmana. Jutro za to zapłacę, pomyślałem. Będę miał szczęście, jeśli zdołam się zwlec z łózka.

Leon skręcił na parking przed restauracją przy Wellington Street. Zaparkowałem obok niego, wysiadłem i otworzyłem drzwi czerwonego samochodu od strony pasażera.

- Wszystko w porządku? - zapytałem.

- Tak. Muszę tylko złapać oddech.

Wsiadłem.

- Chyba powinniśmy odzyskać panowanie nad sobą, zanim przekroczyliśmy granicę - dodał Leon.

- Doskonały pomysł. - Zamknąłem oczy i kilka razy głęboko odetchnąłem. - Boże, zwariowaliśmy.

- Ja uważam, że była niezła zabawa.

Spojrzałem na niego. Uśmiechał się.

- Do diabła, jak ci się udało namówić facetów do bójki? - zapytałem.

- Tych przy barze? Łatwizna.

- Och, nie mów.

- Frankliny czynią cuda, Alex.

- Zapłaciłeś im po sto dolców na łeb, żeby udawali, że mają broń?

- Benjamin J. Franklin, najlepszy przyjaciel prywatnego detektywa.

- Na litość boską! To w sumie poszło siedemset dolarów? A ile wydałeś na lodowisku? Cztery stowy? Pięć?

- Nie zlecaj Ulyssesowi Grantowi zadań, które może wykonać wyłącznie Benjamin Franklin.

- Dobra, zrozumiałem. Jestem ci winien tysiąc dwieście.

- Podzielimy się kosztami, Alex. Jak prawdziwi partnerzy.

- Jutro dam ci pieniądze - oznajmiłem stanowczo. - Całą sumę.

Pokręcił głową.

- Alex...

- Więc jak to się stało? To była ta twoja... iluzja przeważającej siły? Nie udało się.

- Przyłazł miejscowy pajac i chciał wiedzieć, co się dzieje. To trochę zburzyło atmosferę.

- Obaj powinniśmy leżeć martwi.

- A co się działo w łazience? Koleś podał ci jakieś ważne informacje?

Powtórzyłem mu wszystko, co mówił Bruckman. O Dorothy, narkotykach w torbie, niejakim Pearlu, Romanie i Molinovie.

- Aha, to są faceci, którzy cię śledzili - oznajmił Leon. - Na pewno oni.

- Pewnie tak. Nie przekroczyli granicy. Może nie chcieli

ryzykować odprawy celnej.

- Jeśli są zawodowymi zabójcami...

- Zabójcy - powtórzyłem. - Z każdą minutą jest coraz weselej.

- Co z nimi zrobimy?

Chwilę się zastanawiałem.

- Obiecałem Billowi, że dam mu czas do jutra - powiedziałem.

- Potem ich odwiedzimy.

- Może powinniśmy zrobić to od razu - zaproponował. - Póki wciąż jesteśmy nakręceni.

- Ty aż za bardzo, Leon. Przeginasz.

- Przyznaj, Alex, cieszysz się, że jestem po twojej stronie.

Roześmiałem się. Nie wiem, jak mogłem się śmiać po tym wszystkim, co przeszedłem.

- A w ogóle, co to za samochód?

- Plymouth horizon. Stary grat.

- Jak nim jeździsz po śniegu?

- Mam dobre opony i jestem świetnym kierowcą - odparł. -

To jak, odwiedzimy facetów?

- Zgoda. Jutro nie będę w stanie się ruszać.

- Ale na pewno dasz radę?

- Rozgrywający ciągle grają ze złamanymi żebrami - odpowiedziałem. - Wkładają ochraniacze i mają nadzieję, że nie dostaną za mocno.

- Tak, rozgrywający. Młodzi rozgrywający. Bez urazy, Alex...

- W drogę - rzuciłem. - Spotkamy się przed motelem.

Wsiadłem do ciężarówki i za Leonem wjechałem na most.

Zegar na desce rozdzielczej wskazywał drugą czterdzieści. O tej porze nocy czynny był tylko jeden pas. Leon zatrzymał się przy budce i odpowiedział na wszystkie rutynowe pytania. Nadeszła moja kolej.

Kiedy zahamowałem, celnik spojrzał na mnie, na ciężarówkę, znowu na mnie. Tego gościa nie znałem.

- Dobry wieczór - powiedział wreszcie.

- Dobry wieczór. - Czekałem na pytania, ale żadnych nie zadał.

- Proszę zjechać na bok - polecił.
- Słucham?
- Niech pan tam zjedzie.

Reszta była jak koszmarny sen. Wszystko działało się w zwolnionym tempie pod rzędem jarzeniówek, które oblewały nas surrealistyczną poświatą.

Celnicy sprawdzili ciężarówkę. Spod przedniego siedzenia wyciągnęli małą torebkę. Z białym proszkiem w środku. Stałem z rozstawionymi nogami i rękami opartymi o ścianę. Z kieszeni zabrano mi rewolwer.

Nieprzyjemny dotyk stali na lewym, potem na prawym przegubie.

Za moimi plecami rozległ się głos:

- Ma pan prawo zachować milczenie...

Rozdział 15

TA SAMA CELA. W sobotę po południu odwiedziłem w areszcie Vinniego. Teraz jest co, piątek rano? Minęło sześć dni, i tym razem ja tu siedzę za kratkami.

W areszcie nie było tłoku. Pierwsza cela miała dwóch lokatorów, druga jednego, trzecia też dwóch. W czwartej tkwiłem sam. W górze mruczała i migiała jarzeniówka.

Minęła trzecia nad ranem. W ciągu dnia ciągnąłem jeszcze resztkami sił. Wykorzystałem je, żeby zwlec się z łóżka, zmusić do wyjścia w przenikliwie zimną i beznadziejnie ciemną noc. Unosiłem się na fali adrenaliny i gniewu, jadąc przez rzekę do knajpy, gdzie Leon znalazł Bruckmana. Teraz, zupełnie pozbawiony energii, siedziałem na twardej drewnianej ławce w więzieniu hrabstwa Chippewa. Oparłem się o cementową ścianę, czując ból w żebrach i głowie. W żaden sposób nie mogłem wygodnie się usadowić. Słuchałem mruczenia lamp i powstrzymywałem mdłości.

Kiedy myślałem, że gorzej być nie może, do aresztu wkroczył Maven.

Mijał cele, każdą obrzucając wzrokiem, aż doszedł do mojej. Stał i przyjrzał mi się przez kraty.

- Dobry wieczór, McKnight - powiedział wreszcie.

- Witam, szefie.

- Odczytano ci twoje prawa?

- Tak.

- To dobrze. Dobrze. - Przysunął sobie krzesło spod ściany. Pewnie to samo, na którym siedziałem, kiedy przyszedłem do Vinniego. Wyjął z kieszeni paczkę fajek i srebrną zapalniczkę. - Papierosa?

- Nie, dziękuję.

Zapalił, zamknął zapalniczkę i dmuchnął przez kraty wąskim strumieniem dymu.

- Znowu zaczął padać śnieg - powiedział.

Patrzyłem w podłogę.

- Pomyślałem, że to cię zainteresuje - dodał.

Nie spojrzałem na niego.

- Dzięki za raport o stanie pogody - mruknąłem.

- Wiesz, że jeśli zadam ci pytanie, nie musisz na nie odpowiadać.

Milczałem. Dym z papierosa Mavena wisiał w powietrzu.

- Leżałem w łóżku, kiedy zadzwonili i powiedzieli, że zostałeś zatrzymany na moście. Wstałem, ubrałem się i przyjechałem tutaj w tym mrozie, żeby zadać ci jedno pytanie. Jesteś gotowy?

Nie odrywałem wzroku od podłogi.

- Oto ono, McKnight. Wierzysz w reinkarnację?

W końcu na niego popatrzyłem.

- No wiesz - ciągnął - jeśli robisz coś złego w poprzednim życiu, to musisz zapłacić za to w następnym. Albo z drugiej strony, jeśli robisz coś dobrego w poprzednim życiu... Rozumiesz, o co mi chodzi?

Wpatrywałem się w niego bez słowa.

- Może się nad tym nie zastanawiałeś - mówił dalej. - Przyznaję, ja też o tym nie myślałem. - Zaciągnął się głęboko. - Aż do dzisiejszej nocy. - Wydmuchał dym. Światła mruczały. - Widzisz, myślę, że prowadzę dobre życie. Pomagam ludziom. Jestem porządnym ojcem i mężem. Na pewno mam na koncie kilka punktów. Ale do diabła, McKnight, widzę cię w celi. To przeszło moje oczekiwania, przysięgam. - Znowu się zaciągnął i spojrzał na mnie przez obłok dymu, mrużąc powieki. - Cholera, myślę, że w poprzednim życiu uratowałem szkolny autobus przed spadnięciem z klifu.

Nie odrywałem od niego spojrzenia.

- Albo na wojnie ocalałem przed zagładą całe miasteczko. To musiało być coś naprawdę wielkiego, tak mi się wydaje. Bo to, co teraz widzę, jest za dobre.

Nawet nie mrugnąłem.

- Moja czara radości jest pełna, McKnight. Ledwo nad sobą panuję.

- Skończyłeś? - zapytałem.

- Poważnie, muszę ci zadać pytanie. Bo myślałem, że cię rozgryzłem. Byłeś do niczego jako bejsbolista. Nie sprawdziłeś się jako gliniarz. Jesteś załamany, samotnym, żalonym facetem, więc rekompensujesz to sobie, zachowując się jak twardej i na wszystkich drąc mordę. Dotąd rozumiem. Ale tej sprawy z prochami nie łapię. To znaczy wiem, że nie jesteś w połowie tak sprytny, jak ci się wydaje. Tylko że nigdy nie przypuszczałem, że jesteś tak cholernie głupi.

- Narkotyki nie są moje - burknąłem.

- Jasne. Tak samo jak broń.

- Broń należy do mnie.

- Do broni się przyznajesz. Oczywiście nie masz w tej sprawie zbyt wielkiego wyboru. Jest w rejestrze. Za to narkotyki ...

- Nie są moje - powtórzyłem.

- Tak, tak.

- O co mnie oskarżą? - zapytałem. - I kiedy stąd wyjdę?

Krzesełko zaskrzypiało, kiedy Maven wygodnie się rozsiadł.

- A jak myślisz? Jedyne problem polega na tym, czy doszło do przestępstwa. Na pewno teraz to ustalają. Ale jeśli mam być szczerzy, wszystko wskazywało na to, że torebka zawiera niecały gram. Może jednak nie ocaliłem całego miasta, co? Tylko trzy osoby i psa.

- Żądam adwokata - powiedziałem. - I chcę stąd wyjść.

- Możesz mieć adwokata, skoro sobie życzysz - odparł szeł. - Wypuścimy cię, jak tylko przyjdzie sędzia i sformułuje oskarżenie.

- Ile będzie wynosić kaucja?

- Wysokość ustala sędzia, wiesz o tym. Twój chłopca Prudell czeka w holu, żeby ją zapłacić.

- Przekaż mu, żeby poszedł do domu. Zadzwoń do niego.

- Bardzo rozsądnie. A teraz dwóch dżentelmenów chciałoby

zamienić z tobą słowo.

- Kto?

- Zobaczysz. Zaraz wracam.

- Co się dzieje?

- Cierpliwości. - Wstał i odstawił krzesło pod ścianę. - Odpręż się, rozgość.

Wyszedł. Drzwi zamknęły się za nim z metalicznym szczękiem, który przeszył mnie na wylot.

Próbowałem poleżeć na drewnianej ławce, ale w głowie dudniła mi krew. Kiedy usiadłem, zaczęły boleć żebra. Wstałem i przez jakiś czas krążyłem po celi. Znowu zrobiło mi się nie-dobrze. Pochyliłem się nad ubikacją, dłonią opierając o cementową ścianę. Nic ze mnie nie wyszło.

Usiadłem. Objąłem się i zwiesiłem głowę. W tej pozycji było mi niemal wygodnie. Zapadłem w drzemkę, z której wyrwał mnie trzask otwieranych drzwi.

Korytarzem szedł Maven, a za mm dwaj faceci.

Ci sami, którzy mnie śledzili. Jeden wciąż miał na głowie czerwoną czapkę. Drugi trzymał w dłoni niebieską.

- Alex McKnight - przedstawił mnie Maven. - A to agenci Champagne i Urbanik z DEA².

Oni patrzyli na mnie, ja na nich.

- Nie jesteście ludźmi Molinova - powiedziałem. - Nie nazywacie się Pearl i Roman.

- Do diabła, o czym ty gadasz? Flipem i Flapem też nie są. Agent Champagne... - Wskazał mężczyznę z niebieską czapką. - 1 agent Urbanik. - Mężczyzna w czerwonej czapce.

- Musimy z panem porozmawiać - odezwał się Champagne. - Możemy skorzystać z jednej z tutejszych sal przesłuchań?

- Mamy tylko jedną. Zaprowadzę was. - Maven wyjął klucze i otworzył celę. - I jak, McKnight? Możemy zdjąć ci kajdanki?

- A co, myślisz, że próbowałbym uciec?

- W zwykłych okolicznościach powiedziałbym, że nie, ale

² DEA, Drug Enforcement Agency - Rządowa Agencja do Walki z Narkotykami (przyp. tłum.).

prochy robią z człowiekiem różne rzeczy.

- Na litość boską. - Nie zdążyłem już nic więcej dodać, bo wyprowadzono mnie z aresztu.

Spojrzałem w okna. Słońce zaczynało wschodzić. Padał drobny śnieg.

Dotarliśmy do sali przesłuchań. Już tutaj byłem. Od mojej ostatniej wizyty zdjęto mapę wędkarską i pomalowano ściany na jasną zieleń. Usiadłem po jednej stronie długiego stołu, Champagne i Urbanik zajęli miejsca naprzeciwko mnie, Maven na końcu. Urbanik zdjął czapkę.

- Chcielibyśmy zadać panu kilka pytań, McKnight - odezwał się pierwszy Champagne.

Pamiętałem jego ciemne oczy z naszego spotkania na drodze.

- Słucham.

- Przede wszystkim proszę nam powiedzieć, gdzie aktualnie przebywa Dorothy Parrish.

- Nie wiem.

- Spędziła piątkową noc w pańskiej chacie.

- W chacie sąsiadującej z moją - sprostowałem. - Następnego dnia rano już jej nie było.

- Po prostu zniknęła?

- Tak.

- I pan nie ma pojęcia, co się z nią stało.

- Nie. Myślałem, że została porwana przez Bruckmana. To... jej chłopak, jak przypuszczam.

- Tak, Lonnie Bruckman. - Champagne pokiwał głową. - Znamy tego człowieka.

- Wczoraj wieczorem pojechałem, żeby się z nim zobaczyć - ciągnąłem. - Zadać mu parę pytań.

- Mhm - mruknął Champagne. - W ostatnich dniach był pan w szpitalu...

- Tak. Widziałem was. A konkretnie pańskiego partnera.

Champagne z ukosa zerknął na kolegę. Urbanik wzruszył ramionami.

- Dlaczego trafił pan do szpitala? - zapytał Champagne.

- Zostałem pobity, a potem byłem wleczoney za skuterem śnieżnym.

- Wygląda na to, że ktoś bardzo pana nie lubi.

- Pańska intuicja jest nieomylna, agencie Champagne.

Nieznacznie zmrzył oczy.

- Dlaczego tak źle pana potraktowano? - zapytał.

- Chcieli wiedzieć, gdzie jest Dorothy - odparłem. - Myśleli, że u mnie.

- Ale się mylili.

- Tak.

- A ich wizyta uświadomiła panu, że u nich tej kobiety też nie ma.

- I znów pan trafił w dziesiątkę - pochwaliłem. - Proszę dalej, póki tak świetnie panu idzie.

Tym razem nie zadał sobie trudu i nie ułożył riposty.

- Skoro więc pan wiedział, że nie przetrzymują Dorothy, dlaczego wczoraj wieczorem pojechał pan do Kanady, żeby zadać Bruckmanowi kilka pytań?

Zawahałem się.

- Ponieważ nic innego nie przychodziło mi do głowy. Pomyślałem, że facet może da mi jakieś wskazówki, gdzie ona jest.

- Usilnie próbował pan odnaleźć Dorothy - stwierdził Champagne.

- Martwiłem się o nią. Tamtego wieczoru była przerażona.

- Tak... bardzo przykre. A skąd pan wiedział, gdzie wczoraj wieczorem znaleźć Bruckmana?

- Znaleźliśmy go - odparłem. - Mój... - Chwilę się zastanawiałem. - Mój partner i ja.

- Pański partner.

- Leon Prudell. Kiedy leżałem w szpitalu, pojechał do Kanady i namierzył Bruckmana.

- Skąd wiedział, że trzeba szukać w Kanadzie?

- Bruckman mówił coś o jeździe powrotnej do rzeki. Założyliśmy, że ukrywa się w Kanadzie.

- Szefie, zna pan tego Prudella? - zapytał Champagne.
Maven odchrząknął.
- Wydaje mi się, że teraz sprzedaje skutery śnieżne.
- Sprzedawca skuterów. - Champagne pokiwał głową. - Bez wątpienia cenny nabytek dla każdej ekipy.
- Załatwia także kaucje - dodałem. - I jest licencjonowanym prywatnym detektywem.
- Rozumiem - powiedział Champagne. - Nie potrzebuje drugiej pracy. Handluje skuterami, bo kobiety nie mogą się oprzeć sprzedawcom skuterów.
- Jest jakaś szansa, że dostanę kawy? - zapytałem.
- Zacznie pan odpowiadać na nasze pytania, to przyniesiemy panu kawę - odparł Champagne. - Do diabła, nawet całe śniadanie. Jak na razie nic konkretnego nie usłyszeliśmy.
- Uwierzcie, gdybym coś wiedział, od razu bym powiedział.
- W tej chwili zastępcy szeryfa oglądają pańskie chaty. W sumie ma pan ich sześć. Tak?
- Co to znaczy: oglądają chaty?
- Przewracają je do góry nogami, to chyba bliższe prawdy. Fakt, że zatrzymano pana z narkotykami w ciężarówce, aż nadto uzasadnia nakaz rewizji. Jak pan myśli, co tam znajdują?
- Tak wcześnie rano? Pewnie mnóstwo nieszczęśliwych właścicieli skuterów śnieżnych.
- Przykro nam. Nie sądzę, by to dobrze wpłynęło na pański interes.
- W porządku - powiedziałem. - Posłuchajcie, agenci Champagne i Urbanik, tak?
- Urbanik kiwnął głową.
- Champagne i Urbanik... - powtórzyłem. - To ładnie brzmi. Nie zdobyliście przypadkiem złotego medalu w tańcach na lodzie?
- Bardzo śmieszne - burknął Champagne. - Osobiście nie żartowałbym, gdybym siedział w areszcie oskarżony o posiadanie broni i narkotyków, no, ale taki jestem.
- Pozwólcie, że uporządkuję fakty - podjąłem. - Śledzicie mnie

od sześciu dni, zgadza się? Najpierw jeździliście tauru- sem, który zagrzebał się w śniegu, więc musiałem wam pomóc. – Spojrzałem na Mavena. – Słyszałeś kiedyś o czymś takim, szefie? Wyciągnąłem ich ze śniegu, żeby mogli nadal mnie śledzić.

Maven bez słowa przyglądał się agentom.

– A kiedy poinformowałem szeryfa, że ktoś mnie śledzi... – Urwałem. Do głowy przyszło mi kilka myśli naraz. Żadna mi się nie spodobała. – Zwodził mnie, bo pewnie mu kazaliście.

Champagne potarł dłońmi. Urbanik siedział bez ruchu. Maven przyglądał się im z kamienną twarzą.

– Nie przyszlście do mnie i nie przedstawiliście się – mówiłem dalej. – Tylko ciągle się za mną włóczyliście. Tym razem dżipem z napędem na cztery koła. Ale w tym samym pomysłowym przebraniu. W czapkach uszatkach naprawdę wam do twarzy.

– Panie McKnight...

– A wszystko dlatego, że waszym zdaniem miałem coś wspólnego ze zniknięciem Dorothy. Oraz, niech zgadnę, z tą białą torbą, którą ze sobą miała.

To ich wyprostowało.

– Co pan wie o białej torbie? – odezwał się po raz pierwszy agent Urbanik.

– Tylko tyle, że Bruckman jej szukał.

– Kiedy pan widział białą torbę? – zapytał Champagne.

– W piątek wieczorem. Następnego dnia rano nie było ani Dorothy, ani torby.

– Tak po prostu. – Champagne pstryknął palcami. – Puf! I zniknęła.

– Tak jest. Ktoś ją porwał. Myślałem, że Bruckman, ale się myliłem.

– A więc pan nie wie, kto.

– Nie.

– Ani tego, kto wziął torbę.

– Niestety.

– Niewiele nam to daje, co? – Champagne powiódł wzrokiem od partnera do Mavena.

Maven obserwował nas, zachowując absolutny bezruch.

- Gdybyście do mnie przyszli przed wczorajszym wieczorem, nie pojechałbym pogadać z Bruckmanem - powiedziałem. - Mielibyście go teraz i jemu zadawalibyście te wszystkie pytania.

- Mówił pan, że spotkał się z nim w Kanadzie.

- Nie spotkałem się z nim - skorygowałem. - Znalazłem go. To znaczy Leon znalazł. Ale mogliście zaangażować do tej sprawy Kanadyjską Policję Konną. Jestem pewien, że już wcześniej z nimi współpracowaliście.

- Dlaczego pan sądzi, że już nie współpracujemy?

Krótko się nad tym zastanowiłem.

- Zaraz, zaraz... Wy śledziliście do mostu, a potem przejęli mnie Konni, tak?

- Ajak pan myśli?

- No jasne, że tak - stwierdziłem, widząc ich miny. - Co oznacza, że pojechali za nami do baru. Co oznacza... - Odtworzyłem w myślach przebieg wydarzeń. Bruckman i ja w łazience. Jego chłopcy przy stole bilardowym. Wybucho bójka. Wychodzę, widzę, co się dzieje, przepycham się przez salę, otwieramy z Leonem drzwi i spotykamy jednego z kumpli Bruckmana. Przyszedł z dworu! - Podłożył mi narkotyki. Kiedy zaczęli się bić, wyszedł i wsadził torebkę do szoferki. Żeby mnie załatwić. A potem, niech zgadnę, zadzwonili na most? - Nikt się nie odezwał. - Tak było, co? Celnicy dostali anonimowe zgłoszenie? Na pewno. Czekali na mnie.

Champagne nie odrywał ode mnie wzroku. Urbanik skrzywił się i spojrzał w bok. A Maven...

Znałem ten wyraz twarzy. Patrzył na agentów z taką miną, z jaką zawsze patrzył na mnie. Mrużył oczy, lewe bardziej. Usta miał mocno zaciśnięte, jakby odgryzał główkę gwoźdźca. To był najbardziej przerażający twardy gliniarz, jakiego w życiu widziałem, ale w tej chwili ten widok mnie ucieszył. Dał mi szczyptę nadziei.

- Skoro Konni obserwowali bar, to musieli widzieć, jak tamten podkłada narkotyki. Mam rację?

Champagne westchnął głośno.

- Na miejscu byli Konni, to prawda. I rzeczywiście widzieli osobnika, który wyszedł z baru i otworzył drzwi pańskiej ciężarówki. Ale to nie jest równoznaczne z podłożeniem narkotyków.

Maven walnął dłonią o stół.

- Do diabła, a według was, co robił? Zostawiał mu miętówkę na siedzeniu?

- Szefie... - Champagne podniósł dłonie, jakby uspokajał dziecko. - Bardzo proszę.

- Odpieprz się. Kiedy zamierzaliście mnie poinformować, że w sprawę są zaangażowani Kanadyjczycy?

- Możemy porozmawiać o tym na osobności? - zapytał Champagne.

- Nie, porozmawiamy tutaj - oznajmił Maven. - Przyjechaliście do nas, szukając Bruckmana i torby z prochami. Chodźcie po moim biurze, jakby do was należało, komenderujecie moimi ludźmi, rozmawiacie przez telefon o „piłkę”. - Uniósł do ucha wyimaginowaną słuchawkę. - „Tak jest, sir, zbliżamy się do piłki, sir. W każdej chwili będziemy mieli Bruckmana i piłkę”.

- Piłkę? - powtórzyłem. - Chłopaki, naprawdę tak to nazwaliście?

- Zamknij się, McKnight, albo wrócisz do celi! - ryknął Maven.

- Przepraszam. Mów dalej, szefie.

- Bóg wie, ile razy mogliście go złapać - ciągnął Maven. - Ale nie, musicie czekać, aż będziecie całkowicie pewni, że to właściwy facet i że ma przy sobie prochy. „Nie możemy zapuszkować gościa bez piłki w rękach”. Tak? Ile razy to powtarzaliście? Więc oczywiście Parrish zabiera torbę z mieszkania i idzie zobaczyć się z McKnightem. A wy dwaj kręcicie się jak idioci, rozdzielacie się, jeden próbuje śledzić Bruckmana, drugi kobietę. I nawet wtedy nie zaczynacie akcji, bo wasz chłopak już nie trzyma piłki. Następnego dnia rano Dorothy znika. Bóg wie, gdzie ona jest. Uciekła albo porwał ją nie wiadomo kto. Teraz McKnight biega jak idiota, próbując się dowiedzieć, gdzie się podziała. A wy co robicie, chłopaki? Zaczynacie go śledzić! -

Pokazał na mnie. –Jakby ten osioł miał was zaprowadzić do piłki!

Kiwnięciem głowy wyraziłem mu wdzięczność; nie ośmieliłem się odezwać.

– Przez ile dni go śledzicie? – drażył Maven. – Przez sześć? Najtępszy człowiek na całej planecie, a wystarczy mu niecały dzień, żeby się zorientować, że ktoś siedzi mu na ogonie. – Maven przerwał, aby podkreślić te słowa, po czym następane zdanie wygłosił tonem kata, który swoją pracę lubi odrobinę za bardzo. – McKnight nawet wyciąga was z zasy, w którą wpadliście podczas swojej tajnej misji.

– Posuwasz się za daleko, Maven – ostrzegł Champagne.

– Ale nadal mam z wami współpracować? Chociaż słowem nie wspomnieliście o Kanadyjskiej Policji Konnej, o podłożeniu prochów ani o reszcie tego gówna?

Umilkł, by zaczerpnąć oddech. Champagne wyglądał, jakby chciał zabić mnie, Mavena albo nas obu. Urbanikowi chyba zrobiło się niedobrze.

– Czy przynajmniej w Kanadzie złapali Bruckmana? – zapytał Maven.

– Nie – wymamrotał Champagne.

– Nie? – powtórzył głośno Maven.

– Na miejscu było dwóch funkcjonariuszy w cywilu. Potem przyjechali policjanci, żeby rozdzielić bijących się mężczyzn.

Funkcjonariusze chcieli aresztować Bruckmana, ale on... hm... uciekł przez okno w toalecie.

Uniosłem dłoń.

– Chyba podsunąłem mu ten pomysł. Przepraszam.

– Na podłodze było mnóstwo krwi – ciągnął Champagne.

– Miał złamany nos. To też moja sprawka – oznajmiłem.

– Zatrzymaliśmy za to dwóch jego przyjaciół – dodał agent.

– No to idźcie z nimi pogadać – poradził Maven. – Dlaczego marnujecie nasz czas tutaj?

– Szefie... – zaczął spokojnie Champagne. – Myślę, że wykazałem wielką cierpliwość i opanowanie. Ten człowiek został za-

trzymany na granicy państwa z narkotykami i naładowaną bronią w pojeździe. Jeśli nie będziesz z nami współpracował, zajmiemy się tym sami.

Maven patrzył na niego przez długą, straszną chwilę. Gdybym nie był taki zmęczony, obolały i przerażony, współczułbym biedakowi. DEA ma w Detroit biuro okręgowe, więc poznałem kilku agentów, kiedy pracowałem w tamtejszej policji. Byli dobrzy. I doskonale o tym wiedzieli. Czasem woda sodowa uderzała im do głowy i stawali się troszkę zbyt aroganccy w kontaktach z miejscową policją. A to działo się w wielkim mieście. Bóg wie, jak będą odnosić się do szefa policji w małym miasteczku na zapadłej prowincji, który ma kilku podwładnych i dzieli gmach z biurem szeryfa.

Maven mnie nie znosił. To pewne. Ale o ile bardziej zaczną go wkurzać dwaj przemądrzały agenci DEA, którzy traktują go jak buraka?

- McKnight, sędzia zjawi się tutaj o dziewiątej. Kiedy sformułuje oskarżenie, poproszę prokuratora okręgowego o wycofanie zarzutów.

O tyle bardziej.

- Co ty wyprawiasz? - zapytał Champagne.

- Ajak ci się zdaje? - odparł Maven. - Wywalam go stąd.

- Nie możesz.

- Czyżby? W torebce przewoził niecały gram, więc to wykroczenie. Ma pozwolenie na broń, tylko nie zgłosił jej przy przekraczaniu granicy. To też wykroczenie. A wykroczeniami na moście zajmuje się miasto.

Champagne wycelował w niego prawy palec wskazujący. Następny błyskotliwy pomysł.

- Popelniasz wielki błąd - oznajmił.

- Zrób to jeszcze raz, a oderwę ci palec - ostrzegł Maven.

- Tak tu pracujecie? Tak kierujesz policją?

- Wybaczcie, chłopcy - wtrąciłem. - Szefie, powiedziałeś, że mogę iść, tak?

- Spadaj, tylko o dziewiątej staw się w sądzie.

Champagne wstał i kopniakiem przewrócił krzesło.

- Na tym nie koniec, McKnight. - Zbliżył twarz ku mojej. - Będę cię miał na oku.

- Proszę bardzo. Oby spodobało się panu śledzenie faceta, który odgarnia śnieg, rąbie drzewo i pije piwo. Bo nic innego pan nie zobaczy.

Stał, pewnie próbując wymyślić następną kwestię twardziela.

- Jeśli pozwolicie - dodałem. - Muszę odetchnąć świeżym powietrzem.

Obszedłem agenta i ruszyłem do drzwi. Zatrzymałem się tylko po to, żeby zasalutować mojemu nowemu kumplowi, Mavenowi.

Rozdział 16

MIAŁEM DWIE GODZINY DO ZABICIA przed rozprawą w sądzie, więc przeszedłem się po Water Street w zimowym świetle, w którym wszystko wygląda szaro i nieostro. Padał ciężki i wilgotny śnieg. Po dziesięciu minutach ramiona otulał mi biały szal.

Wstąpiłem do malej restauracji kolo Locks Park. Służcy były zamknięte, ale właściciele skuterów śnieżnych i miejscowi na tyle często odwiedzali lokal, że opłacało się go prowadzić także zimą. Usiadłem w boksie z gazetą i filiżanką kawy. Czekałem, aż mi przyniosą jajka, bekon, kiełbaski i wszystko, co jeszcze się zmieści na talerzu.

Zadzwoiłem pod numer domowy Leona i zostawiłem mu wiadomość. Dwie minuty później wpadł do restauracji.

- Zona dała mi znać na pager - wysapał, zdejmując płaszcz. - Boże, strasznie wyglądasz.

- Byłeś w pracy? - zapytałem.

- Tak, nie mogę długo zostać. Chcę tylko się dowiedzieć, co się dzieje.

Opowiedziałem mu całą historię, zaczynając od wydarzeń na moście.

- Zostawili ci uroczy prezencik - skomentował.

- Pamiątkę z naszej wizyty w barze - odparłem. - To świadczy o ich wielkiej życzliwości.

- Mogli cię naprawdę załatwić.

- Powinni podłożyć pełny gram, wtedy rzeczywiście bym się nie wykręcił. Ale najwyraźniej żal im się rozstawać z większą ilością.

- Ha, pewnie masz rację.

- Jak zobaczysz tu dwóch facetów w myśliwskich czapkach, lepiej się schowaj - poradziłem.

- Maven naprawdę puścił cię wolno?
- Zarzuty zostaną wycofane o dziewiętej - odparłem. - Mam nadzieję, że do tego czasu nie wróci mu rozsądek.
- Więc to federalni cię śledzili. Powinienem się domyślić.
- Byłem przekonany, że to ludzie Molinova. Ci dwaj, o których mówił Bruckman.
- Molinov. - Leon powtórzył to nazwisko kilka razy, kiedy kelnerka stawiała przede mną śniadanie.
- Pewnie Rosjanin - powiedziałem.
- Raczej tak. Sprawdzę.
- Gdzie?
- W Internecie jest wszystko.
- Uśmiechnąłem się, kręcąc głową.
- Prywatny detektyw musi mieć komputer. A jak nie on, to w ostateczności jego partner - dodał.
- Przestałem jeść i spojrzałem na niego.
- Powiedziałem agentom, że jesteś moim partnerem, Leon. Mówiłem poważnie.
- Bardzo się cieszę.
- Ale to jedyna sprawa, nad którą będziemy pracować. I wydaje mi się, że niedługo się skończy.
- Alex, tworzymy wspaniały zespół...
- To małe miasteczko. Niewiele się tu dzieje. A w razie czego, sam sobie poradzisz. Popatrz, ile teraz zrobiłeś... znalazłeś Bruckmana. Jesteś prawdziwym prywatnym detektywem, Leon, ja nie. I nie chcę nim być.
- Myślę, że znowu powinniśmy poszukać drania. On dwa razy cię załatwił. Nie kręci cię, żeby wyrównać rachunki? Może więcej nam powie na temat Molinova.
- Nie sądzę, żebyśmy jeszcze coś z niego wycisnęli. - Pokręciłem głową. - Tym razem pewnie nie wyszlibyśmy z tego żywi.
- Alex, jeśli będę musiał do końca życia zimą sprzedawać skutery śnieżne i motory latem, to oszaleję. Nie zamykaj tej sprawy ostatecznie, dobra? Poczekaj kilka dni, zobaczymy.
- W porządku - mruknąłem. Nie miałem ochoty się z nim

sprzeczać.

- Dobra. Wracam do pracy. Dam ci znać, jeśli znajdę coś o Molinovie. - Wstał, zapiął kurtkę i wyszedł. Kiedy mijał okno, pokazał mi uniesione kciuki.

Siedziałem i obserwowałem śnieg. Potem zapłaciłem i wyszedłem. Ruszyłem prosto do sądu, osłaniając twarz przed wiatrem. Przede mną do budynku wszedł Bill Brandów, ale zanim znalazłem się w holu, zniknął już w swoim gabinecie.

Zapytałem recepcjonistkę, czy szeryf jest wolny. Podniosła słuchawkę i zamieniła z nim kilka zdań, później spojrzała na mnie.

- Pańska godność?

- Jestem królem narkotyków, którego wszyscy szukają - odparłem.

- Rozumiem - oznajmiła poważnie, nawet bez mrugnięcia okiem. Powtórzyła moje słowa Brandowowi. - Szeryf pana przyjmie.

- Dziękuję.

Otworzyłem drzwi. Brandów za biurkiem czytał gazetę.

- Za każdym razem, kiedy tu wchodzisz, wnosisz tyle śniegu, że można by ulepić bałwana. A przy okazji, wyglądasz strasznie - powiedział.

- Dlaczego mnie nie poinformowałeś, że ci faceci to agenci DEA? - zapytałem.

Odłożył gazetę.

- Prosimi, żebym cię zwodził. Wierz mi, nie byłem z tego powodu szczęśliwy.

- Nie mają nad tobą żadnej władzy. Szeryfa wybierają mieszkańcy.

- Poprosili mnie o tydzień, Alex. Mówiłem, że śledzenie ciebie to strata czasu. Ale daj spokój, to agenci federalni. Byłeś w policji, sam wiesz, jak to jest. W gruncie rzeczy nie miałem wyboru.

- Jasne - burknąłem. - Dlatego wysłałeś swoich zastępców, żeby dzisiaj rano przeszukali chaty.

- Mogłem pozwolić, żeby wezwali własnych ludzi, Alex. Roznieśliby domki na kawałki. Uznałem, że nasi postąpią delikatniej.

- Doceniam gest. Przypomnij mi, żebyśmy zapłacił, jak wybierzemy się do baru.

- Tylko raz byliśmy na piwie. Trudno powiedzieć, że jesteśmy najlepszymi kumplami.

- Fakt - zgodziłem się. - I nigdy nie będziemy. Ponieważ ja nie jestem stąd, tak? Nie urodziłem się tutaj, nie wyrosłem tutaj. Nieważne, od jak dawna mieszkam w tej okolicy, dla ciebie zawsze pozostanę obcy, „zza mostu”. - Ten zwrot wicie razy słyszałem w barach w całym hrabstwie. W tym wypadku to most Mackinac, który rozdziela dwa półwyspy. W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, kiedy pracowałem jako gliniarz w Detroit, mnóstwo chłopców stąd mówiło o wysadzeniu tego mostu. Śmiertelnie się bali, że wszyscy tu przyjedziemy i zniszczymy Upper Peninsula.

- Jeszcze jeden dzień i kazałbym, żeby się ujawnili. Jeśli to ci się nie podoba, trudno.

- Co za poranek. Zawsze myślałem, że ty jesteś dobrym facetem, a Maven złym. Ale to ty padasz na kolana przed tymi pajacami, a on im mówi, żeby się pieprzyli.

Brandów splótł ręce i spojrzał na mnie.

- Skończyłeś?

- Tak. Do zobaczenia.

Wróciłem do holu. Przez kilka minut krążyłem koło recepcji, usiłując poukładać sobie wszystko w głowie. Na próżno. O dziewiątej stawilem się na sali rozpraw. Sędzia uwolnił mnie od zarzutów. Byłoby lepiej, gdyby Champagne i Urbanik też to słyszeli, ale chyba za wiele wymagałem od życia. Po skończonej rozprawie poszedłem poszukać ciężarówki. W końcu znalazłem ją na parkingu za gmachem policji. Poprosiłem o kluczyki. Po kilku minutach funkcjonariuszowi udało się je wygrzebać. Kiedy otworzyłem szoferkę, wewnętrzny panel drzwi wypadł na śnieg. Rozebrali wszystko, co się dało, żeby sprawdzić, czy nigdzie nie

ma ukrytych narkotyków. Nie zadali sobie trudu, żeby cokolwiek zamontować z powrotem.

Wrzuciłem panel na siedzenie i odpaliłem silnik. Później zajmę się montowaniem. Teraz chciałem stąd spadać w diabły.

Słońce próbowało świecić, kiedy wyjechałem z Sault Ste. Marie, ale przegrywało bitwę. Zanim dotarłem do Raju, chmury wróciły. Na parkingu przed motelem nie widziałem samochodu agentów. Fatalnie. Ciekawe, jaką rozrywkę sobie znajdą teraz, kiedy nie mogą mnie śledzić?

A może jednak? To by mnie nie zdziwiło, chociaż wiedziałem, że nie jechali za mną z sądu. Niewykluczone, że wzięli sobie wolny dzień i od jutra zaczną na nowo.

Na drodze dojazdowej opuściłem pług i zepchnąłem na boki kilkanaście centymetrów śniegu, który napadał w nocy. Przed chatą Vinniego stał jego samochód, na przedniej szybie leżała warstewka śniegu gruba najwyżej na trzy centymetry; a więc miał nocną zmianę w kasynie i do domu wrócił o świcie. Co za błyskotliwa dedukcja! Odgarnąłem śnieg z jego podjazdu aż do miejsca, gdzie stał samochód, potem przez kilka sekund naciskałem klakson. Byłem zmęczony, obolały i nieszczęśliwy. Chciałem, żeby ktoś o tym wiedział.

Kiedy otworzyłem drzwi swojej chaty, stałem w progu dobrą minutę i zbierałem siły, żeby wejść do środka. Tego już za wiele, pomyślałem. Człowiek nie powinien dwa razy w tygodniu oglądać demolki we własnym domu. Każda szuflada była otwarta, każdy najmniejszy przedmiot wyrzucony na podłogę. Przynajmniej niczego nie stłukli ani nie pocięli mebli jak wtedy Bruckman. Albo nie, tego chyba jednak nie zrobił Bruckman, tylko ci, co pracują dla Molinova. Kimkolwiek on jest, do diabła.

Rozpaliłem w piecu i posprzątałem na tyle, żeby dało się mieszkać. Nie miałem ochoty oglądać pozostałych chat, ale wiedziałem, że nie zdołam się odprężyć, dopóki tego nie zrobię. Włożyłem kurtkę, wsiałem do ciężarówki i pojechałem do drugiej chaty oddalonej o czterysta metrów.

Potraktowano ją tak samo. Wszystko pootwierane, rzeczy roz-

walone. Uprzątnięcie bałaganu zajęło mi tylko pół godziny, bo nikt tu nie mieszkał.

Stałem i patrzyłem na łóżko, w którym spała Dorothy. Rury pewnie nadal są zamrożone, pomyślałem. Trzeba przykleić nogę do stołu. Do diabła, zrobię to później. Teraz nie zostanę tu ani minuty dłużej. Nie zniósłbym tego.

Trzecia chata także była oddalona o czterysta metrów. Ojciec zbudował ją w 1970 roku na wzniesieniu, przez co wydaje się wyższa od pozostałych. Jest obszerniejsza od pierwszych dwóch i ma ganek, z którego przez drzewa widać jezioro Superior. Budując ją, ojciec wiedział więcej o hydraulice i rury nie zamarzają, jeśli temperatura nie spada poniżej minus trzydziestu. Doprowadziłem wewnątrz do porządku i pojechałem dalej. Ojca zmęczyło kopanie nowej studni dla każdej chaty, dlatego czwarta i piąta położone są obok siebie i mają wspólne ujęcie wody. W sumie mogą pomieścić dwadzieścia osób, a jeśli paczka jest zgrana, to i trochę więcej.

W szóstej i ostatniej chacie też zobaczyłem bałagan i pustkę. Wszyscy lokatorzy wyjechali. Nie podejrzewałem, żeby któryś przysłał mi pieniądze. W gruncie rzeczy nie mogłem mieć do nich pretensji. Gdyby mnie obudzili agenci federalni, żeby przeszukać lokal, który wynająłem, też posłałbym właściciela do diabła.

Jedyną pociechą jest to, pomyślałem, że przez jakiś czas po okolicy będzie szaleć mniej skuterów śnieżnych.

Ale zaraz. Na stole leżała koperta. Otworzyłem ją i w środku zobaczyłem trzy studolarowe banknoty. Benjamin Franklin, najlepszy przyjaciel Leona. Uśmiechnąłem się mimowolnie.

Posprzątałem i stałem chwilę, rozglądając się po pokoju. To ostatnia chata, którą zbudował ojciec, największa i najlepsza.

Miała prawdziwą kuchnię z własnym piecem, a także piętorko z balkonem nad największym pokojem. Kominek został zrobiony z kamieni, które ojciec musiał usunąć przy wcześniejszych budowach. Znów poczułem się jak człowiek, więc zdecydowałem zostać tu najakiś czas. Przyniosłem drewno i rozpałiłem ogień.

W kuchni znalazłem puszkę dobrej kawy. Zaparzyłem ją i z kubkiem w dłoni wygodnie rozsiadłem się na kanapie. Patrzyłem na śnieg. Ciepło ognia było cudowne. W niecałą minutę zapadłem w drzemkę. Znowu ślizgałem się po śniegu za skutermem Bruckmana.

Błyskawicznie zbliżające się drzewo. Nie ominę go. Uderzę w pień.

Wstrząs. Donośny odgłos jak huk wystrzału.

Wyprostowałem się, w sekundzie przytomniejąc. Drzwi się otworzyły i do środka wszedł Vinnie.

- Och, ty - wymamrotałem. - Obudziłeś mnie.

- A kto godzinę temu trąbił jak szalony na moim podjeździe?

- Mówiłeś kiedyś, że Indianie potrzebują tylko trzech godzin snu.

- Nigdy czegoś takiego nie powiedziałem.

- No to ktoś inny.

- Sprzątasz po szeryfach? - Rozejrzał się po pokoju.

- Tak. Widziałeś ich dzisiaj rano?

- Kończyli, kiedy wróciłem do domu. Wpadli do mnie i zadali kilka pytań.

- Żartujesz.

- Powiedziałem im, że od lat jesteś szefem sporej siatki narkotykowej. Najwyższy czas, żeby cię zapuszkowali.

- Dość tego. Więcej gratisów nie dostaniesz - powiedziałem.

- Przyniosłem ci piwo. - W dłoniach Vinniego zaszczękały butelki. - Przepraszam, amerykańskie. - Dał mi jedną, otworzył drugą i przysunął sobie krzesło.

- Dzięki.

- Domyślałem się, że masz ciężki dzień. Boże, wyglądasz strasznie.

- Jeszcze raz dziękuję. Zaraz, ty pijesz piwo? - zdziwiłem się.

- Bezalkoholowe. - Vinnie uniósł butelkę. - Parę lat temu spróbowałem. Uznałem, że czas znów posmakować. Może się poprawiło.

- I co?

- Chyba potrzebują jeszcze paru lat. - Usiłował wepchnąć kapsel na szyjkę, ale mu się nie udało. - A teraz co? Już jej nie szukasz?

- Właściwie nie - odparłem. - Nie mam pomysłu, gdzie jeszcze się rozglądać. Dlaczego pytasz?

- Po prostu zastanawiam się, z jakiego powodu zadałeś sobie tyle trudu. Znałeś Dorothy tylko jeden wieczór.

- Vinnie, porwano ją i to moja wina. - Głowa zaczęła mnie boleć od samej konieczności wypowiedzenia tych słów. - Przyszła prosić o pomoc, aja spieprzyłem sprawę. Czego oczekujesz, że po prostu o tym zapomnę?

- Miała kłopoty na długo przedtem, zanim zwróciła się do ciebie.

- Tak, wiem - odparłem. - Wybrała własną ścieżkę. Krok po kroku. Znowu to samo gównu.

- W porządku. Nie wracajmy do tego.

- Ty zacząłeś.

- Przepraszam - powiedział Vinnie. - Ale chodzi o to...

- O co?

- Zadręczasz się tym. A to nie twoja wina. Niezależnie od tego, co myślisz. I tyle.

- Dobra. - Machnąłem ręką.

- Dobra.

Zapanowało milczenie. Patrzeliśmy, jak ogień dogasa na kominku.

- Alex, to najlepsza pieprzona chata, jaką w życiu widziałem - odezwał się wreszcie Vinnie. - Twój ojciec był geniuszem.

- Całkiem dobrze sobie radził.

- Kiedyś mi ją sprzedasz?

- Przyjdź, jak będziesz miał milion.

- Po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiłem?

- Lepiej postaraj się o dwa miliony.

Dopiłem piwo. Vinnie pomógł mi dokładniej posprzątać. Nie byłem w stanie zamknąć za sobą drzwi tej chaty, jeśli nie panował w niej idealny porządek. Następnym powód, żebym

jednak w niej nie zamieszkał. Kiedy wyszliśmy na dwór, słońce podejmowało kolejną próbę przedarcia się przez chmury. Pojedynczyjasny snop jak reflektor wolno omiatał ośnieżone drzewa.

- Co będziesz teraz robił? - zapytał Vinnie.

Zastanowiłem się. Nie widziałem zbyt wielu możliwości.

- Zobaczę, co Jackie przygotował na obiad. Poczytam gazetę - odparłem.

- Nie masz dość tej knajpy? Mnie cholernie się znudziła.

- Zawsze mogę zostać w domu. Ale tam przynajmniej mogę komuś podokuczać.

- Zajmij mi miejsce przy kominku. Wpadnę później.

Pojechałem do Glasgow Inn. Masz swoje cudowne życie, mówiłem sobie. Chatę, bar i śnieg po pas. Kiedy wszedłem do knajpy, Jackie spojrzał na mnie i skrzywił się mocno.

- Wyglądasz strasznie.

- W tej kwestii panuje powszechna zgoda - odparłem.

Resztę dnia spędziłem w barze. Nic nie mogłem zrobić dla

Dorothy. Dzięki uprzejmości agentów nie miałem nawet lokatorów. Siedziałem sobie przy kominku, czując się prawie normalnie poza tym, że wszystko mnie bolało. Wyprawa do toalety zajęła mi pięć minut.

Po zachodzie słońca lokal zaczął się zapęlniać. Właściciele skuterów śnieżnych opuszczali szlaki; twarze mieli czerwone od mrozu.

Rozmawiali o swoich pojazdach i o tym, dokąd wybiorą się jutro. Ktoś obok mnie zapalił papierosa.

Zapach dymu.

Na dworze mrok. Głosy mężczyzn w sali.

Wszystko do mnie wróciło. Wieczór, kiedy ona tu była. Siedziałem w tym samym fotelu. Rozmawialiśmy. Przypomniałem sobie jej wzrok utkwiony w płomieniach.

Tak bardzo się bała.

Teraz ta myśl jest jak cios w żołądek. Sam to czuję.

Tak bardzo się bała.

Sądziłem, że boi się Bruckmana, chłopaka, od którego uciekła.
Zwykła historia.

Ale nie.

Bruckman nic nie znaczył.

Chodziło o Molinova. Tamtego wieczoru nawet nie znałem jego nazwiska, nie wiedziałem, że ktoś taki istnieje. Ale teraz nagle już wszystko rozumiem. Ta świadomość spływa po kręgosłupie prosto w trzewia.

Co Dorothy mówiła o wilkach? Strzelasz do tego, który jest najbliżej twoich drzwi. Ale za nim są inne, większe, z potężniejszymi zębami.

Molinov był większym wilkiem. Od samego początku Dorothy bała się Molinova.

A teraz on ją złapał.

Rozdział 17

ALEX. - Głos dobiegał z bardzo daleka.

Wróciłem. Byłem w Glasgow Inn, siedziałem przed kominkiem.

- Witamy na planecie Ziemia - zagaił Jackie. - Chcesz kolację czy nie?

- Potrzebny mi telefon - odparłem. - Możesz mi przynieść?

- Dlatego mam bezprzewodowy - mruzczał, idąc za bar. - Żebyś nie musiał ruszać się z fotela.

Położył słuchawkę na stoliku obok mnie.

- Wasza wysokość... - Ukłonił się.

- Dziękuję. Możesz odejść.

Jackie pokręcił głową.

- Nie wierzę, że to robię - powiedziałem na głos, wystukując numer.

Odebrał dyżurny.

- Czy Maven jest w biurze?

- Zaraz wyjdzie - odrzekł funkcjonariusz. - A kto mówi?

- Alex McKnight.

Usłyszałem stłumione głosy, potem odezwał się Maven:

- Czego chcesz, McKnight?

- Szefie, dzwonię, żeby jeszcze raz ci podziękować.

- Akurat, do diabła. Mów, o co chodzi. Jadę do domu na kolację.

- Chcę rozmawiać z agentem Urbanikiem. Możesz mu przekazać, żeby do mnie zadzwonił?

- Co ja jestem, twoja sekretarka?

- Uznałem, że będziesz wiedział, jak się z nim skontaktować - wyjaśniłem. - Wygląda na to, że wyjechali z miasta.

- Dobra, dobra. Powiem, żeby do ciebie zadzwonili. Niech zgadnę, jesteś w Glasgow Inn.

- Nie chcę rozmawiać z Champagnem, tylko z Urbanikiem. Słyszałem, jak Maven mruczy coś pod nosem.
- Jeszcze coś dla ciebie zrobić, McKnight? Na przykład odśnieżyć twój podjazd?
- Nie, dziękuję, mam pług. Aha, skoro załatwiasz wycofanie zarzutów u prokuratora, może wycofasz też Vinnemu oskarżenie o napaść?
- Dziś ten funkcjonariusz wrócił do pracy - oznajmił Maven. - Wygląda prawie tak źle jak ty. Dobranoc.
- Dobranoc, szefie - odparłem, ale już się rozłączył. Telefon zadzwonił po niecałych dwóch minutach.
- McKnight - rzuciłem do słuchawki.
- Mówi Champagne.
- Chciałem rozmawiać z twoim partnerem.
- Ale porozmawiasz ze mną.
- Tylko tak ci się wydaje. - Rozłączyłem się. Minutę później telefon znowu znów zabrzączał.
- Mówi Urbanik. Co się dzieje, do diabła?
- Chciałem pogadać z tobą, bo przynajmniej w połowie wydajesz się człowiekiem.
- Więc gadaj.
- Opowiedz mi o Molinovie.
- Po co?
- Bo to on pował Dorothy. Musimy go znaleźć.
- Kim są „my”, panie McKnight?
- Ty, ja, nieważne. Niech to szlag, Urbanik. Gdybyś widział, jak przerażona była tamtego wieczoru...
- Pracujemy nad tym.
- Nie pracujecie. Szukacie głupiej torby. Wiem, jak działać.
- Torba należy do Molinova - powiedział Urbanik. - Znajdziemy torbę, znajdziemy człowieka. Znajdziemy człowieka, znajdziemy Dorothy. Mam rację?
- Nie wiem. Chyba. - Zawahałem się. - Jak masz na imię? Wołałbym nie zwracać się do ciebie ciągle per „agencie Urbanik” .

- John.
- Dobra, John. John Urbanik. To niemieckie nazwisko?
- Polskie.
- John, musisz mi wyjaśnić, co się dzieje. Kim jest ten Molinov?

W słuchawce zapadła cisza. Nasłuchiwałem, wpatrując się w ogień.

- Niewiele o nim wiemy - odezwał się wreszcie. - Rosyjskie nazwisko... ale czy prawdziwe? Nikt faceta nigdy nie widział, w każdym razie nie w Ameryce.

- Bruckman twierdzi, że ukradł mu torbę w New Jersey.

- Słyszeliśmy o tym. Od dwóch miesięcy próbujemy złapać Bruckmana. Chcieliśmy go aresztować w zeszłym tygodniu, ale nie wiedzieliśmy, gdzie jest torba.

- Piłka - poprawiłem.

- Tak mówi mój partner. Lubi używać szyfru.

- Co jest w torbie?

- Metylokatynon. Syntetyczny stymulant, podobny do metamfetaminy.

- Speed.

- Takjakby, może gorszy. Nazywają go „kotem” albo „dzikim kotem”, jeśli ma domieszkę cracku. Po zażyciu powoduje nagły przypływ energii, ale wychodzenie z niego jest trudne. Paranoja, halucynacje. Czasami udary.

- A ten proszek w mojej ciężarówce nie pochodził z torby?

- Nie. To była staroświecka kokaina. Nawet niezbyt dobra. Zal im było porządnego towaru, żeby cię zrobić.

- Skoro Dorothy wzięta torbę, musi im brakować tego... zaraz, jak to nazywają... „dziki kot”?

- Tak, śmiesznie brzmi, ale uwierz, te prochy są zabójcze. Od lat zbierają żniwo w Rosji.

- Prochy pochodzą z Rosji, więc Molinov...

- Mhm. Wygląda na to, że testuje rynek, sprawdza, czy można otworzyć małą firmę importową.

- A ci dwaj, co dla niego pracują, Pearl i Roman?

- Zabiłeś mi ćwieka.

- Co ona zrobiła? Dlaczego zabrała torbę? Powinna po prostu uciec.

- I o tym chcielibyśmy z nią porozmawiać. Wiemy, że w piątek wieczorem przysłała do ciebie. W sobotę nie mieliśmy ani Bruckmana, ani Dorothy. Został nam tylko Alex McKnight. Rozumiesz, dlaczego się tobą zainteresowaliśmy.

- Chyba tak. Byłem waszym jedynym śladem.

- Przykro mi z tego powodu... cóż, dla ciebie cała sprawa okazała się dość niemiła.

- John, z istoty w połowie ludzkiej awansujesz na prawie ludzką.

- Nie miałeś z tym nic wspólnego. Taka jest prawda. To stało się dla mnie jasne, kiedy cię przesłuchaliśmy.

- Powinieneś zrobić coś ze swoim partnerem - poradziłem. - Kazać mu się zamknąć.

- Lepiej sobie radzi z winnymi. A możesz mi wierzyć, prawie zawsze są winni.

- John, nie orientujesz się, gdzie teraz jest Molinov? Albo faceci, którzy dla niego pracują?

- Nie mam pojęcia. Ale skoro odzyskali torbę, to chybajasz, że nie zostali tutaj.

- A jeśli Dorothy jest u niego?

Znowu zapadła cisza. Straszna cisza, zanim Urbanik ujął w słowa to, co już wiedziałem.

- No to znalazła się w sytuacji nie do pozazdroszczenia - stwierdził.

Zacisnąłem palce na słuchawce.

- Alex, jesteś tam?

- Jestem.

- Kanadyjska Policja Konna szuka Bruckmana. Od niego spróbujemy trafić do Molinova w New Jersey czy gdziekolwiek teraz jest. Od samego początku nie miałeś z tym nic wspólnego, prawda?

Milczałem.

- Alex?

- Tak.

- Dobra, więc teraz pozwól nam zrobić wszystko, co w naszej mocy. Daj sobie z tym spokój.

- Jasne - wymamrotałem.

- Zostań w domu i trzymaj się ciepło. Jeśli czegoś się dowiemy, dam ci znać. Na razie trzymaj się z daleka. Nie mam pojęcia, jak zareaguje mój partner, kiedy się dowie, że wszystko ci powiedziałem.

- To znaczy, że nie stoi obok ciebie i nie słucha?

- Nie, kazałem mu czekać w sąsiednim pokoju. Wydaje mi się, że drze załony.

- Przyślij mi rachunek.

- Uważaj na o siebie, Alex.

Pożegnałem się i rozłączyłem.

„Daj sobie z tym spokój”, powiedział Urbanik.

Wystukałem numer Leona.

- To Rosjanin - rzuciłem bez żadnych wstępów.

- Tyle sami się domyśliliśmy.

- Teraz wiemy na pewno. - Powtórzyłem mu wszystko, co mówił Urbanik, włącznie z puentą. - Przychodzą ci na myśl sposoby, jak go znaleźć?

- Nie, Alex, w każdym razie żaden, którego DEA nie zrealizowałby sto razy lepiej.

- Tak przypuszczałem. Przepraszam, nie powinienem zwracać ci głowy. Przekonałeś mnie, że potrafisz czynić cuda. Znalazłeś mieszkanie Bruckmana, potem jego samego...

- To był po prostu zdrowy rozsądek i ciężka praca - oznajmił Leon. - A jeśli chodzi o Molinova, nawet nie wiemy, od czego zacząć. Zresztą mówiłeś, że sprawa skończona. Czy się przestyszałem?

- Nie. Przepraszam, że zadzwoniłem.

- Wyluzuj. Jak coś wymyślę, zadzwonię do ciebie.

- Dzięki, Leon.

- Dobranoc, partnerze.

- Dobranoc, Leon.

Rozłączyłem się. Już nie miałem do kogo dzwonić, nie miałem nic do roboty.

Wstałem. Z drugiej strony sali Jackie spoglądał na mnie ze zdumieniem. Zapytał, czy istnieje możliwość, że dzisiaj wieczorem odzyska telefon.

Wyszedłem na dwór i natychmiast tego pożałowałem. Otuliłem się szczelniej kurtką, idąc w kierunku ciężarówki. Nie mogłem znieść myśli, że cały wieczór znowu spędzę w barze. Nie chciało mi się wracać do siebie. Zresztą lokatorów i tak nie było. Nie miałem pojęcia, co ze sobą zrobić.

Oszalejesz, pomyślałem. Będziesz się nad tym zastanawiał tak długo, aż doprowadzisz się do samobójstwa.

Wsiadłem do ciężarówki i ruszyłem. Nie wiedziałem, dokąd jadę. Oby tylko być w ruchu.

„Daj sobie z tym spokój”, tak powiedział. Dosłownie.

Z czystego przyzwyczajenia skierowałem się na wschód, do Soo. Może wpadnę do kasyna. Przekonamy się, ile forsy zdołam przegrać w blackjacka. Jest szczyt sezonu, a ja mam pięć wolnych chat na wynajem. Sprawdźmy, jak nisko mogę upaść.

- Już nic nie dasz rady zrobić. - Mój głos zabrzmiał mizernie na tle wycia ogrzewania i uderzeń zimnego wiatru o plastikową płachtę na oknie. - Zniknęli. Nie znajdziesz ich, stary.

Kiedy podejrzewałem Bruckmana, mogłem do niego dotrzeć. Miałem powody wierzyć, że wciąż gdzieś tu jest. Mogłem go odszukać. Ale Molinov, Pearl i Roman...? Co za absurdalne nazwiska. Jak z filmu o Jamesie Bondzie. Ci ludzie byli dla mnie duchami. Niewidzialnymi potworami kryjącymi się w ciemności nocy.

- Nie znajdziesz ich, stary - powtórzyłem.

Byłem teraz w Soo, jechałem 1-75 w kierunku mostu International.

Dlaczego jadę do Kanady? Co zamierzam tam zrobić? Znowu poszukać Bruckmana? Do czego mnie to doprowadzi?

Chcę do niego wrócić.

Nie, nie warto.

Tak, pragnę go znowu walnąć, tym razem gołymi rękami. Tak, aby poczuć jego brodę na swojej prawej pięści. Nic by się nie wydarzyło, gdyby nie sprowadził tu Dorothy.

To bez znaczenia. I tak nie zdołam go znaleźć. Na pewno nie siedzi w tamtym barze. No i jak przekroczyć granicę po tym, co zaszło ostatnim razem? Musi upłynąć trochę czasu.

Tuż przed mostem skręciłem z autostrady na Easterday Avenue, którą wjechałem w centrum miasta, mijając college. W hali sportowej trwał mecz hokejowy. Akurat przyjechała drużyna Alaska-Fairbanks, by zmierzyć się z miejscowymi Lakersami. Przebyli długą drogę, żeby zagrać w mieście równie mroźnym jak to, z którego wyjechali.

Hokej. Kolega Bruckmana z drużyny. Jak on się nazywał?

Jechałem dalej. Skręciłem w prawo na Spruce, potem znowu w prawo na Shunk Road. Teraz kierowałem się na południe, ku następnej hali sportowej. Big Bear Arena – tam graliśmy. Tam pierwszy raz zobaczyłem Bruckmana.

Jak się nazywał facet z jego drużyny?

Bruckman, z lufą przytkniętą do czoła, wspomniiał coś o kumplu, który widział, jak Dorothy pyta o mnie w knajpie. Gość zadzwonił do Bruckmana, zostawił wiadomość. Bruckman wrócił do domu, zobaczył wozy policyjne, zwał do Kanady. Nie odsłuchał nagrania z automatycznej sekretarki. Zadzwonił do kumpla parę dni później. Zapytał, co się dzieje. Tamten powiedział mu o Dorothy; od jej porwania minęły dwa dni. A więc Bruckman z całą pewnością nie maczał w tym palców. Ale co jeszcze? „Ześwirował”. Usłyszałem głos Bruckmana. Powiedział, że „dostaje paranoi, jakby mieli go dorwać”.

Oni. Może wiedział, kto go szuka.

Gobi. Nazywał się Gobi. Jak pustynia.

A co tam, do diabła, pomyślałem. Skręciłem na parking. Wyglądało na to, że w Big Bear wieczór wypełniony jest meczami. Stałem przed szklaną ścianą i przyglądałem się grze. To był także mecz ligi „wolnego krążka”, choć tym razem mieli

sędzię z prawdziwego zdarzenia. Poszedłem do szatni. Dwunastu graczy przebierało się do następnej rozrywki. Robili straszny hałas, więc musiałem wrzeszczeć.

- Hej! Ktoś zna faceta nazwiskiem Gobi?!

Od krzyku poczułem ból w żebrach.

Hokeiści znieruchomieli i spojrzeli na mnie. Jeden siedział na ławce i sznurował buty.

- Tylko nie mów, że zrobił ci to Gobi - powiedział.

- Co takiego? - zapytałem.

- Przefasonował twarz. Gobi to taki mały gnojek, który gra z Bruckmanem, tak?

- On mi tego nie zrobił - odparłem. Z siniakami i opatrunkami nad okiem łatwo podawać się za hokeistę. - Szukam go.

- Nie widziałem faceta od zeszłego tygodnia. Drużyna Bruckmana chyba wypadła z ligi.

- Szkoda - wtrącił ktoś.

- Wiesz, gdzie on mieszka? - zapytałem.

- Nie mam zielonego pojęcia.

- A któryś z was? - Cisza.

Wróciłem na widownię i poczekałem na koniec meczu. Gracze zjechali, maszyna Zomboni wygładziła lód, na taflach pojawili się hokeiści, z którymi rozmawiałem. Po dziesięciu minutach uznałem, że w szatni następna drużyna będzie przygotowywać się do rozgrywek. Miałem rację. Kiedy tam wszedłem, zobaczyłem kilkanaście nowych twarzy.

- Zna ktoś Gobiego?! - krzyknąłem. Ta zabawa zaczęła mnie nużyć. Nie mogłem sobie wyobrazić, że Leon bawił się w nią przez kilka godzin.

- A kto chce to wiedzieć? - odezwał się jeden.

- Ja, bo co?

- Niewykluczone, że go znam.

- Albo znasz, albo nie - powiedziałem. - Jak się zdecydujesz, pogadamy. Ktoś jeszcze?

Podszedł do mnie ten pierwszy, który się odezwał. Był młody, miał nie więcej niż dwadzieścia lat. Oczy płonęły mu blaskiem,

jakby nie zawsze przebywał na tej samej planecie co reszta z nas.

- Niewykluczone, że go znam - powtórzył. - Jeśli cena będzie odpowiednia.

- Słuchaj, to ważne. Pomożesz mi czy nie?

- Za sto dolców.

- Co? Zwariowałeś?

- Kilka dni temu był tu facet i też kogoś szukał. Zapłacił sto dolców za informację.

- Dam dwadzieścia.

- Nie da rady, stary. Tamten ustalił wartość rynkową, łapiesz?

- Pięćdziesiąt - podniosłem stawkę.

- On miał stówki. Rozdawał je jak marchewkę. Pomogłem mu z przyjemnością.

- Dzięki, Leon - mruknąłem, sięgając do kieszeni. Wyjąłem sto dolarów z koperty, którą zostawili mi lokatorzy. - Gdzie on mieszka?

- Ja nie wiem, ale Eddie wie. Hej, Eddie!

Przykuśtykał do nas hokeista z jedną łyżwą na nodze.

- Eddie też potrzebuje setki, stary. On jeden wie, gdzie mieszka Gobi.

- To za co płacę tobie? - zapytałem.

- Oplata dla znalazcy.

- Oplata dla znalazcy - powtórzyłem. - Wspaniale. A jakbyście się podzielili tą setką?

- Oj, chyba nie bardzo zależy ci na znalezieniu Gobiego.

Wyjąłem następną setkę i dałem Eddiemu.

- W porządku. Gdzie on mieszka?

- Hej, co to za koleś? - bąknął Eddie, przyglądając się banknotowi.

- Benjamin Franklin - wyjaśnił kolega. - Nie znasz prezydentów?

- Gdzie mieszka? - drążyłem.

- W malej chacie na południe od miasta - odparł Eddie. - Raz urządził imprezę, zaprosił z pięćdziesiąt osób. A tam mieści się

dwadzieścia. Musieliśmy na zimnie stać przed drzwiami.

- A dlaczego mnie nie zaprosił? - zapytał pierwszy hokeista.

- Byłeś tam, stary, tylko za bardzo się zaprawiłeś i nic nie pamiętasz. To wtedy Mike odlał się na ciebie.

- Daj mi adres - powiedziałem.

- Mike się na mnie odlał? Zabiję go. Kurwa, zabiję.

- Adres - powtórzyłem.

- Cholera, miałem tego nie mówić - jęknął Eddie.

- Eddie. - Dołożyłem wszelkich starań, by nad sobą zapamiętać. - Będziesz taki uprzejmy i podasz mi ten adres? - Podał. Dom przy Mackinac County Road. - Dzięki. Wygranego meczu życzę, chłopaki.

- Wiesz, jak to jest, kiedy się budzisz i jesteś obłany moczem?

Nie czekałem, żeby się dowiedzieć. Wróciłem do ciężarówki, odpaliłem silnik i pętlą ruszyłem na południowy kraniec miasta. Elektroniczny wyświetlacz nad drogą wskazywał czas, 9.28, oraz temperaturę, minus siedemnaście. Kiedy po chwili spojrzałem we wsteczne lustro, temperatura obniżyła się do minus osiemnastu.

Koło policji zjechałem z pętli na Mackinac Trail. Mijałem domy, kępy sosen, a czasami podjazdy prowadzące w mrok. Sprawdzałem numery na skrzynkach pocztowych, aż trafiłem na ten, którego szukałem. Skręciłem na podjazd i uderzyłem w śnieg. Warstwa miała co najmniej osiemdziesiąt centymetrów. Poza zasięgiem moich reflektorów podjazd zakręcał wśród drzew. Nie było żadnych śladów opon ani stóp. Żadnego znaku życia.

Siedziałem i zastanawiałem się, co dalej. Zerwał się wiatr. Kołysał drzewami i zsypywał drobną białą mgiełkę z gałęzi. Może zimą Gobi korzysta ze skutera śnieżnego zamiast męczyć się odśnieżaniem. Znałem kilku w Raju, którzy tak robili.

Wróciłem na drogę, żeby wziąć rozpęd i opuściłem pług. A do diabła, wyświadczę mu przysługę. Przycisnąłem gaz i ruszyłem. Zgarnianie śniegu z wąskiej ścieżki nie było łatwe. Musiałem uważać, żeby nie wjechać na drzewa. Kilka razy cofałem się do

drogi i zaczynałem od początku. Dobry kwadrans później dotarłem do polany i zobaczyłem dom. Całkowicie ciemny.

Odgarnąłem śnieg aż do samochodu Gobiego. Wsiadłem, zostawiając ciężarówkę na chodzie z włączonymi reflektorami. Auto gospodarza pokrywała taka gruba warstwa śniegu, że trudno było dostrzec kolor karoserii. Przedarłem się przez zasy do drzwi i zapukałem. Kiedy czekałem, uważnie przyjrzałem się chatcie. Nawet w tym słabym świetle widziałem, że to marna robota. Mojego staruszka rozbolełby brzuch, jakby zobaczył, czym uszczelniono bale przed wiatrem.

Jeszcze raz zapukałem. Znowu nic.

Zrobiłem kilka kroków w tył. Po obu stronach drzwi znajdowały się okna, ale małe i umieszczone wysoko nad ziemią. Ruszyłem na obchód, przedzierając się przez śnieg. Dom był prostym sześcianem z dwoma kolejnymi wysokimi oknami z tyłu i wielkim świetlikiem.

- I co dalej? - spytałem sam siebie. - Jak bardzo chcesz zobaczyć tę chatę od środka?

Długo nie zastanawiałem się nad odpowiedzią. Tak bardzo, żeby się włamać, choć nie na tyle, żeby wczłogiwać się przez jedno z okienek.

Wróciłem do drzwi i się o nie oparłem. Wydawały się solidne. Trudno zbudować dobrą chatę, ale łatwo kupić porządne drzwi, pomyślałem. Miałem zestaw wytrychów, ale leżały w domu. Zresztą i tak nie wiedziałbym, jak z nich skorzystać.

Leon. On będzie wiedział.

Poszedłem do ciężarówki, zdjąłem rękawice i zadzwoniłem z komórki do Prudella.

- Leon, stoję przed chatą kolegi Bruckmana z drużyny. Myślę, że facet może mieć związek z Molinovem i jego ludźmi. A przynajmniej coś o nich wiedzieć, z tego co mówił Bruckman.

- Brzmi obiecująco. Jaki masz plan?

- Taki, żebyś tu przyjechał i otworzył zamek wytrychem. Może coś znajdziemy. Numery telefonów, adresy...

- To oznacza włamanie i wtargnięcie na cudzy teren.

- Jedziesz czy nie? - zapytałem.
- Już jadę. Podaj adres.
- Rozglądaj się za świeżo odśnieżonym podjazdem - dodałem jeszcze.

Wciągnąłem rękawice i trzymałem dłonie nad ogrzewaniem, dopóki nie przestały mnie boleć. Usiadłem wygodnie i czekałem. Wyliczyłem, że z Rosedale trzeba tu jechać dwadzieścia minut. Leon zmieścił się w osiemnastu.

Zatrzymał swój mały czerwony samochód i wyskoczył jak na sprężynach.

- Dzwoniłeś, partnerze?
- Tędy. - Poprowadziłem go do drzwi.
- Nikt nas nie zobaczy - oznajmił, rozglądając się. Dokoła były tylko drzewa. - To dobrze.
- Dasz radę otworzyć?
- Zobaczymy. - Leon przyklęknął i pokręcił gałką. - Potrzymaj latarkę.

Wziąłem i skierowałem światło na gałkę.

- Sztuka polega na tym, żeby odpowiednio mocno nacisnąć - wyjaśnił. - Najpierw musisz dobrać odpowiedni rozmiar pręta.
- Leon, przełoż ten wykład na ciepły dzień, dobra? Otwieraj drzwi.

- Co za wdzięczność. - Jedną dłonią wsunął w zamek pręt, drugą wytrych, i zaczął naciskać zapadki. - To nie takie łatwe.

Trudno wyczuć w tym zimnie. - Pochuchał na dłonie i spróbował jeszcze raz. - Cholera, tracę czucie w palcach.

- Dasz radę?
- Bez obaw. Muszę tylko rozgrzać ręce. Posiedźmy chwilę w ciężarówce.

Wróciliśmy do szoferki. Leon pocierał dłonie nad ogrzewaniem.

- Dobra - powiedział w końcu. - Następną próba.

Wyszliśmy na dwór. Leon przyklęknął i wsunął pręt do zamka. Tym razem pracował szybciej.

- Nie wyczuwam tylnej zapadki - oznajmił. - Ucieknie mi,

zanim rozgryzę przednią. – Poruszał narzędziami przez kilka minut. W słabym świetle widziałem, jak zaciska zęby. – A niech to szlag. Ręce mi drętwieją. A już prawie ją miałem! Wracajmy do ciężarówki.

Wróciliśmy. Rozgrzał dłonie. Wysiedliśmy i poszliśmy do drzwi.

– Dobra, teraz się uda – stwierdził Leon. Zajął się zamkiem. Słyszałem słaby szcęk metalu stłumiony szumem wiatru. – Prawie mam. Już, już...

– Leon, nic z tego nie będzie. Chodźmy do ciężarówki.

– Poczekaj. Chwila... – Wytrych wypadł mu z dłoni. – Cholera jasna! W porządku. Jeszcze raz rozgrzeję ręce.

Wsiedliśmy do ciężarówki.

– Wejdzmy przez okno – zaproponowałem.

– Poradzę sobie, Alex. Daj mi ostatnią szansę.

Wrzuciłem bieg.

– Mam lepszy pomysł.

– Co robisz?

– Zaparkuję ciężarówkę pod domem. Wejdziemy na pług, a z niego do środka. – Zjechałem z podjazdu i zacząłem odśnieżać ścieżkę do okna. Półtora metra przed chatą ciężarówka wpadła w poślizg. Wrzuciłem wsteczny bieg i wróciłem na podjazd.

– Alex, ostrożnie.

– Spokojnie. – Skierowałem się na ścieżkę.

Rozpędziłem się, żeby przebrnąć przez ostatni metr śniegu. Przesadziłem. Kiedy chciałem nacisnąć na hamulec, but oblepiony śniegiem ześliznął się z pedału i niechcący wdepnąłem gaz.

– Alex, uważaj!

Uderzyłem półtonowym pługiem w chatę. Ściana pękła, okno przez sekundę wisiało na jednym rogu, potem spadło na pług. Dach się załamał, zasypując śniegiem przednią szybę ciężarówki. Nic nie widzieliśmy.

Długą chwilę obaj milczeliśmy.

– No tak, to alternatywny sposób na dostanie się do środka – powiedziałem.

– Alex... – Leon w końcu odzyskał głos. – Kompletnie ci od-

biło?

- Wiedziałem, że ta chata to fuszerka.

Leon wykrztusił jakieś oderwane słowa, niezdolny złożyć je w zdanie.

- Chodź, skoro już dostaliśmy się do środka. - Otworzyłem drzwi szoferki.

- No nie, własnym uszom nie wierzę.

Okrzyknąłem pług i wszedłem do chaty.

Stanąłem jak wryty.

Leon ruszył za mną.

- Masz pojęcie, co się z nami stanie, jak...

Znieruchomiał.

W pokoju na podłodze leżało ciało.

Drugie tkwiło na fotelu.

Krew.

Wszędzie pełno krwi.

Starej, zaschniętej i poczerniałej. Trup na podłodze leżał na plecach. Mężczyzna. Prawie bez twarzy.

Trup w fotelu zgięty w pół. Długie włosy. Kobieta.

Wszędzie krew.

Nie widziałem twarzy kobiety. Włosy zwisały do podłogi jak kurtyna po ostatnim akcie.

Wszędzie krew.

Leon głośno przełknął ślinę.

- Słodki Jezu, zwijajmy się stąd, Alex.

Nie byłem w stanie się ruszyć.

- Alex, chodźmy. - Położył mi dłoń na ramieniu. - Słyszysz? Wróciłem do ciężarówki. Leon odgarniał śnieg z przedniej szyby. Kiedy skończył i wsiadł, przekręciłem kluczyk w stacyjce. Nagły zgrzyt przeszył mnie na wskroś.

- Wrzuć wsteczny, Alex.

Wrzuciłem. Kiedy ruszyłem, część ściany runęła. W reflektorach widzieliśmy wnętrze chaty. Światło padało na krew, która dziwnie ożywała, połyskując na czerwono.

- Bardzo dobrze - pochwalił spokojnie Leon. - Patrz, gdzie

jedziesz. Wracaj na podjazd.

- Wiem.

- Nie zatrzymuj się. Wycofuj.

- Dobra, dobra.

Jechałem wolno aż do samochodu Leona.

- O Boże - jęknął, kiedy zahamowałem. Jego opanowanie zniknęło. Zaczął się kołysać. - Boże Wszchemogący.

- Spokojnie, Leon. Dasz radę?

- Jezu, widziałeś tę krew?

- Tak. - Walczyłem z tym koszmarnym obrazem. Nie mogłem pozwolić, żeby nade mną zapanował.

- Wygląda na to, że nie żyją od kilku dni - wymamrotał Leon.

- Co najmniej od dwóch.

- Ciekawe, dlaczego nikt ich nie szuka?

- Musimy zawiadomić policję.

- Poczekaj. - Złapałem go za rękaw. - Zastanów się.

- Nad czym?

- Pomyśl. Co z tego, że przyjedzie policja i zobaczy, co zrobiliśmy z chatą? Tym dwojgu nic już nie pomoże. Gobiemu i... to była kobieta, tak?

- Tak. Może jego żona?

- Wrócimy do domu - powiedziałem. - Potem ja anonimowo zgłoszę to na policji.

- Sam nie wiem, Alex.

- Zastanów się. Przemysł oba rozwiązania.

Leon wziął głęboki oddech.

- Ja zadzwonię - zdecydował. - Twój głos rozpoznają.

Spojrzałem na niego.

- Na pewno?

- Tak. Odczekam godzinę i zadzwonię.

- Dobra. Zgoda.

- Jutro pogadamy.

- Przykro mi, Leon. Przepraszam, że cię w to wpłatałem.

- Nie przejmuj się, partnerze. - Raz jeszcze odetchnął. - Dobra. Już mi lepiej.

Przesiadł się do swojego samochodu. Obaj na wstecznym dotarliśmy do drogi. Tam Leon skręcił na południe, a ja na północ.

Kiedy szosą M-28 jechałem do Raju, starałem się nie myśleć o tym, co widziałem. Nie potrafiłem jednak wyrzucić tego obrazu z głowy.

Kelnerka. Bruckman mówił, że Gobi podrywał kelnerkę z Horns Inn. To była ta kobieta.

Zjechałem na bok, kopnięciem otworzyłem drzwi. Wymiotowałem tak długo, aż w żołądku nic nie zostało. Próbowałem złapać oddech. Lodowate powietrze sprawiało ból. Zamknąłem drzwi i jechałem dalej.

Nim dotarłem do Strongs, ogarnęły mnie wątpliwości odnośnie do naszego planu. Muszę sam zadzwonić na policję, pomyślałem. Nie mogę tak po prostu wrócić do domu i udawać, że nas tam nie było.

Wziąłem telefon, odłożyłem, znowu podniosłem. W końcu wybrałem 911.

Po mojej lewej zamigotały światła. Samochód, jechał na mój pas, blokując mi drogę. Nacisnąłem na hamulec, ciężarówka zaczęła tańczyć na lodzie. Auto przede mną wpadło w lekki poślizg, ale szybko z niego wyszło. Dżip. Champagne i Urbanik.

Dżip stanął. Znowu nacisnąłem na hamulec. Nie zdołałem zatrzymać się na czas. Jestem coraz bliżej. Cholera jasna! Skręciłem na prawo, uderzyłem w zaspę. Siła wstrząsu odrzuciła mnie na siedzenie.

Kiedy ciężarówka znieruchomiła, popatrzyłem na dżipa. Na pewno o wszystkim wiedzą, pomyślałem. Długo potrwa, zanim wytłumaczę, dlaczego wracam do domu i nie zawiadomiłem policji.

Może uda mi się w ogóle nie rozmawiać Champagne'em. Z Urbanikiem mam większe szanse się dogadać.

Wysiadając z ciężarówki, skrzywiłem się. Nagłe hamowanie nie podziałało dobrze na moje żebra.

Idź od razu do Urbanika i zdaj się na jego łaskę. Udawaj, że Champagne'a wcale tu nie ma, radziłem sobie w duchu.

Drzwi dżipa otworzyły się, wysiadło dwóch mężczyzn.

To nie byli agenci.

Sięgnąłem po broń, ale jej nie znalazłem. Policjanci nie oddali mi rewolweru.

Wokół panowała całkowita pustka. Tylko drzewa i śnieg. I szum wiatru.

- Dobry wieczór, panie McKnight - odezwał się kierowca. - Wkońcu się spotykamy. Trudno pana znaleźć.

Rozdział 18

USIADŁEM Z TYŁU, ZA KIEROWCĄ. Widziałem tył jego głowy, futrzany kołnierz płaszcza i nic więcej. Drugi zajął miejsce obok mnie. Też był ubrany w płaszcz z futrzanym kołnierzem, chyba z sobola. Miał silnie zarysowane brodę i nos, przypuszczalnie parę razy złamany. Patrzył prosto przed siebie. Ani razu nie odwrócił się do mnie. Milczał.

„Trudno pana znaleźć”. Te słowa dźwięczały mi w uszach.

Kierowca otworzył mi drzwi. Stał i czekał, aż wsiądę. Byłby idealnym szoferem, gdyby nie broń w dłoni. Jego towarzysz stał po drugiej stronie samochodu i cierpliwie czekał, aż skorzystam z zaproszenia. On też był uzbrojony.

Wsiadłem do dżipa. Jakie miałem wyjście?

Kierowca jechał na zachód szosą M-28. Skręcił na północ na drogę do Raju. Odchrząknąłem.

- Jesteście Pearl i Roman - zagadnąłem.

Milczeli. Ten obok mnie nawet nie odwrócił głowy.

- Zdemolowaliście moją chatę. W sobotę.

- Teraz nie będziemy rozmawiać - oznajmił mój sąsiad. Patrzył prosto przed siebie.

Podróż upływała nam w ciszy. Kiedy wjechaliśmy do Raju, zobaczyłem wzdłuż drogi światła i znane miejsca: stacja benzynowa, poczta. Usiłowałem stłumić strach, zatrzymać go w małej przegródce, żeby nie przejął nade mną władzy.

Jeśli pozwolę mu opuścić tę przegródkę, przestanę rozsądnie myśleć.

„Trudno pana znaleźć”. Czy to znaczy, że mnie szukali, ale do dzisiejszego wieczoru bez skutku? W sobotę włamali się do mojej chaty. Ile dni minęło od soboty? Jaki dzisiaj jest dzień? Myśl, Alex.

jechaliśmy do centrum miasta. Przed nami widziałem Glasgow Inn. Jackie tam jest. Ma dla mnie zimne kanadyjskie piwo. Ale nie...

Kierowca skręcił pod migającym światłem na drogę 123, która prowadzi z miasta na zachód.

- Dokąd jedziemy? - zapytałem.

- Teraz nie będziemy rozmawiać.

Kierowca trzymał kierownicę dłońmi w czarnych rękawiczkach. Prowadził bardzo dobrze. Czuł się pewnie na śniegu, ale nie jechał za szybko.

„Trudno pana znaleźć”. Wreszcie zaczynałem to rozumieć. Zdemolowali mi dom w sobotę. Tamtej nocy nie spałem u siebie, tylko w innej chacie. Następnego dnia Bruckman posłał mnie do szpitala, gdzie spędziłem cztery doby. Prawie cały wczorajszy dzień przesiedziałem w Glasgow Inn, wieczorem pojechałem do Kanady, nocowałem w więzieniu. Od zniknięcia Dorothy byłem w chacie nie więcej niż dziesięć minut. Dlatego mieli problem.

Ale teraz im się udało.

Ci ludzie porwali Dorothy. Przypuszczalnie ją zabili. Tak jak Gobiego i tamtą kobietę. Teraz kolej na mnie. Wywiozą w środek lasu i zabiją.

Zamknąłem oczy. Wdech, wydech. Myśl.

Mógłbym otworzyć drzwi, próbować uciec.

Zastrzeliliby mnie jak zwierzę. Bez szans.

Ale gdyby chcieli mnie zabić, zrobiliby to już wcześniej na pustej drodze. Może więc chodzi o coś innego.

Tak, najpierw czegoś ode mnie chcą. A potem zabiją.

Dobra. Na razie jeszcze żyjesz, dodałem sobie otuchy. I tego się trzymaj.

Wjechaliśmy w głąb lasu, mijając zjazd do Tahquamenon Falls. Droga się zwężała, śniegu było coraz więcej. Kierowca pewnie przebijał się przez zasy.

Próbowałem przekonać sam siebie, że dożyję jutrzejszego dnia.

Mały znak poinformował nas, że opuszczamy hrabstwo

Chippewa i wjeżdżamy do hrabstwa Luce. Znałem tę drogę. Prowadziła przez lasy do Newberry, oddalonego o dobre pięćdziesiąt kilometrów na południowy zachód. Kiedy zacząłem się zastanawiać, jak długo jeszcze będziemy jechać, kierowca zwolnił. Zobaczyłem drogę dojazdową biegnącą na północ. Niedawno została odsnieżona; nawet nie próbowałem sobie wyobrazić, przez kogo. O ile się orientowałem, w tej części lasów nie było chat, tylko jeziorka i szlaki dla skuterów śnieżnych. Jechaliśmy pięć, może sześć kilometrów. Kierowca musiał bardziej się wysilać. Opony ślizgały się po śniegu.

Zatrzymaliśmy się.

- Teraz wysiadamy - polecił mężczyzna siedzący obok.

Kierowca otworzył mi drzwi. Drugi mężczyzna został na miejscu, dopóki nie opuściłem samochodu. Było ciemno. Przy zgaszonych reflektorach chwilę potrwało, nim wzrok przyzwyczaił się do mroku. Kierowca wyjął latarkę.

- Tędy - powiedział.

Przez ułamek sekundy widziałem twarz tego faceta. Rysy miał delikatniejsze niż jego towarzysz.

- Dokąd mnie zabieracie?

- Tędy - powtórzył.

Odwrocił się i ruszył przed siebie. Drugi szedł za mną. Żaden nie wyjął broni. Nie dźgali mnie lufami, nie krzyczeli, nie grozili. Nie musieli. Wiedziałem, że dopóki będę robił, co chcą, nie wyciągną broni i nie strzelą.

Podążaliśmy za snopem światła z latarki. Droga się skończyła. Śniegu było więcej, sięgał mi niemal do pasa. Musiałem wysoko podnosić nogi. Dość szybko zabrakło mi tchu. Tamtym marsz w śniegu nie sprawiał takiej trudności.

- Jestem na to za stary - wysapałem. Moje słowa utonęły w mroźnej nocy.

Doszliśmy do polany. Wreszcie przed sobą zobaczyłem budynek. Mały, nie większy niż szopa. Lodowy domek, pomyślałem, idziemy po jeziorze. Próbowałem odtworzyć w myślach mapę. To może być jezioro Little Two Hearted albo jedno z setki in-

nych, których nazw nie pamiętałem. Wiedziałem, że poza nami nikogo tu nie ma. Nawet gdyby w promieniu ośmiu kilometrów znajdowały się jakieś zabudowania, i tak nie wiedziałbym, jak je znaleźć.

Pokonaliśmy ostatnich trzysta metrów. Przez szpary domku żarzyło się słabe światło. Kierowca otworzył przede mną drzwi. Następnym uprzejmy gest. Proszę tędy, sir.

Wszedłem do środka. Budynek nie różnił się od innych lodowych domków, które wcześniej widziałem. Niewykończone ściany, gołe bele, jedno okienko. Surowa drewniana podłoga z kwadratową dziurą pośrodku. Ktoś wyrąbał lód, odsłaniając ciemną wodę. Najpierw zobaczyłem wychodzącą z przerębła żyłkę. Przesunąłem po niej wzrokiem do wędki i mężczyzny, który ją trzymał. Długie futro, z tego samego zwierzęcia co kołnierze dwóch pozostałych. Czarne skórzane buty i rękawice. Twarz jak rzeźbiona w kamieniu. Skierował na mnie oczy ciemne niczym kwadrat wody u jego stóp. Obok niego na ławce stała gazowa lampa, rzuciła jasne światło.

- Witam, panie McKnight.

- Pan Molinov? - zapytałem.

- Tak. Proszę się do mnie przyłączyć. Jak sądzę, poznał pan już pana Bruckmana.

Stałem przed nim i zastanawiałem się, o czym on, do diabła, mówi.

A potem zobaczyłem Bruckmana.

Był za Molinovem, siedział skulony pod ścianą koło naftowego grzejnika - kompletnie nagi i siny jak stal. Dygotał.

- Proszę usiąść. - Molinov gestem wskazał ławkę z nieheblowanego drewna po swojej lewej ręce. Usiadłem, poruszając się wolno jak we śnie. Znowu spojrzałem na Bruckmana. Twarz miał odwróconą w drugą stronę.

Pozostali dwaj usiedli naprzeciwko mnie. Molinov wziął cygaro, zaciągnął się i odłożył na ławkę. Zapach dymu zmieszał się z odorem palącej się nafty.

- Może odpowie pan na kilka pytań - powiedział. - Skoro już

pan tu jest.

Nie miał wyraźnego obcego akcentu, ale każde słowo wypowiadał starannie, jak skrzypek przeciągający smyczkiem po strunach.

Wyjął z kieszeni mały magnetofon i nacisnął klawisz. Taśma zaczęła się kręcić, napełniając pomieszczenie głosem Bruckmana: „Tu Lonnie. Zostaw wiadomość”. Nastąpiła długa przerwa, później jedna po drugiej popłynęły wiadomości.

„Siema, Lonnie, mówi Miles. Przychodzisz czy nie? Zadzwoń, stary”.

„Bruckman, mówi Charles. Patty dała mi twój numer. Powiedziała, że powinienem u ciebie się zaczepić. Będę jutro koło dziesiątej na lodowisku. Może się spotkamy”.

„Hej, Lonnie, tu Gobi...” Molinow spojrzał na mnie. Podniósł wyżej magnetofon. „To ci się nie spodoba, ale chyba masz problem. Jestem w Horn Inns i widziałem twoją dziewczynę. Pytała w barze o tego McKnighta, który wczoraj wieczorem grał przeciwko nam jako bramkarz. Okazuje się, że to prywatny detektyw czy coś w tym rodzaju. Chyba mnie nie zauważyła, ale nie miałem pojęcia, co zrobić, kapujesz? Miała ze sobą białą torbę. Jak to jest to, o czym myślę, lepiej rusz dupę i zacznij jej szukać, stary. Udało mi się zmiękczyć tę kelnerkę. Facet mieszka w Raju, jeśli chcesz go znaleźć. Tyle słyszałem. Odezwę się później”.

Molinow wyłączył magnetofon.

- Wie pan, skąd pochodzi ta kasetka?

- Chyba tak.

Schował urządzenie do kieszeni.

- Dorothy Parrish przyszła wtedy do pana, prawda?

- Tak.

- Jak rozumiem, następnego dnia rano zniknęła.

Spojrzałem na tamtych dwóch. Wciąż nie wiedziałem, który z nich to Pearl, a który Roman. Odpowiedzieli mi wzrokiem całkowicie wypranym z emocji.

- Owszem - potwierdziłem. - Zniknęła.

- A dokąd się udała?

Słowa uderzyły mnie jak policzek.

- Nie rozumiem.

- Dziewczyna - podsunął Molinow. - Gdzie teraz jest?

- Pan mnie pyta? Przecież to pan ją porwał. - Wskazałem mężczyzn. - Albo oni.

- Nieprawda. Kiedy ci ludzie sprawdzali pańską chatę, Dorothy już nie było.

- Sprawdzali moją chatę? Tak pan to określa?

- To było konieczne.

- Nie wiem, gdzie ona jest. Przysięgam - dodałem.

Za plecami Molinova Bruckman jęknął chrapliwie. Przygryzłem wargi, żeby mi nie drżały. Pearl i Roman spojrzeli na niego tak obojętnie i swobodnie, jak się patrzy na popiskującego w kącie pieska.

- Wygląda na to, że pan Bruckman przemarzł - odezwał się Molinow. - Będzie pan tak uprzejmy i odda mu swoją kurtkę?

Spojrzałem na niego. Mówi poważnie?

- Pańska kurtka, proszę.

Podniosłem się i zdjąłem kurtkę. Nikt się nie poruszył, więc ominąłem Molinova i podszedłem do Bruckmana skulonego pod ścianą. Jego głowa była bardzo blisko naftowego grzejnika; poczułem odór przypalonych włosów.

- Bruckman - powiedziałem. Nie zareagował. Dotknąłem jego pleców. Skórę miał lodowato zimną. Nie rozumiałem, jak to możliwe, że wciąż żyje. Okryłem nieszczęśnika kurtką.

- Dziękuję, panie McKnight - odezwał się Molinow. - Jestem przekonany, że pan Bruckman docenia ten gest.

- Dlaczego mu to zrobiliście?

- Proszę do nas wrócić. Wszystko wyjaśnię.

Usiadłem na ławce. Ledwo czułem ciepło z grzejnika. Mroźne powietrze ze świstem wpadało przez szpary; zaczynałem się trząść.

- Pan Bruckman zabrał rzecz, która należała do mnie - podjął Molinow. - A to jest skutek.

- On umrze...

- Od jakiegoś czasu łowią. - Molinov wyjął z wody wędkę. W świetle lampy błysnęła metalowa przynęta spinningowa. - Może nie robię tego, jak trzeba. Chciałby pan spróbować?

- Nie, dziękuję.

- A może pan Bruckman chciałby. Przekonajmy się, dobrze?

Pearl i Roman wstali jednocześnie. Chwycili Bruckmana pod pachy i powlekli do ławki, na której wcześniej siedzieli. Po raz pierwszy zobaczyłem jego twarz. Oczy miał zapuchnięte, ledwo mogłem go rozpoznać. Moja kurtka zsunęła się z siniego nagiego ciała.

- Panowie - rzucił Molinov. - Nie chcemy, żeby pan Bruckman się przeziębił.

Jakim cudem zdołali ubrać zeszywniałego Bruckmana w kurtkę.

- O wiele lepiej - uznał Molinov. - Panie Bruckman, może spróbuje pan szczęścia w łowieniu ryb pod lodem?

Nieszczęśnik przechylił się na bok. Jeden z mężczyzn go podtrzymał.

- Odnoszę wrażenie, że pan Bruckman potrzebuje pomocy w większym zakresie.

Jednym gładkim ruchem mężczyźni podnieśli go i wrzucili głową do wody. Krople prysnęły mi na koszulę i twarz - zimne i bolesne jak tysiąc lodowych igiełek. Ciało Bruckmana wisiało na krawędzi małego przerębla, w którym ledwo się mieściło. Potem jednak moja kurtka nasiąknęła wodą i ściągnęła go w dół. Nad powierzchnią została tylko lewa stopa. Po chwili ona także zniknęła.

Wpatrywałem się w wodę. Nie mogłem nawet drgnąć.

Pearl i Roman usiedli. Molinov obrzucił spojrzeniem mokre cygaro, po czym rzucił je za siebie.

- Panie McKnight, potrafię zrozumieć pańską niechęć do ujawnienia miejsca pobytu Dorothy.

Powierzchnia wody wciąż drżała. Czekałem, aż głowa Bruckmana lada chwila wyskoczy z przerębla.

- Sądzę jednak, że na tym etapie rozumie pan, jak bardzo zależy mi na odnalezieniu tej pani oraz białej torby, którą ze sobą miała.

- Nie wiem, gdzie jest Dorothy. Nie wiem, gdzie jest torba.

Molinov wolno pokijał głową.

- Kiedy się dowiedziałem, że panna Parrish zwróciła się do pana, naturalnie byłem ciekaw, kim pan jest. Człowiek z kasety wyraźnie mówi, że prywatnym detektywem. Przeprowadziłem drobne śledztwo i dowiedziałem się, że istotnie posiada pan licencję. Ze zdumieniem jednak odkryłem, że nie ma pan biura, a pański numer telefonu nie widnieje w książce telefonicznej. Najwyraźniej więc nie podejmuje pan żadnych prób rozreklamowania swoich usług. Wydało mi się to dość dziwne, dopóki nie zapoznałem się z pańską niedawną przeszłością. Czy to prawda, że pańskimi ostatnimi klientami byli członkowie rodziny Fultonów?

Popatrzyłem na niego.

- To bardzo bogata rodzina - ciągnął. - Jak rozumiem, mieli letni dom nad jeziorem na północ od pańskiej chaty. Dzisiaj odwiedziłem ten dom. Robi wrażenie. Oczywiście teraz jest pusty. Nie wyobrażam sobie, że ktoś mógłby mieszkać w nim zimą, jeśli ma inną możliwość. W kraju, z którego pochodzę, też są takie miejsca. Zapewniam jednak, że nikt nigdy nie buduje tam domów letniskowych.

Ubranie przemokło mi do skóry. Bardzo się starałem nie dygotać.

- Drażyłem dalej, panie McKnight, i dowiedziałem się, że ostatnimi czasy rodzinę Fultonów dotknęło wielkie nieszczęście. Diedzic fortuny, Edwin trzeci, zginął w tragicznych okolicznościach. Naturalnie dla pana to nie nowina. Wiem, że w tamtym okresie pracował pan dla Lane'a Uttleya, prawnika reprezentującego rodzinę Fultonów. Mam rację?

- Tak - potwierdziłem.

- Pan Edwin Fulton, który tak nagle odszedł z tego świata, prowadził dość interesujące życie. Słyszałem wiele plotek.

Głosów na wietrze, jeśli pan woli. To kazało mi się zastanowić. Oto Alex McKnight, który posiada licencję prywatnego detektywa, ale najwyraźniej nie prowadzi żadnych śledztw. Kiedy jednak znika bogaty człowiek z wieloma problemami, na scenę wstępuje pan McKnight. Potem pojawia się młoda kobieta z wieloma problemami, niewątpliwie innymi, choć równie poważnymi. Kiedy ona znika, znowu wylania się pan McKnight. Zacząłem się więc zastanawiać, czy przypadkiem nie jest to... jego specjalność?

W pomieszczeniu robiło się zimniej. Grzejnik naftowy syczał, jakby kończyło się paliwo.

- Ta okolica wydaje się idealna do zniknięć, nieprawdaż?

- Nie rozumiem, o czym pan mówi - wycedziłem przez zaciśnięte zęby.

- Rzecz jasna, następne pytanie brzmi tak: Czy pan McKnight pomógł tym ludziom zniknąć, czy też sprawił, że zniknęli?

- Nie wiem, co stało się z Dorothy - odparłem. - Za to wiem, co z Edwinem Fultonem. Nie żyje. - Zaczynało mi się kręcić w głowie. Mój głos brzmiał tak, jakby należał do kogoś innego.

- Zastanawiam się, co powiedziała by wdowa po Edwinie Fultonie, gdybym poruszył z nią tę kwestię? Jak miała na imię? Sylvia?

- Nie. Tylko nie ona.

Molinov z kieszeni na piersiach wyjął broń. Nie wycelował we mnie, nie wymachiwał nią w powietrzu, jak zrobiłaby większość mężczyzn. Trzymał rewolwer blisko siebie tak swobodnie, jakby to był telefon albo długopis.

- Obraził mnie pan - oznajmił. - Wierzy pan, że skrzywdziłbym tę kobietę?

Spojrzałem na broń. Nic nie powiedziałem.

- Skrzywdzić kobietę. Niewinną istotę. Ze też coś takiego przyszło panu do głowy. Chciałbym panu pokazać, jak bardzo jestem przeciwny takiemu pomysłowi.

Uniosłem wzrok.

Grzejnik przestał działać. Zapadła cisza.

- Panowie - rzucił Molinov, patrząc na mnie. - Proszę, zdej-

mijcie płaszcze, żeby się nie zniszczyły podczas naszego małego pokazu. Są dość kosztowne.

Mężczyźni wstali i zdjęli płaszcze. Położyli je na ławce. Większy, ten z brzydką twarzą i złamanym nosem, zwrócił na mnie zimne oczy urodzonego zabójcy. Zacisnął dłonie w czarnych rękawicach.

Czekałem, co dalej. Całe ciało miałem napięte. Oby tylko nie dygotać. Nie pozwolę, żeby zobaczyli, jak się trzęsę.

Drugi mężczyzna zamrugał gwałtownie. Zerknął na partnera, potem na Molinova.

Molinov uniósł rękę i obu zastrzelił.

Padli na plecy, najpierw jeden, potem drugi. Razem z nimi przewróciła się ławka. Strzały dzwięczały mi w uszach. Ręka Molinova nie drgnęła.

- Kiedy moi pomocnicy przesłuchiwali pana Gobiego i jego towarzyszkę, popełnili akt drastycznej przemocy - przemówił wreszcie. - Ta kobieta była niewinna. Nie istniał żaden powód, by ją zabijać.

- Pan jest szalony - powiedziałem.

- Ależ nie. A teraz, czy byłby pan tak uprzejmy i podniósł płaszcze? Wydaje mi się, że w kieszeni pana Pearla są kluczyki do samochodu.

- Który to?

- Nie przedstawili się? Cóż za brak manier. Pan Pearl to ten po lewej.

Kiedy się podniosłem, pomieszczenie zawirowało. Złapałem się ławki, żeby zachować równowagę.

- Ostrożnie, panie McKnight. Nie chce pan przecież wpaść do dziury i spotkać się z panem Bruckmanem.

Pokręciłem głową, żeby oczyścić myśli, i podszedłem do mężczyzn na podłodze. Obaj wpatywali się w sufit; dokładnie w środku klatki piersiowej mieli dziury po pociskach. Sięgnąłem po płaszcz Pearla. Wyjąłem kluczyki.

- Niech pan je przyniesie - polecił Molinov.

Odwrociłem się i zrobiłem dwa kroki w jego kierunku. Spoj-

rzałem mu prosto w oczy.

Upuściłem kluczyki do wody. Zniknęły w jednej chwili.

Molinov spojrział na czarny kwadrat, potem na mnie. Uśmiechnął się.

- Już widział pan niejedną śmierć - stwierdził.

- Tak.

- Teraz pan się mnie nie boi, prawda? Nie tak bardzo, żeby błagać o życie.

- Nie muszę - odparłem. - Tkwimy tu obaj.

- Jest panu zimno?

- Tak.

- Nie wie pan, co to prawdziwe zimno. - Wysunął wolną dłoń z rękawicy, przełożył do niej broń i zdjął drugą rękawicę. Palce miał amputowane do pierwszego stawu, wszystkie z wyjątkiem wskazującego. Tego, który trzyma! na spuście. - Widzę, że w grzejniku skończyła się nafta. Pomieszczenie straciło na wygodzie. Odór śmierci też nie jest przyjemny. - Wstał. Futro miał długie do ziemi. Byliśmy dokładnie tego samego wzrostu, jego ciemne oczy znajdowały się na poziomie moich. Wziął lampę i ruszył do drzwi. Po drodze podniósł płaszcz drugiego martwego mężczyzny. Uważnie przyjrzał się okryciu, strzepnął z niego kurz.

- Dokąd pan idzie? - zapytałem.

- Do samochodu.

- Bez kluczyków?

- Mam zapasowe - powiedział. - Poprosiłem o przyniesienie kluczyków z płaszcza, bo chciałem sprawdzić, co pan z nimi robi. Gdyby mi je pan dał, byłbym bardzo rozczarowany. Ale pan tego nie zrobił. Wierzę, że nie wie pan, gdzie jest panna Parrish. Co do sprawy Fultona... będę musiał bliżej się jej przyjrzeć.

Wydaje mi się, że dostrzegam w tej sytuacji wyjątkowe... możliwości. Zakładam, że można pana wynająć, jeśli naprawdę jest pan prywatnym detektywem. Niewykluczone, że w przyszłości pańskie usługi będą mi potrzebne.

- Zostawi mnie pan tutaj? Zamarznę na śmierć.

- Może tak, a może nie. Jeśli pan przeżyje, zyskam cenną informację. Ze jest pan człowiekiem, który bardzo mi się przyda.

Stałem i obserwowałem Molinova. Zabrakło mi słów.

- Jeśli pan przeżyje - ciągnął - coś nas połączy. Coś niezwykle rzadkiego. Widzi pan, kiedyś byłem w podobnej sytuacji. Nie zamarłem na śmierć. Ostrzegam jednak, mróz może odebrać część pańskiej osoby. Nie mówię tylko o ciele. Mam na myśli wnętrze.

- Otworzył drzwi i zatrzymał się w progu. Do środka wpadło lodowate powietrze. Czuję, jak koszula zamarza mi na piersiach.

- Kiedy raz przemarznie pan aż do samej duszy, nigdy więcej nie będzie panu ciepło. Przekona się pan.

Zamknął drzwi, zostawiając mnie samego w mroźnej ciemności.

Rozdział 19

BYŁEM SAM W DOMKU NA LODZIE, sam, nie licząc dwóch martwych mężczyzn na podłodze i Bruckmana gdzieś pod nami - ubrany w moją kurtkę albo opadał na dno, albo odbijał się od lodu. Grzejnik nie działał. Molinov zabrał lampę. Panowała całkowita ciemność i z minuty na minutę robiło się zimniej.

Dobra, myśl. Żyjesz. I chcesz dalej żyć. Co zrobisz?

Zacząłem coś sobie przypominać. Siedzę u fryzjera, czekam na swoją kolej. Jest tam stary numer „Michigan Out of Doors”, biorę go, widzę artykuł o hipotermii i odmrożeniach. Do diabła, co tam było napisane? Szkoda, że nie przeczytałem uważnie...

Koszula, zamarznęta na blachę w miejscu, gdzie ochlapała mnie woda; blok lodu przywiązany do torsu. To mój pierwszy problem.

Nie, zaraz, dłonie. Są takie zimne. Gdzie rękawice? Ukląkłem i zaczął szukać ich na podłodze. Nie pamiętałem, kiedyje zdjąłem. Może wtedy, gdy wyciągałem kluczyki z kieszeni trupa.

Przesuwałem dłońmi po nieheblowanej podłodze. Jest! Znalazłem jedną i włożyłem na lewą rękę. Gdzie druga? Macałem dalej. Gdzieś tu musi być.

Co to? O cholera! Poczulem lodowatą wodę na rękę aż do łokcia.

Tylko tego mi trzeba. Wpaść do tej pieprzonej dziury. Przywitać się z Bruckmanem w drodze na dno.

Usiadłem i otrzepałem rękę. Kiedy oparłem się o ławkę, poczułem skórę.

Świetnie, druga rękawica. Włożyłem ją. Dobra, co zrobić z mokrą koszulą? Co pisali w tamtym artykule? Woda wsiąkająca w śnieg. Kiedy jesteś mokry, turlaj się po śniegu?

Nie, chyba jednak nie. Nie wyjdę stąd i nie będę się turlał. Za

nic.

Zwłoki. Co z ich ubraniami? Molinov zabrał płaszcze. Super. Ale reszta? Dwie koszule, dwie pary spodni.

Tak, poszukam dwóch martwych facetów w tej całkowitej ciemności i zdejmę z nich ubrania.

Spokojnie, Alex. Zużywasz całą energię. Posiedź minutę. Odpręż się i zastanów.

Znalazłem ławkę. Mimo rękawic, w dłonie było mi zimno, zwłaszcza w prawą po tej lodowatej kąpieli. Wsunąłem je pod pachy. Na dworze zerwał się wiatr; zaczął trząść domkiem. Spuściłem głowę i poczułem, jak kontrolę nad moim ciałem przejmują dreszcze.

Złe z tobą, Alex.

Próbowałem sobie przypomnieć, jak wygląda wnętrze domku. Zsunąłem się z ławki i na czworakach poszedłem w kąt, gdzie stał grzejnik. W końcu na niego natrafiłem. Był lekki. Potrząsnąłem. Nic. Może gdzieś tu jest zapas nafty. Przesunąłem rękami po ścianie. Trafiłem na ciężki metalowy łom, którymi przebili lód. Posuwałem się dalej.

Jest! Metalowy pojemnik! Podniosłem go. Pusty.

Zapałki. Czy gdzieś tu mogą być zapałki? Rozpaliłbym ogień. Namacałem drewniane pudełko, zdjąłem rękawice i otworzyłem wieczko. W palec wbił mi się haczyk. To było pudełko z przynętami.

A swoją drogą, co to za cholernie głupie zajęcie. Siedzi się w małej szopie na środku zamarznętego jeziora z wędką w dłoni.

Kiedy oczy przyzwyczyły mi się do ciemności, zobaczyłem, że przez tylne okno wpada odrobina światła, najslabszego, jakie można sobie wyobrazić, o odcień jaśniejszego od czerni. Mimo to wystarczyło, żebym zaczął rozróżniać zarysy pomieszczenia. Wstałem i spojrzałem przez okno. Nie widziałem księżyca, ale gdziekolwiek się ukrywał, rzucał poświatę na niekończącą się połąć śniegu.

W porządku, musisz to zrobić. Nie masz innego wyjścia.

Dwa ciała były zaledwie cieniami na podłodze. Na czworakach

zbliżyłem się do nich. Dotknąłem dłoni jednego i wzdrygnąłem się.

Musisz, Alex. Nie myśl o tym. Po prostu rób, co trzeba.

Namaciałem rękę. Przesunąłem dłonią do piersi i zacząłem rozpinąć koszulę. Była na niej krew; już zaczynała zamarzać.

Z trudem opanowałem mdłości.

Wdech, wydech. Wróciłem do guzików. Kiedy skończyłem, dźwignąłem zwłoki. Musiałem zdjąć koszulę. Ręce nie chciały się zginać. To tylko manekin, pomyślałem. Wielki ciężki manekin z plamami krwi.

W końcu osiągnąłem cel. Co teraz? Przebrać się? Może lepiej nie, skoro krew zaczyna zamarzać. Spróbowałem włożyć koszulę na swoją. Cuchnęła papierosami.

Temperatura wnętrza ciała. Tak napisano w artykule. Sprawa absolutnie priorytetowa to podnieść temperaturę. Kiedy zaczyna spadać, masz potężny problem. Zamieszczono nawet tabelkę z symptomami wyziębienia organizmu. Dreszcze i drętwienie rąk to objawy łagodnej hipotermii, tak? Mam je teraz. Startuję.

Przeszedłem do drugiego ciała. Tym razem zadanie okazało się trudniejsze. Traciłem czucie w dłoniach. Niedobrze. Ten był cięższy, więc musiałem bardziej się namęczyć, żeby go podnieść. Na wierzch założyłem jego koszulę.

Dobra, Alex, wszystko załatwione. Masz na sobie trzy koszule, jedną moką od wody, dwie mokre od krwi. Teraz jesteś przygotowany na zamrożenie na śmierć.

Mam im zdjąć też spodnie? Mogę je wepchnąć pod koszulę.

Tak, Alex, musisz to zrobić.

- Wybaczcie, panowie - mruknąłem. Zdjąłem im buty, rozpiąłem rozporki i ściągnąłem spodnie. Jedną parę wepchnąłem pod koszulę, drugą owinąłem sobie szyję.

Tak jest o wiele lepiej. Teraz może przeżyjesz całą godzinę.

Znowu ten zapach. Papierosy. Koszule, spodnie przesiąknięte dymem. A jak palisz, masz zapalki. Albo zapalniczkę.

W spodniach owiniętych wokół szyi poszukałem kieszeni. Wyjąłem portfel, odrzuciłem na bok, sprawdziłem, czy coś jesz-

cze znajdę. Nic.

Wyciągnąłem drugą parę spodni spod koszuli. W kieszeniach też był portfel. Ale i cośjeszcze. Wsunąłem głębiej zdrętwiałe palce.

Zapalniczka. Taka mała, jednorazowa. Bogu niech będą dzięki.

Połamię ławkę, wyciągnę drewno ze ścian, jeśli będzie trzeba. Kilka minut przy ogniu, niczego więcej nie pragnę.

Lepiej się upewnij, że zapalniczka działa. Przesunąłem palcem po kółku. Nic. Cholera, ledwo czuję, co robię.

No, kciuku, nie zawieź mnie.

Ponowiłem próbę. Bez skutku.

Jeszcze raz.

No, nie bądź taka, dziecinko. Kto napisał to opowiadanie, Jack London? O facecie, który musiał rozpalić ognisko, żeby uratować życie. Ale chyba miał zapalki, a nie pieprzoną gównianą zapalniczkę, która się zacięła.

Mocno potarłem kółko. Na próżno.

Potrząsałem zapalniczką. Nic nie usłyszałem. To znaczy, że jest pusta? Cholera, po kiego diabła nosiłby pustą zapalniczkę?

Pocieram. Jeszcze raz. I znowu.

Widzę iskierkę, a niech to szlag. Dlaczego się nie zapalasz?

Pocieram. Iskierka. Nic.

Pocieram. Iskierka. Nic.

Ścisnąłem zapalniczkę; już chciałem ją wyrzucić, ale zaraz się powstrzymałem. Nie rezygnuj. Za parę minut spróbuj jeszcze raz. Może się uda.

Włożyłem rękawice i usiadłem w kącie z kolanami podciągniętymi pod brodę. Wolno kotysałem się w przód i w tył, wstrząsany dreszczami.

Chuchałem na zapalniczkę. Do diabła, może to coś da. Zdjąłem rękawicę, spróbowałem raz. Drugi. Trzeci.

A potem ją upuściłem.

Dobra, więc nie będzie ogniska. A niech to szlag, zimno mi. Mam tu czekać do rana? Przecież to mi się nie uda. Będę siedział całą noc z dwoma trupami na podłodze. Niedługo usłyszę,

jak Bruckman zapuka w lód, usiłując wyczołgać się z wody.

Zacznę się ruszać, będzie mi cieplej, no nie? Wygeneruję ciepło w ciele? Czy szybciej zużyję energię? Gdybym jednak zdołał wrócić do głównej drogi, ktoś może mnie zobaczyć. Jeśli tam w ogóle dojdę.

Podniosłem się z dużym wysiłkiem.

- Dobra, w porządku. W drogę. - Podeszedłem do drzwi. - Nie musicie wstawać, chłopaki. Do zobaczenia. - Wyszedłem na śnieg. Zimno zaatakowało mnie, przenikając każdą cząstkę ciała. - Och, co za wspaniały pomysł - wymamrotałem. - Prawdziwy pieprzony geniusz ze mnie.

Ruszyłem przez jezioro w stronę miejsca, gdzie wcześniej parkował dżip. Rozglądałem się na wszystkie strony, przedzierając przez śnieg. Powierzchnia jeziora znikwała w całkowitej ciemności, gdziekolwiek spojrzełem. Nie było światła, żadnych oznak życia. Ale musiałem spróbować dojść do drogi dojazdowej. To jedyna możliwość.

Szedłem z dłońmi schowanymi pod pachy. Mimo grubych rękawic czułem, jak palce coraz bardziej mi drętwieją. Usiłowałem podążać szlakiem, który wydeptaliśmy, idąc do domku. Molinow także musiał tędy iść, ale wiatr zawiewał głębokie odciski stóp.

Nie zatrzymuj się. Droga gdzieś tu musi być. Jeszcze trochę i będziesz lepiej osłonięty od wiatru.

Obejrzałem się na domek. Był teraz tylko cieniem. Usiłowałem sobie przypomnieć, jak długo szliśmy w tamtą stronę. Dziesięć minut? Piętnaście? Już mi się wydawało, że idę dłużej. Jezioro powinno się skończyć. Czułem, jak wzbiera we mnie panika. Zabłądłem i będę krążył wokół jeziora. Znajdą mnie dopiero na wiosnę.

Popełniłem błąd. Powinienem być zostać w domku i zaryzykować. Niczego nie umiesz zrobić dobrze, McKnight. Umrzesz, bo jesteś pieprzonym idiotą.

Nie, chwila. Daleko przed sobą zaczynałem rozróżniać ciemny pas. To musi być brzeg jeziora. Szedłem, zmagając się z zasypami, chyląc głowę przed wiatrem, który znowu się zerwał i ob-

rzucał mnie milionem małych pocisków. Obląkańcze wycie wichuły dźwięczało mi w uszach.

Kiedy zbliżyłem się do brzegu, zacząłem się rozglądać za polaną, którą przyszliśmy. Widziałem wyłącznie drzewa.

Cholera jasna. Nie mogę marnować sił. Muszę dotrzeć do głównej drogi. Starłem się iść blisko drzew w nadziei, że ochronią mnie przed podmuchami.

Kilka metrów dalej powinny być ślady zawracającego auta. Nie możesz zabłądzić, Alex, inaczej już po tobie. Są? Nie. Zaraz, może jednak. Tak, są!

Znalazłem wgłębienie w śniegu, gdzie parkował dżip. Latem to pewnie pomost dla łodzi, pomyślałem. A teraz, jak długo jechaliśmy tutaj po skręceniu z szosy?

Szedłem drogą dojazdową. W słabym świetle była to tylko wąska ścieżka między drzewami. Stopy miałem zdrętwiałe. Dłonie bolały. Nie wiedziałem, co gorsze.

Pośliznąłem się i upadłem. Kiedy wstałem, mocniej zawiązałem spodnie na szyi i ruszyłem dalej. Co pisano w artykule o następnym stadium hipotermii? Objawy zaczynają się nasilać: utrata sił, odrętwienie, oszołomienie. Czy to już odnosi się do mnie? Szedłem, rymując w myślach: potykanie, mamrotanie, kołysanie, parowanie, grzebanie.

Przynajmniej tutaj śnieg nie jest taki głęboki. I wiatr mniej porywisty. W gruncie rzeczy jak balsam, nie? Naprawdę wierzę, że zaczyna mi być ciepło. Cudownie byłoby spędzić tu wakacje.

Znowu się przewróciłem. Podciągnąłem się na kolana i zniechęciłem.

Wstawaj, cholera jasna. Podnoś się na nogi. Jeśli tego nie zrobisz, jesteś martwy.

Wstałem. Poszedłem.

Idź, nic przestawaj. Prosto przed siebie. Do szosy. Dojdź do szosy.

Grzebanie. Dygotanie. Trambowanie. Co to jest? Coś mi to przypominało. Aha, nazwa ulicy: Trumbull. Michigan i Trumbull. Stadion Tiger jest na rogu Michigan i Trumbull.

Idź. Dojdz do szosy.

Co zrobię, kiedy wrócę do domu? Wezmę gorącą kąpiel. Usiądę przy ogniu. Napiję się kawy.

Upadłem.

Wstawaj. Rusz się albo umrzesz.

Dźwignąłem się z twarzą oblepioną śniegiem.

Wyjedź się na Florydę. Poleż na plaży. Poopalaj się.

Szedłem. Najpierw jedna noga, potem druga, przez śnieg, prosto przed siebie między drzewami.

Jak długo jechaliśmy tą drogą? Nie pamiętam. Jak długo już idę? Nie przypominam sobie, kiedy zacząłem. Całe moje życie idę przez śnieg.

Boże, dłonie mnie bołą. Boli twarz. Stopy już nie są odrętwiałe. Też mnie bołą. Tak czuł się Bruckman, kiedy siedział skulony w szopie. Pragnął umrzeć. Ciekawe, czy poczuł wodę, kiedy do niej wpadł.

Dygotanie, stygotanie. Jest takie słowo? Migotanie.

Wreszcie doszedłem do szosy. Tu było tylko kilka centymetrów śniegu. Niedawno ktoś ją odsnieżył.

Tak jest, Alex. To szosa. Gdzie ratownicy? Gdzie linia mety? Gdzie człowiek z ogromnym pucharem i miss piękności, która zaraz pocałuje cię w usta? Przykro mi, proszę pani, usta mam zamarznęte.

Którędy teraz? Skąd przyjechaliście? W którą stronę skręciliście? Jeśli w prawo, musisz iść w lewo. Jeśli skręciliście w lewo, ruszaj w prawo. A może jest inne wyjście?

Cholera, jakby to miało znaczenie. Po prostu idź. Albo nie idź. Połóż się i czekaj, aż po ciebie przyjdą. Będą tu lada chwila.

Pójdę. Noc taka piękna. Wybieram tę stronę. Tam jakby jest więcej światła.

Co to, reflektory? Już jadą. Widzę reflektory.

Nie, fałszywy alarm. Oczy płatają mi figle. Dowcipnisie. Zawsze skore do żartów.

Może zwariowałem. Już nawet nie czuję zimna. Moje dłonie nie są zimne. Gdziekolwiek się znajdują. Moje dłonie. Jestem

pewien, że gdzieś tu są. Mam nadzieję, że nie zgubiłem ich po drodze.

Reflektory. Zbliżają się. Tym razem naprawdę.

Nie. To nie reflektory. Raz po raz widzę światła. Dalej na drodze. Ale nie reflektory. Może to UFO. Całkiem możliwe.

Drzewa. Na poboczu. Z czapami śniegu. Wyglądają jak mnisi w białych habitach.

Co to za muzyka? Saksofon.

Powinienem tu się położyć. Zdrzemnąć się. Spać mi się chce. Która godzina? Na pewno już późno.

Nie. Idź dalej. Alex. Alex.

Muzyka staje się coraz głośniejsza. Jest za wolna do tańca. I bardzo dobrze. Nie mam siły tańczyć. Muszę się położyć.

Nie. Alex.

To bez znaczenia. Przestałem się przejmować.

Śnieg jest taki miękki. Zaraz się położę.

Co to za muzyka? Znam tę piosenkę. Słyszę ją co wieczór.

Co to za światło? UFO. Miałem rację. Są tu kosmici. Teraz się położę.

Leżę na śniegu. Jest taki miękki.

Są tu kosmici. Koło mnie stoją maszyny. Po jednej z każdej strony. Kosmici patrzą na mnie. Mają jedno wielkie oko w środku głowy.

Witajcie na planecie Ziemia. Mam nadzieję, że się wam podoba. Ten biały puch nazywamy śniegiem. Jest bardzo miękki. Idealne postanie. A teraz wybaczcie. Zaraz zasnę.

Rozdział 20

SPĘDZIŁEM KOLEJNE DWA DNI W SZPITALU, tym samym, do którego trafiłem po numerze, jaki wykręcili mi Bruckman – teraz zmarły Lonnie Bruckman – i jego kumple. Ten sam lekarz świecił mi w oczy i pytał, co jest ze mną nie tak, do diabła. Miałem wrócić do domu i przez kilka dni odpoczywać.

- Stęskniłem się za szpitalnym jedzeniem – wymamrotałem.

- Szczęście, że pan żyje. I że palce u rąk i nóg panu nie odpadły.

Znaleźli mnie starszy mężczyzna i jego syn, którzy wybrali się na przejażdżkę skuterami śnieżnymi. Mężczyzna był drużynowym skautów i członkiem ochotniczej straży pożarnej, należał do ludzi w każdej chwili przygotowanych na wszystko. Miał przy sobie koce termiczne, elektryczne ogrzewacze do rąk podłączone do akumulatora skutera, a nawet ochraniacz na siedzeniu, który w czasie jazdy grzał tyłek.

- Te skutery śnieżne są niesamowite – powiedział lekarz. - Ma pan skuter?

- Nie.

- Koniecznie musi pan sobie sprawić. Świetna zabawa.

Po przyjeździe do Raju moi zbawcy zawiadomili biuro szeryfa. Prysłano po mnie karetkę. Temperatura ciała wynosiła trzydzieści i pół stopnia, przekroczyła granicę ostrej hipotermii.

W drodze do szpitala ogrzewali mi szyję, pachy i łądźwia. Na miejscu zawinęli mnie całego. Temperatura zaczęła się podnosić w tempie mniej więcej pół stopnia na godzinę.

- Trzydzieści pięć i pół – oznajmił lekarz, spoglądając na termometr. - Jak się pan czuje?

- Wciąż przemarznięty.

- Niedługo będzie lepiej. Jest pan odwodniony po środku na

zwężenie naczyń.

- Jasne.

- Niepokoili nas ta krew...

- Krew...

- Wyglądał pan strasznie. Ale nie znaleźliśmy żadnych krwawiących ran. To nie była pańska krew, prawda?

- Tak. To długa historia.

- Cudza krew. - Lekarz pokręcił głową. - Niech mi pan wyświadczy przysługę. Kiedy będzie pan gotów opowiedzieć komuś tę historię, proszę mnie zawiadomić. Muszę ją koniecznie usłyszeć.

Opowiedziałem tę historię szeryfowi Brandowowi i wezwałem lekarza. Brandów słuchał mnie uważnie i bez słowa wszystko notował, potem wysłał swoich ludzi do domku na lodzie.

- Znajdą tam dwa trupy w bieliźnie - uprzedziłem. - Nie wiem, co zrobicie z Bruckmanem.

- Jeśli o mnie chodzi, poczekamy do wiosny - odparł szeryf. - Gdyby jednak Champagne i Urbanik chcieli faceta od razu, mogą sami go wyłować.

Powtórzyłem to agentom, kiedy przyszli się ze mną zobaczyć. Nie wyglądali na uszczęśliwionych.

- Pozwoli pan, że to sobie uporządkuję - powiedział Champagne. - Mamy dwóch ludzi Molinova. Martwych. I Bruckmana. Martwego, gdzieś pod lodem. Nie mamy nikogo żywego. Nie mamy torby.

- Nadal macie siebie nawzajem - stwierdziłem.

- Dobrze, że jest pan w szpitalu, bo zaraz będzie pan potrzebował transfuzji.

Spojrzałem na Urbanika. Powstrzymywał uśmiech. Kiedy zostaliśmy sami w sali, zapytałem, jak wytrzymuje z takim partnerem.

- Byłeś gliniarzem. Miałeś partnera, którego nie znosiłeś?

- Tak. Został zabity.

- Brakuje ci go?

- Codziennie.

- Ja czułbym to samo - stwierdził Urbanik. - Poza tym powinienś zobaczyć, jak gra w golfa. Od siedmiu lat wygrywamy turniej agencji.

Wciąż myślałem o tej rozmowie, kiedy odwiedził mnie Leon. Przyniósł mi stertę czasopism dla prywatnych detektywów i coś jeszcze.

- Mam dla ciebie prezent - oznajmił.

Otworzyłem pudełko. W środku było co najmniej dwieście wizytówek.

- Co to jest? - zapytałem.

- Przeczytaj.

Wyjąłem jedną wizytówkę.

- Agencja detektywistyczna Prudell-McKnight... - przeczytałem. Pod naszymi nazwiskami widniały dwa rewolwery.

- To twój rewolwer, a to mój luger, rozumiesz?

- Wyglądają, jakby do siebie strzelały - zauważyłem.

- Nie, nie. To jak dwóch muszkieterów. Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego. Albo za dwóch. Nieważne.

- Ty naprawdę kazałeś zrobić wizytówki.

- Pomyślałem, że to ci poprawi nastrój. Przyjdę później, po pracy.

- Nie musisz. Nic mi nie jest.

- Nie podoba mi się widok partnera w szpitalnym łóżku - odparł Leon. - Nie poczuję się dobrze, dopóki nie wrócisz do śledztwa.

- Do śledztwa - powtórzyłem. - Ile czasu spędziłeś nad tą sprawą? W jakie kłopoty się wpakowaliśmy? No, w każdym razie ja. I co osiągnęliśmy?

- No cóż. - Chwilę się zastanawiał. - Wyeliminowaliśmy kilku podejrzanych.

Nie mogłem powstrzymać śmiechu.

- Masz rację. Przynajmniej tyle zrobiliśmy.

- Wracaj do zdrowia - powiedział. - Potem zajmiemy się pracą.

- Leon, poważnie, cieszę się, że mi pomagales.

- Do zobaczenia, partnerze.

- Do zobaczenia. Partnerze - odparłem.

Po jego wyjściu przejrzałem czasopisma, potem się zdrzemnąłem. Kiedy się obudziłem, odwiedzili mnie właściciele skuterów, mężczyzna i jego trzynastoletni syn z Traverse City. Obaj mieli włosy ostrzyżone na jeża i zdecydowany uścisk dłoni. Podziękowałem im, dałem numer telefonu i zaprosiłem na tydzień do jednej z moich chat, jeśli będą mieli ochotę znowu przyjechać w te strony.

Bill Brandów wrócił wieczorem. Przyniósł zimne kanadyjskie piwo w papierowej torbie.

- Pomyślałem, że ci się przyda - mruknął.

- Lekarz cię zabije.

- Zamierzam stawiać ci piwo przez długi czas, więc uznałem, że mogę zacząć od razu.

- I akurat tego mi teraz potrzeba. - Poklepałem butelkę. - Czegoś zimnego.

Bill spuścił wzrok.

- Przepraszam, nie pomyślałem.

- Nie przejmuj się, Bill.

- Nie powinienem grać po stronie agentów. Miałeś rację. Zostałem wybrany przez mieszkańców. Federalni nic nie mogą mi zrobić.

- Tak, ale ten Champagne potrafi wstawić gadkę, trudno mu się oprzeć.

- Widzę, że przyjdzie mi za to długo płacić.

Po jego wyjściu zjawił się Jackie, człowiek, który raczej pocałowałby swoją byłą żonę, niż opuścił bar i wybrał się na zasypane śniegiem drogi.

- Zamknąłeś knajpę? - zapytałem.

- Jest tam mój syn. Wpadłem, żeby sprawdzić, czy wszystko z tobą w porządku.

- Jak ostatnim razem byłem w szpitalu, nie odwiedziłeś mnie.

- Tak, ale wtedy tylko cię pobili. Zanim się dowiedziałem, już wyszedłeś. Jeśli jednak masz umrzeć z zimna, wolałbym, żebyś

najpierw uregulował rachunki.

- Mnie też miło cię widzieć.

Znowu zajrzał lekarz, potem Leon, który skończył pracę. Kiedy w porze kolacji spojrział na drzwi, wydało mi się, że mam halucynacje. Zobaczyłem Mavena.

- Co, bez kwiatów? - zapytałem.

- Musiałem zobaczyć to na własne oczy - odparł. - Leżałeś bez kurtki na śniegu w środku hrabstwa Luce i nawet nie odmroziłeś sobie żadnej części ciała?

- Wszystko na miejscu. Wyposażenie wyłącznie oryginalne.

- Jak to jest w tym powiedzeniu? Głupi ma zawsze szczęście?

- Jakoś tak.

- A ty jesteś żywym tego przykładem.

Stał przy łóżku, chowając rękawice do kieszeni. Założył ręce na piersiach. Wyglądał na zmęczonego.

- Dlaczego przyszedłeś? Tak naprawdę?

- Chciałem zadać ci kilka pytań.

- Strzelaj.

- Czytałem zeznania, które złożyłeś Brandowowi, ale muszę sam to usłyszeć: Naprawdę rozwaliliś pługiem śnieżnym tę chatę przy Mackinac Trail?

- Tak. Ale nie celowo.

- Chciałeś odsnieżyć podjazd i nie trafiłeś.

- Następne pytanie - poprosiłem.

- Po tym, jak przypadkiem wyrąbałeś dziurę w ścianie, zobaczyłeś zwłoki.

- Zgadza się.

- A ci martwi mężczyźni w domku na lodzie, których znaleziono w bieliźnie. Pearl i Roman? Tak się nazywali? To oni zabili ludzi w chacie?

- Mhm.

- Na pewno?

- Na sto procent.

- I ten trzeci, Molinov? Widziałeś, jak zastrzelił Pearla i Romana?

- Tak.

Szef pokiwał głową.

- Dobra, ostatnie pytanie. To odbyło się szybko czy wolno?

- O co ci chodzi?

- Widziałeś, co zrobili ci ludzie. A kiedy przyszła na nich kolej, umierali szybko czy wolno?

Długo mu się przyglądałem.

- Szybko - odparłem wreszcie. - Nawet się nie zorientowali, co się dzieje.

Znowu pokiwał głową.

- Dobra. - Założył rękawice. - To wszystko - powiedział i wyszedł.

Siedziałem, wpatrując się w ścianę. Kilka minut później lekarz wyrwał mnie z transu.

- Wolałbym zatrzymać pana jeszcze parę dni - stwierdził. - Żeby się upewnić, że pański żołądek jest gotowy do pracy. Do diabła, zatrzymałbym pana przez miesiąc, bo wtedy miałbym pewność, że zaraz po wyjściu nie zrobi pan nic głupiego.

- Czuję się dobrze.

- Nie jest panu zimno?

- Nie - skłamałem, ale nie mogłem znieść szpitala oraz niekończącej się parady gości. Odwiedzili mnie wszyscy, których znałem.

Z jednym wyjątkiem.

Szpital opuściłem o ósmej rano następnego dnia. Miałem na sobie nową kurtkę. Od Leona. Moja stara kurtka była przecież pod lodem, pewnie wciąż na ciele Lonniego Bruckmana. Nie żałowałem. Przechodziłem w niej dobre dwanaście lat.

Ciężarówka stała na parkingu, takjak obiecał Leon. Prosiłem, żeby po mnie nie przyjeżdżał. Nie chciałem nikogo widzieć tego ranka. Miałem ważną sprawę do załatwienia i potrzebowałem kilku godzin dla siebie. Zrozumiał to, niczego nie musiałem wyjaśniać. Cecha dobrego partnera.

Tego ranka ruszyłem na zachód. Było mroźno, jak niemal codziennie. Wyglądało na to, że znowu zaczną padać śnieg, jak niemal codziennie. Ale nie myślałem o pogodzie. Na zjeździe do Brimley pojechałem drogą na zachód, która prowadziła do rezerwatu. Zaparkowałem przed kasynem i wszedłem do środka.

Nie musiałem długo szukać. Pracował przy stole do pięciodolarowego blackjacka. Było trzech graczy: dwie kobiety i mężczyzna. Przyłączyłem się do nich.

- Alex - odezwał się, nie podnosząc wzroku. Potasował karty i przesunął pojemnik do jednej z kobiet, żeby przełożyła.

- Vinnie.

Zaczął rozdawać.

- Grasz? - zapytał. Nie odrywał oczu od kart. Walet wypadł na niego, więc przesunął kartę nad czujnikiem, żeby sprawdzić, czy ma blackjacka. Nie miał, więc rozdawał dalej.

- Gram. - Wyjąłem z kieszeni kopertę, którą zostawili mi lokatorzy jednego z domków. Po wywiadzie na lodowisku został w niej jeden studolarowy banknot.

Po przyjęciu stawek Vinnie wziął moją setkę.

Poczekaj, aż zaczęła się następna partia.

- Nie odwiedziłeś mnie w szpitalu - powiedziałem.

- Pracuję. Krupier ma dziewczęć.

- Ostatnim razem przyszedłeś. Nagle zrobiłeś się taki zajęty? Zmienili ci godziny pracy?

- Dwadzieścia dwa - oznajmił Vinnie, kiedy pierwsza z kobiet dołożyła dziesiątkę do swojej dwunastki. - Alex, nie teraz...

- Coś mi przyszło do głowy. Chyba wiem, dlaczego mnie nie odwiedziłeś.

- Dwadzieścia pięć - zakomunikował Vinnie. Mężczyzna wyciągnął dziewięć, a miał już szesnaście. - Alex, proszę.

- Powinien pan podzielić ósemki - zwróciłem się do mężczyzny. Sądząc z wyrazu jego twarzy, nie docenił mojej rady. - Myślę, Vinnie, że zżerają cię wyrzuty sumienia.

Nie zareagował. Rozdawał. Druga z kobiet miała siedemnaście.

- Twoja kolej - zwrócił się do mnie Vinnie. - Chcesz kartę?

Spojrzałem na niego bez słowa. Pozostali gracze wlepili we mnie wzrok.

- Karta dla pana?

Wsunąłem dłonie pod stół i na próbę lekko podważyłem.

- Nie jest zbyt ciężki. Ciekawe, co się stanie, jak go przewrócę.

- Ochrona siłą wyprowadzi pana z lokalu - odparł Vinnie.

- Byłaby niezła heca, co?

- Chce pan kartę, proszę pana?

- Chcę, żebyś wyszedł ze mną na dwór.

- Alex, dopiero zacząłem. Nie mogę...

Znowu lekko uniosłem stół. Tym razem rozsypały się żetony. Troje graczy zaczęło się rozglądać w poszukiwaniu pomocy.

Vinnie zamknął oczy.

- Skończę tę partię i wyjdziemy - mruknął.

- Daj mi kartę.

Położył szóstkę na moich czternastu, potem odwrócił swoją kartę: dziewiętnaście.

- Wygrałeś. - Uprzątnął stół i dał znak szefowi sali. - Nagła sprawa - wyjaśnił.

Facet przyjrzał mi się i machnął dłonią. W ciągu trzech sekund miejsce Vinniego zajął inny krupier.

Poczekalem, aż wyjdziemy na parking. Zastanawiałem się, gdzie najpierw go uderzyć. Problem polegał na tym, że nie wiedziałem, czy mam dość sił, żeby unieść rękę i zrobić zamach. A nie byłem dostatecznie wściekły, żeby go skopać. Jeszcze nie.

- Powiedz mi coś, Vinnie - zacząłem. - Gdzie się podziały mądrości z twojego wykładu na temat Indian, którzy nie wtrącają się w życie innych? Matka nawet nie kazała ci iść do dentysty. Postępujesz według własnego uznania, wybierasz swoją ścieżkę...

- O czym ty gadasz?

- A porwanie Dorothy z mojej chaty to nie było wtrącanie się w jej życie? Niewielkie, ale zawsze?

Vinnie patrzył na szosę. Zerwał się wiatr. Ledwo czułem lodowate podmuchy.

- No więc, kiedy mi to wyjaśnisz? - zapytałem. - Przed czy po tym, jak stłukę cię na miazgę?

- Alex, przestań.

- Bo co? Nie chcesz zrobić mi krzywdy? Zastosować tajemnego indiańskiego chwytu na moim gardle?

Spojrzał na mnie.

- Przestań - powtórzył.

- Ilu chłopaków wzięło w tym udział? Dorothy pewnie zażarcie się opierała.

- Tak dla przypomnienia, w noc, kiedy ją porwano, siedziałem w więzieniu.

- To prawda. Ale masz tylko z siedmiuset kuzynów? Ilu zebrałeś?

- Skąd się dowiedziałeś? Kto ci powiedział?

- Zastanów się, Vinnie. Nikt nie musiał mi mówić. Niektórzy z nas, białych, potrafią sami domyślić się różnych rzeczy. Nie zrobił tego Bruckman ani Molinov. Obaj dopiero następnego dnia dowiedzieli się, że Dorothy jest u mnie. To musiał być ktoś, kto widział, jak ją tam prowadzę. Ktoś, kto był w lesie i nas obserwował.

Vinnie odwrócił wzrok.

- To wyjaśnia także, dlaczego otworzyła drzwi. Musieli użyć podstępu. Co zrobili, nazwali ją indiańskim imieniem?

- Nie miałem o tym pojęcia, przysięgam, nic nie wiedziałem. Mówiłem ci, że Jimmy i Buck byli ze mną, kiedy pojechałem za Bruckmanem. Przypuszczam, że po moim aresztowaniu śledzili ich dalej. Bruckmana i Dorothy. Kiedy Dorothy od niego uciekła, rozdzielili się. Buck pojechał za nią do baru, potem do Glasgow Inn, stamtąd do twojej chaty.

- Oczywiście potrafi świetnie śledzić. Jest z plemienia Ojibwa - wtrąciłem.

- Dasz sobie spokój? Buck studiuje w college'u. Będzie prawnikiem. On i mój drugi kuzyn... Alex, nie wiem, co zrobić, żebyś to zrozumiał. Za dużo widzieli. Bruckman zabrał dziewczynę, a potem przywiózł ją z powrotem, jakby rzucał nam w twarz

obelgę. Sprzedawał narkotyki naszym ludziom, Alex. Następny biały, który próbował nas zniszczyć. Uznali, że najwyższa pora coś z tym zrobić.

- Następnego dnia byłem w więzieniu i załatwiłem ci wyjście za kaucją. Chcesz mi wmówić, że nie miałeś pojęcia o porwaniu?

- Nie. Przysięgam.

- To kiedy się dowiedziałeś, Vinnie?

Zawahał się.

- Kiedy?

- W wieczór, kiedy cię aresztowali. Widziałem się z Dorothy.

- Zaraz, zaraz, w wieczór, kiedy mnie aresztowano? Na moście? Nazajutrz rano przyszedłeś i pomogłeś mi sprzątać ostatnią chatę. Pytałeś, czy szukam Dorothy.

- Chciałem cię powstrzymać. Dość już przeszedłeś.

- Mój Boże, Vinnie, dlaczego mi nie powiedziałeś?

- Uważałem, że to nie jest konieczne. Wyglądało na to, że skończyłeś z tą sprawą.

- Własnym uszom nie wierzę. Przez cały czas, aż do tamtego wieczoru, nie miałeś najmniejszego pojęcia, że Dorothy zabrali twoi kuzyni?

- Nie mieszkam w rezerwacie.

- To nie jest przekonująca odpowiedź.

Patrzył na mnie w milczeniu.

- A pamiętasz, jak zachowanie Parrishów wydawało mi się dziwne? Wygłosiłeś wtedy wykład o sposobie bycia ludu Ojibwa. Odstawiłeś szopkę? Oni już wiedzieli?

- Myślę, że wiedzieli, że jest bezpieczna. To wszystko. O niczym innym nie mieli pojęcia.

- I wszyscy spokojnie pozwalali mi jej szukać? Czy ty wiesz, Vinnie, co musiałem znosić?

- Tropiłeś Bruckmana. Moi kuzyni nie chcieli ci w tym przeszkadzać.

- To znaczy, że gdybym go znalazł...

- Zajęliby się nim - dokończył Vinnie.

- O rany, to wygląda na mafię...

- Nie. To nowe pokolenie, Alex. Przeżyliśmy wiele trudnych chwil. Zrobimy absolutnie wszystko, żeby uratować nasz lud.

- Cudownie. Jestem wzruszony.

Vinnie nie odpowiedział.

- Więc gdzie teraz jest Dorothy? Gdzie ją widziałeś?

- W Kanadzie. Zamierzała do ciebie zadzwonić.

- Dlaczego tego nie zrobiła?

- Nie chcieli, żeby się z tobą kontaktowała. To znaczy... woleli poczekać.

- Kim są „oni”?

- To ludzie, którzy się nią opiekują.

- ...którzy ją porwali.

- Nie.

- Weszli do chaty i wywlekli Dorothy.

- To nie tak. Mówili mi coś innego.

- W chacie ktoś był. I solidnie się napracował, rozwalając meble.

- Nie. Oni jej pomagają. Dzięki nim się oczyszcza...

- Tak ci powiedziała?

- Tak. Prosiła, żebym ci powtórzył, jak bardzo żałuję, że zostałeś wplątany w tę sprawę. Wspomniała też o twoich rurach.

- Moich rurach?

- Coś o zamarzaniu.

- A tak. Nie mogę przez to spać. W tym tygodniu to mój największy problem.

- Przekazuję tylko jej słowa.

- Dobra.

- Alex, nie wiem, co jeszcze powiedzieć. Przysięgam, naprawdę o niczym nie wiedziałem do...

- Daruj sobie - przerwałem. - Nie chcę dłużej tego słuchać. Nie wiedziałeś, bo wolałeś nie wiedzieć. Inaczej musiałbyś mi wyjaśnić prawdę. A ty tego nie chciałeś. Obaj wiemy dlaczego.

- Spojrzałem mu w oczy. Po raz pierwszy w trakcie naszej znajomości odczułem dzielący nas dystans. Zdawałem sobie sprawę, że on nigdy nie zniknie, nawet gdybyśmy kiedyś znaleźli

sposób, jak go pokonać. – A co się stało z torbą, Vinnie? Podobno mnóstwo w niej tego „dzikiego kota”?

– Nic o tym nie wiem. O ile się orientuję, nie miała torby ze sobą, kiedy po nią przyjechali.

– Nieprawda. Teraz twoi kuzyni zdobyli dość prochów, żeby do końca życia być na haju. Jeszcze się z tobą nie podzielili?

Popatrzył na mnie. Ramiona miał wyprostowane, jakby zamierzał się na mnie rzucić.

– Czułem się okropnie z powodu tego, co ci się przydarzyło – burknął. – Ale coraz bardziej mi przechodzi.

– Dlaczego się nie dowiesz? Zapytaj, gdzie torba. Jeśli tylko głupio wzruszą ramionami, będziesz wiedział, że masz problem. Te prochy to trucizna, Vinnie. Dla każdego. Indian, białych, czarnych. Poza tym można go sprzedać za, Boże, nawet nie wiem, co najmniej kilka tysięcy dolców. Myślisz, że każdy z twoich kuzynów oprze się takiej pokusie? Mówisz o białych, którzy was niszczą. Wygląda na to, że sami bez niczyjej pomocy świetnie sobie z tym poradzicie.

– Odejdź już – powiedział Vinnie. – Idź, zanim zrobię coś, czego będę żałował.

– Tego byśmy nie chcieli. Bóg wie, że już dość zrobiłeś.

Kiedy wyjeżdżałem, wciąż stał na parkingu wpatrzony w przestrzeń.

Resztę dnia spędziłem w chacie, przy kominku. Nie miałem ochoty jechać do Glasgow, nawet kiedy słońce zaczęło zachodzić i zwykle poczułbym potrzebę towarzystwa. Dorzucałem do ognia polano za polanem; usiłowałem wreszcie się rozgrzać. Czułem przenikliwy chłód w każdej cząstce ciała.

Próbowałem nie myśleć o Molinovie i o tym, co mi powiedział na odchodnym. „Zimno zabierze część pańskiej osoby”. Wtedy te słowa wydawały się bez sensu. Teraz zaczynałem dostrzegać ich prawdziwość.

Byłem zmęczony, ale bałem się położyć. Wiedziałem, że kiedy

zamknę oczy, znajdę się z powrotem w domku na lodzie. Dużo czasu zajęło mi poradzenie sobie z wydarzeniami z Detroit. Dopiero po czternastu latach przestałem co noc widzieć tamto mieszkanie, partnera leżącego obok mnie. Teraz w snach pojawiły się nowe zwłoki. Może tym razem to potrwa tylko trzynaście lat.

Wstałem i obszedłem chatę, spoglądając w okna, za którymi dzień ustępował miejsca ciemności. W szybie widziałem swoje odbicie.

- Zrób coś - nakazałem sobie. - Cokolwiek. Nie siedź i nie czekaj, aż całkiem oszalejesz.

Włożyłem kurtkę i wyszedłem na dwór. Wsiadłem do ciężarówki i pojechałem do drugiej chaty. Dziwnie się czułem, otwierając drzwi i przekraczając próg teraz, gdy wiedziałem, co tu naprawdę się stało. Podniosłem ułamaną nogę stołową. Ojciec zrobił ten stół w piwnicy domu w Dearborn, toczył nogi z dębowego drewna na ręcznej tokarce, a elementy łączył w całość jednym gwoździem. Gdzieś powinienem mieć zaciski do rur, pomyślałem. Jeśli je znajdę, jakoś naprawię stół.

Zważyłem nogę w dłoniach, nieświadomie podniosłem jak kij bejsbolowy. Spróbowałem zrobić zamach. Bolało jak diabli. Nieźle, Alex. Kiedyś potrafiłeś odebrać piłkę, teraz czujesz ból, ledwo machając nogą stołową.

Zaraz.

Wpatrywałem się w nogę w swoich rękach. W myślach byłem w chacie w poranek, kiedy to wszystko się zaczęło, kiedy przyszedłem po Dorothy, ale jej nie zastałem.

Były tylko krzesła rozrzucone po pokoju. Przewrócony stół. Odłamana noga. I słabe ślady śniegu topniejącego na podłodze.

W nocy zapukali do drzwi. Bała się. Myślała, że to Bruckman. Albo ludzie Molinova. Albo sam Molinov.

Spanikowała. Rozejrzała się za czymś do obrony. Otworzyła szuflady. Znalazła tylko plastikowe sztucce. Przewróciła krzesło.

Potem odłamała nogę od stołu. Dobrze się zapała i dała radę. Klej skruszał po latach mrozów.

Z nogą w dłoni czekała, aż drzwi się otworzą. Widziałem ją, jak stoi, ciężko oddycha, przygotowuje się do walki.

I wtedy ją zawołali. Głosy z przeszłości wymówiły jej indiańskie imię.

Upuściła nogę i otworzyła drzwi. Chodź z nami, powiedzieli. Zabierzemy cię stąd.

Na pewno chciała mi powiedzieć, że wyjeżdża. Musiałem w to wierzyć.

Nie, sprzeciwiali się. Nie ma czasu. Trzeba jechać.

Obiecali, że później do mnie zadzwonią. Próbowali ją przekonać, że nie można mi ufać.

A może po prostu złapali ją za rękę i wyprowadzili.

Tak czy inaczej, Dorothy nie miała przy sobie torby, kiedy opuszczała chatę.

Roztopiony śnieg na podłodze. Wniosła go Dorothy. Po moim wyjściu była na dworze i wróciła do chaty.

A to wyjaśnia jej wiadomość. Zamarznięte rury.

Odłożyłem nogę, wyszedłem do ciężarówki. Z szoferki wziąłem latarkę i łopatę.

Okrążyłem chatę i zacząłem przekopywać się przez śnieg. To samo robiłem w noc, kiedy przywoziłem tu Dorothy. Zszedłem włączyć wodę i powiedziałem, że musi zostawić krany lekko odkręcone, bo wtedy rury nie zamarzną.

Och, ludzie szeryfa słabo przeszukiwali chatę. Nie pomyśleli, że pod nią może coś być.

Dokopałem się do drzwiczek. Kiedy przyjechali tu zastępcy szeryfa, świeży śnieg całkiem je zakrył.

Wczołgałem się w korytarz i włączyłem latarkę. Torba leżała w kącie. Wycofałem się, wlokąc ją ze sobą. Na zewnątrz ukląknęłam i rozpiąłem zamek błyskawiczny.

Biały proszek w małych przezroczystych woreczkach połyskiwał w świetle latarki.

- A więc to jest „dziki kot” - mruknąłem. - Przywieziony tu aż z Rosji.

Zamknąłem torbę i zaniósłem do ciężarówki. Chciałem jak

najszybciej wrócić do domu i usiąść przy kominku. Porządna porcja alkoholu także by nie zaszkodziła.

A potem musiałem zastanowić się, co mam począć z tym znaleziskiem.

Rozdział 21

MINĘŁY DWA TYGODNIE. Padał śnieg. Odsnieżałem drogę. Przyjechali nowi lokatorzy. Jeździli po szlakach na skuterach śnieżnych, napędzając mroźne powietrze hałasem.

Niewiele czasu spędzałem w Glasgow Inn. Rąbałem drzewo. Sprzątałem po lokatorach. Wstawiłem nawet szybę od strony pasażera. Przede wszystkim jednak siedziałem w chacie przy kominku i usiłowałem się ogrzać.

Widywałem samochód Vinniego, ale jego samego nie spotkałem ani razu.

Aż do chwili, gdy zapukał do moich drzwi. Kiedy otworzyłem, stał na ścieżce, z której niedawno zdążyłem odgarnąć śnieg.

- Wkładaj kurtkę - rozkazał. - Jedziesz ze mną.

- Akurat, cholera.

- W Garden River odbywa się ceremonia. Chce, żebyś wziął w niej udział.

- Kto?

- Dorothy - odparł Vinnie. - A niby kto?

- Myślałem, że siedzi gdzieś zamknięta.

- Nigdy nigdzie jej nie zamykano. Dochodziła ze sobą do ładu. Teraz jest gotowa na następny krok.

- A dokąd się wybiera? - zapytałem. - Podobno agenci DEA wciąż chcą z nią porozmawiać.

- Ale to im się nie uda - stwierdził Vinnie. - Ona nie wraca do Stanów.

- Jest w Kanadzie?

- Nie, Alex, w Ekwadorze. Idziesz czy nie?

- Spokojnie, stary. - Poczłapałem po kurtkę.

- Co tu tak gorąco?

- Ostatnio ciągle mi zimno. Odkąd o mało nie umarłem z

powodu hipotermii.

- Już dobrze, dobrze.

- Ekwador, powiadasz? Skąd ci to przyszło do głowy?

- Jedźmy. Ja prowadzę.

Ruszyłem za nim do jego samochodu. Wsiadłem i natychmiast podkręciłem ogrzewanie.

- Jest wystarczająco ciepło - zaprotestował Vinnie. - Chcesz mnie udusić?

- To by była wielka szkoda.

Odetchnął głęboko, wyjeżdżając tyłem na drogę dojazdową.

- Prosiła, żebym cię przywiózł, więc cię wiozę.

- To jedź.

- Jadę.

Sunął przez Raj między wałami śniegu wysokimi na co najmniej dwa metry. Przez kilka minut nic nie mówił. Ja też milczałem.

Kiedy szosą M-28 kierowaliśmy się na wschód, wreszcie odchrząknął.

- Wiem, co zrobiłeś - powiedział.

- No, ciekawe.

- Z tymi prochami. W dzień, kiedy miałem sprawę w sądzie, tę za napaść, na pierwszej stronie gazety widziałem Mavena między agentami i stos torebek na stole. Przekazałeś towar bezpośrednio Mavenowi?

- Nie mam pojęcia, o czym gadasz.

- obrońca z urzędu poinformował mnie, że zamieniono zarzut na wykroczenie. Dostałem grzywnę i pouczenie od sędziego. To wszystko.

- Szczęściarz z ciebie.

- Przestań, Alex.

- Posłuchaj, wciąż dość gówniano się czuję, kapujesz? Ale jak wrócą mi siły, przyjdę do ciebie i skopię ci dupę. Ajak miałbym to zrobić, gdybyś siedział w pudle?

Roześmiał się.

- Odsnieżałeś mój podjazd - powiedział.

- Bo jak przyjdę się z tobą policzyć, nie chcę tracić energii na przekopywanie się przez metrowe zaspy. Wchodząc do twojej chaty, mam zamiar być świeży i gotowy do działania.

- Dobra, rozumiem.

- I jeszcze małe ostrzeżenie - dodałem. - Wydaje mi się, że już bardzo niedługo odzyskam siły prawie w stu procentach.

- Wiesz, gdzie mnie znaleźć.

Jechał przez Soo w stronę mostu International. Byłem tu po raz pierwszy od czasu aresztowania. Celnik zadał Vinniemu zwykłe pytania, spojrział na mnie, kazał ruszać.

- A właściwie, dokąd jedziemy? - zapytałem.

- Ośrodek leczniczy nad rzeką Garden. Ceremonia będzie krótka. W gruncie rzeczy to tajemnica.

- Więc jak to się stało, że ja tam będę?

- Mówiłem ci. Prosiła, żebyś wziął udział.

- Ale jestem wrogiem.

- Nie zaczynaj, Alex... Pomogłeś Dorothy. Chce ci podziękować.

- A co z twoimi kuzynami, którzy ci mówili, że nie można mi ufać? Oni też tam będą?

- Niektórzy.

- Wspaniale. Zapowiada się świetna zabawa.

- Mają wyrzuty z powodu całej tej sprawy. Jeśli to coś warte.

- To jest nic niewarte. Dokładnie nic.

- Aha, właśnie. Pewnie wydałeś sporo pieniędzy, no nie?

Milczałem.

- Dwa razy leżałeś w szpitalu. To musiało słono kosztować.

- Mam ubezpieczenie.

- Ale ubezpieczenie wszystkiego nie pokrywa. Część na pewno zapłaciłeś z własnej kieszeni...

- Vinnie, nie gadaj, ktoś da mi pieniądze z powodu tego, co się wydarzyło.

- Alex, nie powinienes...

- Klnę się na Boga, że jeśli jeszcze słowem wspomnisz o forsie...

- W porządku. Ja tylko mówię...

- Vinnie...

- Jasne. Skończyłem.

Przejechał przez Soo Canada, potem skręcił na wschód do lasu. Kilka kilometrów za granicami miasta znajdował się rezerwat River Garden należący do ludów z plemienia Ojibwa, tak samo jak rezerваты Bay Mills i Sault w Michigan oraz kilka w Wisconsin i Minnesocie. W River Garden nie było kasyn i nie zamierzali się o nie starać. Władze Ontario wkrótce otwierały własne kasyno w Soo Canada, wykluczając kanadyjskie plemiona z gry.

- Wszystkie zabudowania są z białej sosny - powiedział, kiedy wjechaliśmy na teren rezerwatu. - To na cześć wodza Shig-waukonce. Jego imię znaczy „sosna”.

- Nie mów.

- Ośrodek leczniczy, do którego jedziemy, ma trzynaście boków, po jednym na każdy miesiąc w starym kalendarzu Ojibwa. Biali ukradli nam jeden miesiąc, wiedziałeś o tym?

- Przepraszam w ich imieniu - mruknąłem.

- Teraz się zamknę - oznajmił Vinnie.

- Dziękuję.

Zaparkowaliśmy przed ośrodkiem. Stało tam kilkanaście samochodów. Spojrzałem na zegarek. Dochodziła północ.

Wysiedliśmy. Śnieg skrzypiał pod naszymi stopami, jakbyśmy kroczyli po potłuczonym kryształach. Było nieprawdopodobnie, nieludzko zimno, z nieba zniknęły wszystkie chmury. Widzieliśmy każdą gwiazdę i księżyc w pełni na wschodzie rzucający błękitną poświatę.

- Popatrz. - Vinnie wskazał niebo.

- No, księżyc.

Kręcąc głową, Vinnie zaprowadził mnie do budynku.

W centrum ośrodka znajdowała się okrągła sala spotkań z metalową rurą wychodzącą z sufitu. Pod rurą był ogromny okrąg, gdzie podłoga otwierała się aż do ziemi, na której leżał wielki stos piasku. Kiedy oczy przywykły mi do słabego światła,

dostrzegłem, że piasek uformowany został w kształt żółwia. Na grzbiecie miał piaskowe palenisko. Słodki dym unosił się i wisiał w powietrzu, zanim uciekł przez rurę. Przy żółwiu stał mężczyzna w koszuli ozdobionej czerwonymi, żółtymi, czarnymi i białymi wstążkami.

Wokół żółwia ustawiono krzesła, które zajmowali członkowie plemienia; było ich co najmniej trzydziestu. Kiedy weszliśmy, wszyscy unieśli głowy. Na drugiej stronie sali rozpoznałem rodziców Dorothy.

- Jak rozumiem, rzadko widują tu białych - szepnąłem.

- Mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę, jaki to zaszczyt - odparł Vinnie.

- Aha.

- To święte miejsce - powiedział Vinnie i usiadł. - Jak kościół. Dasz radę przez jakiś czas nie gadać?

Zamknąłem się i zająłem miejsce obok niego.

Kiedy do sali wkroczyła Dorothy, prawie jej nie poznałem. Czysta twarz, włosy szesane do tyłu, jakby wciąż mokre. Nie miała makijażu ani kolczyków, które wisiały jej w uszach w wieczór, gdy się poznawaliśmy. Stała na środku kręgu obok faceta ze wstążkami. Dostrzegła mnie i przelotnie się uśmiechnęła.

Mężczyzna odwinął z czerwonego koca glinianą misę. Z ognia wziął trochę żaru i zapalił to, co było w naczyniu. Dorothy szepnęła mu coś do ucha. Dopiero wtedy na mnie spojrział. Wolno podszedł, niosąc przed sobą dymiącą misę.

- Co się dzieje? - szepnąłem do Vinniego. Ale odpowiedzi udzielił mi szaman.

- Nazywamy to oczyszczaniem. - Przysunął misę do mojego serca; dym otoczył mi głowę i nappełnił płuca. - To Shkodawabuk, inaczej szałwia - wyjaśnił. - Jeden z naszych czterech leków. Tytoń pochodzi ze wschodu, cedr z południa, turówka z północy, a szałwia z zachodu.

Zamknąłem oczy, słuchając jego słów. Po raz pierwszy od wielu dni zaczynałem się rozgrzewać. Odrobinę.

- Dzisiaj używamy szafwii, ponieważ jest lekiem oczyszczenia i ponownych narodzin. Kiedy słońce kryje się na zachodzie, dzień umiera, by na nowo narodzić się rano.

Kiedy otworzyłem oczy, powiodłem wzrokiem po zebranych kobietach i mężczyznach, młodych i starych. Wszyscy obserwowali mnie ze spokojem. Szaman przeniósł się z misą do Vinniego, potem do jego sąsiada, i tak po kolei, aż obszedł cały krąg.

Wrócił do Dorothy i przy niej też powtórzył rytuał, otaczając ją obłokiem dymu. W końcu przemówił.

- Jesteśmy wieloma plemionami, rozdzielają nas granice, ale tworzymy jeden lud. Dorothy Parrish wróciła do naszego ludu, choć pod pewnym względem nigdy go nie opuściła, bo wszyscy należymy do siebie i do Ziemi. Witamy serdecznie Dorothy i życzymy, by jej podróż upływała pomyślnie.

Kiedy ceremonia dobiegła końca, członkowie plemienia kolejno podchodzili do Dorothy, ujmowali za obie ręce i życzyli jej szczęścia. Stałem z boku i obserwowałem bohaterkę uroczystości.

Wreszcie na mnie spojrzała. Szaman zerknął na zegarek i coś do niej powiedział. Pokiwała głową, potem podeszła do mnie.

- Alex, dziękuję, że przyszedłeś.

- Dobrze wyglądasz.

- Bardzo mi pomogłeś.

- Cieszę się, że jesteś bezpieczna.

- Przykro mi z powodu tego wszystkiego, co ci się przydarzyło.

Nie zamierzałam cię w to wciągać.

- Nie wątpię.

- Od pierwszej chwili, kiedy cię poznałam, wiedziałam, że mogę ci zaufać. Od tak dawna uciekałam, chciałam po prostu się zatrzymać. Byłam pewna, że postąpisz właściwie, niezależnie od tego, jak potoczą się sprawy. Rozumiesz, o co mi chodzi?

- Tak mi się wydaje. - Rozejrzałem się po sali i zniżyłem nieco głos. - Kiedy wzięłaś tę torbę...

- W tamten wieczór wciąż nie mogłam się zdecydować, co z

nią zrobić. Czy odnieść na policję, czy oddać Molinowowi i prosić, żeby sobie poszedł i zostawił mnie w spokoju. Zostawił nas wszystkich w spokoju.

- Trzeba zapisać ci plusy za odwagę.

Uśmiechnęła się.

- Widziałeś dzisiaj księżyc?

- Jasne.

- W tamten wieczór, kiedy się poznaliśmy, też była pełnia.

Pamiętasz?

- Nazwałeś go wilczym księżycem.

- Mhm. On ochrania twoich bliskich.

- Ajak ten się nazywa?

- Lodowy księżyc. Wskazuje, żeby odpoczywać do dnia, gdy znowu zrobi się ciepło.

- O, to księżyc w sam raz dla mnie.

- Muszę iść - powiedziała Dorothy. - Wierzę, że kiedyś znowu się spotkamy.

- Dokąd się wybierasz?

- Jeszcze nie wiem. Do jakiegoś rezerwatu tu, w Kanadzie.

Potrzebuję spokoju.

- Mam nadzieję, że go znajdziesz.

- Wiem, że tak. Odzyskałam rodzinę.

- Hej, nie zdradziłaś mi, jak brzmi twoje indiańskie imię.

- Waubun-anung. Poranna Gwiazda.

- Piękne.

- Dziękuję.

- Dbaj o siebie, Poranna Gwiazdo.

Pocałowała mnie w policzek, po czym opuściła salę razem z szamanem.

VINNIE I JA WYSZLIŚMY W NOC. Bez słowa wsiedliśmy do samochodu. Pojechaliśmy przez Soo Canada na most, stamtąd do Soo Michigan, a potem skręciliśmy na zachód, na drogę do Raju. Ciszę mącił jedynie szum ogrzewania.

- Zastanawiałem się, czy nie zebrać drużyny hokejowej - odezwał się wreszcie Vinnie. - Chcesz grać?

- Jaja sobie robisz?

- Byłeś dobry na bramce. Mógłbyś się nam przydać.

- Nie mówisz poważnie. Powiedz, proszę, że to żart.

- Powinieneś grać - ciągnął Vinnie. - Samotność nie jest dobra. Za dużo myślisz.

Kiedy wjechaliśmy do Raju, zapytał, czy może mi postawić drinka w Glasgow Inn.

- Już późno.

- Jackie jeszcze jest. Wpuści nas.

- Nie, dzięki. Nie dzisiaj.

- Jak chcesz. - Wysadził mnie przed moją chatą.

- Dobrze było ją zobaczyć - powiedziałem.

- Cieszę się, że miałeś okazję - odparł i odjechał.

Przez jakiś czas stałem, wdychając lodowate powietrze i spoglądając na lodowy księżyc.

I co teraz? Zanim to wszystko się zdarzyło, obiecałem sobie załatwić pewne sprawy na wiosnę. Spłacić długi.

Mocniej otuliłem się kurtką.

Gdzie się podział cały mój gniew? Gdzie żar? Jestem taki zmęczony, obolały i zziębnięty.

Wszystko boli. Oddech boli. Ruch boli.

Zycie boli.

Do diabła, rzeczywiście za dużo myślę.

Co ma być, to będzie. Pewnego dnia znowu postąpię właściwie, niezależnie od tego, co przyniesie los. A ten Molinov - wygląda na to, że ścigamy tę samą zwierzynę. Mam przeczucie, że znowu się spotkamy.

Ale dzisiaj wieczorem zamknę oczy i poczuję dym na swojej twarzy, opary palonej szalwii z obietnicą nowego dnia.

Muszę odpocząć. Muszę się uzdrowić.

Na razie nie pozostało mi nic innego do roboty, jak tylko spać pod lodowym księżycem.

Podziękowania

Mam wielki dług wdzięczności u Donny Pine z Garden River First Nation za to, że poświęciła czas i podzieliła się wiedzą o życiu plemienia Ojibwa.

Pragnę także podziękować innym osobom. Są to:

Frank Hayes i Bill Keller, Liz Staples i Taylor Brugman, prawdziwi agenci „Champagne” i „Urbanik”, Bob Kozak i wszyscy z IBM, Bob Randisi i Private Eye Writers of America, Ruth Cavin, Marika Rohn i pozostali pracownicy St. Martin’s Press, Jane Chelius, Larry Queipo, dawny szef policji w Kingston w stanie Nowy Jork oraz doktor Glenn Hamilton z u/ydziału ratownictwa medycznego na Uniwersytecie Stanowym Wright.

Na koniec chcę podziękować swojej żonie Julii, dzięki której wszystko staje się możliwe, oraz Nickiemu, który niedługo będzie starszym braciszkiem...

KRYMINAŁY Z KLASĄ

To elegancka proza ubrana w wyrafinowaną kryminalną intrygę.

To prestiż i przyjemność czytania.

To powieści uhonorowane wszystkimi najwyższymi światowymi nagrodami gatunku.

To wyjątkowa seria książek, które łączą perfekcyjny kryminał ze znakomitą, a często wybitną literaturą. To seria, jakiej nie było.

Chris Ewan

DOBREGO ZŁODZIEJA PRZEWODNIK PO AMSTERDAMIE
DOBREGO ZŁODZIEJA PRZEWODNIK PO PARYŻU

Steve Hamilton

ZIMNY DZIEŃ W RAJU

Laura Lippman

TO, CO UKRYTE
WZGÓRZE RZEŹNIKA

Peter Lovesey

DETEKTYW DIAMOND I ŚMIERĆ W JEZIORZE
SAMOTNOŚĆ DETEKTYWA DIAMONTA

Ruth Newman

BAL ABSOLWENTÓW

Maj Sjöwall, Per Wahlöö

ROSEANNA